

**Stefan Wiechecki**  
**(WIECH)**

**Cafe „Pod Minogą”**

## I PATRZ, PAN, CO SIĘ ROBI!

Pan Stefan Wiechecki z Saskiej Kępy, elegancki, ironicznie uśmiechnięty dżentelmen z dyskretnym wąsikiem, należał do najobrotniejszych dziennikarzy i najślawniejszych pisarzy dwu ważkich epok kultury polskiej. Ściślej: trzech, wliczając lata wojny i okupacji, będące akurat motywem głównym niniejszego tomu Wiecha. Lata po trosze próby, i to zwycięskiej próby, tych cech, tych wartości, z jakich zostały zbudowane postaci literackie wielkiego artysty. Knajacka, z lekka - lub nie z lekka - szemrana populacja jego tekstów, ta szczególna i specyficzna „Warsiawka”, stała się bowiem tyleż portretem, ile wzorcem wcale niemałej sfery stolicy, nawet dla kogoś, kto jest bardzo daleko od wszelkich Manusiów Kitajców, cwaniackich Szmulek i praskiego folkloru, jak był zresztą osobiście w swym stylu bycia, życia i kregów towarzyskich sam autor opowieści. Albowiem cechy i wartości bohaterów Wiecha są uniwersalniejsze, rozleglejsze niż Szmulki, stanowią - śmiem twierdzić - ogólniejszy i znaczący rys całej bez mała naszej niepokorności wobec wszelkiej przemocy i wszelkiego zniewolenia, a sztafaż akurat warszawski - gdzie już dawno „w Saskim Ogrodzie przy wodotrysku pan policmajster dostał po pysku” - jedynie wzmacnia, podkreśla i daje jeden z możliwych kostiumów sprawie nader rozległej i wiekowej. Taki fryzjer z Lalki Prusa, taki Rzędzian z Trylogii Sienkiewicza, lwowski Tońcio ze Szczepciem, poznańskie „bubki frechowne” Łosia, wileńskie Kaziuki i krakowskie typy sławnego wodewilu o Krowodrzy - to rodzeni bracia pana Aniołka i całej „Cafe pod Minogą”. Właśnie w swojej zadziornej niezgodzie na krzywdę, na gwałt zadawany swobodzie i godności. Za wielkie słowa? Wcale nie za duże, gdyż właśnie - na podobieństwo paryskiego gawrośa - zjadliwa ironia ulicy, szyderstwo przechodnia, niczym hyrność podhalańska i twardość śląska, bije we wszelkiego wroga bronią wyjątkowo ostrą i skuteczną, a mianowicie ośmieszeniem go, obeszładnictwem przez celną kpinę. I jeśli Wiech potrafił upiory okupacyjne, uosobione w żandarmerii czy pokrewnych patrolach, nazwać (lub wsławić ich nazwanie autentyczne): „blondyni w blaszanych kapeluszach” - to ukazał w pełni tę niezniszczalność moralnych zwycięzców, zdolnych do wyszydzenia zagrożeń z wysokości swych racji. Taki niby przelotny epitet, a ileż w nim poczucia siły i wyższości! No, a zdanko pana Piecyka, rzucone mimochodem w roku 1956: „- Jak nam te zachodnie szkopy Warszawę sfajczyli?!...” Toż to najzjadliwszy komentarz polityczny! I to właśnie okazało się uniwersalne w naszym narodzie, ponadczasowe, stałe. A niewyobrażalne bez najważniejszej zalety: bez poczucia humoru.

Nieodparty dowcip, pobrany z natury, stanowi naczelną i najskuteczniejszą nośnik literacki, ba! moralizatorski, tych dzieł, tego dorobku, którego Cafe jest typowym przykładem. To rabelaisowska, dickensowska, twainowska, czechowowska i mrozkowska wreszcie linia twórcza w światowym skarbcu kultury. Tędy wiedli swoich bohaterów (nawet bez dosłownego żartowania, ale zawsze z wyczuciem paradoksu) najwięksi, „gdyż-jak stwierdził jeden z nich, Joseph Conrad - wszystko stoi na żarcie”. Niech Szekspir z Dantem, tym od Boskiej komedii, poświadczą z samego szczytu Parnasu. Jakiego zaś warsztatu komediowego, sposobu technicznego w swoim dowcipie użył Wiech? Po pierwsze użył wiecha, tego, który dostąpił zaszczytu naukowego owej małej litery, znaczącej awans na pojęcie literackie, na zjawisko kulturowe. A więc język, mowa i tryb skojarzeń, oto czym się posługiwał pan Stefan w

swoim dziele. Tu bardzo cenną uwagę uczynił pewien autentyczny twórca, wywodzący się z kręgów praskiego folkloru, skądinąd wyborny stolarz i wcale nie gorszy pisarz (autor Opowieści wuja z Zacisza, Iskry 1983), majster Stefan Roguski. Otóż artysta ten, mówiąc kiedyś w prywatnej rozmowie o tworzywle Wiecha, stwierdził, że wszystkie zwroty, sposoby werbalne, zbitki myślowe, słowem cały zespół wyrażeń panów Piecyków i szwagrów Piekutoszczaków jest prawdziwy, taki się spotykało od Zygmontowskiej po owo tytułowe Zacisze; jednakże w życiu, w mowie tych dzielnic występowało to z rzadka, niczym rodzynki w cieście zwykłego, wspólnego dla wszystkich rodaków języka. Te „znakiem tego”, te „przypuszczam, że wąpnię” i inne „w ząbek chesane” ozdóbki, na co dzień rozproszone, zostały przez Wiecha zagęszczone, skondensowane, wzmocnione niejako w postaci dialogów, pyskówek, monologów jego figur literackich. Na tym właśnie polegała prawda i zarazem przetworzenie zjawiska lingwistycznego, a jednocześnie specyfika narracji.

Narracji, która niosła przepyszne sceny, zbitki obrazowe, gęstą i z reguły komiczną fabułę - także wydestylowaną z życia. Nie dziwota, toż pisarz narodził się w miejscu, gdzie samo życie destyluje swoje jaskrawości, swoje intensywne przygody z bliźnimi, czyli w sądzie cywilnym przed wojną. Pan Piecyk wiódł się w prostej linii z tamtej publiczki, jaką tak olśniewająco ukazał Prus w Lalce, odmalowując sale warszawskiego sądu i fascynujące typy tamtejsze. Łącznie z - jakże ważkim naonczas, aż po pierwszy okres twórczości Wiecha-sprawozdawcy - bujnym folklorem żydowskim stolicy! Kwintesencją tego aliażu stał się jeden z ulubionych placów Wiecha, przesławny, nieodżałowany Kiercelak, niepowtarzalny targ, panoptikum typów i typków. Dalekim echem, pozbawionym już bogactwa kupieckiego z pobliskich Nalewek, jest Bazar Różyckiego między Targową a Brzeską, relikw dawności, jakże niestety wyblakłej i szczejlej... Kiedy jednak świeżo w telewizji oglądałem zbiórkę, zrzutkę ze wszystkich kramów na najszczytniejsze cele narodowe („Żeby pomóc temu rządowi - mówiła jakaś „nieśmiertelna paniusia”, równa tamtej ze strof Tuwima - bo myśmy tu mieli cały czas naszą własną, tajną „Solidarność”, cały czas...”), odczułem odległy wiew lat odeszłych, a przez Wiecha dokumentowanych. Lat głębszej wrażliwości na sprawy najpatetyczniejsze, ale przecież podane z wdziękiem i wesołą nonszalancją, właśnie w tym stylu i tym gestem, jakby to uczynił pan Walery Wątróbka. Onże Walery Wątróbka, który dracznie i hecnie, ale przecież uczestniczył via „Expressiak” w co ważniejszych wydarzeniach kultury, od „Lilii Wenecji” począwszy, i który się stał dzięki Wiechowi nowym Niemcewiczem w specjalnych, szmulkowskich „Śpiewach historycznych powojnia”. Tego powojnia, jakie pozbawiało ogół związków z tradycją, z dziejami, z wielką przeszłością. I nie było wcale przypadkiem, że to akurat pan Stefan Wiechecki został prelegentem na pewnym tłumnym zebraniu świata publicystycznego, kiedy po polskim Październiku zaświtała (jakże przelotnie!) nadzieja na okiełznanie cenzury. To właśnie on, Wiech, autor tak znaczącego zwrotu jak „pan wiesz, a ja rozumiem”, czyli mistrz zjadliwej aluzji, wygłosił arcydowcipny referat o wystawianiu cenzury do wiatru. Stamtąd poszła owa walna recepta, by chcąc uchronić przed czerwonym ołówkiem zdanie A, trzeba napisać na przynętę stokroć ostrzejsze zdanie B i wtedy strażnik ustroju rzuci się wykreślać wielkie bluźnierstwo, dzięki czemu to właściwe zda mu się niegroźne, puści je płazem, a o to szło od początku. Bo też od pierwszych felietonów zdruzgotanej i odradzającej

się Warszawy Wiech, nie inaczej niż Sienkiewicz, „dla pokrzepienia serc” mrugał porozumiewawczo okiem - już to pana Piecyka, już to pana Wątróbki czy nawet Gieniuchny - do czytelników i zawsze był po stronie tych, którzy dobrze wiedzieli swoje i którzy nigdy nie porzucili nadziei.

Napadano na Wiecha nieraz, czując w nim dobrze przeciwnika, groźnego przez tę zdolność morderczej kpiny, przeciwnika wszelkiego „betonu”! Napadano rozmaicie, deprecjonując wartość artystyczną dzieła, pomniejszając znaczenie kulturowe dorobku, a zwłaszcza napadając na rzekome „zaśmiecanie języka”. Ha! Akurat w dobie, gdy z najwyższych trybun lało się to upierne: „byłoby błędemniemać, że Salamon należy z pustego na hAktary...” Potrafił na to odpowiedzieć bez kostiumu a la Piecyk, wprost od siebie, gniewnymi słowy: „Moi bohaterowie używają zabawnej gwary, ubarwiającej polszczyznę, ale żaden z nich nie popełnił nigdy błędu w rodzaju idąc od dworca leżały szyny tramwajowe...” W zalewie strasznej, odgórnie wzmacnianej brzydoty języka teksty Wiecha stanowiły wzorzec poprawności, folklorem jeno inkrustowanej ku ozdobie. Tymczasem najwięksi uczeni w polszczyźnie byli admiratorami dorobku i znaczenia Wiecha, a jeden z tuzów polonistyki, sławny warsawianista, spec od metodyki języka (i zarazem autor cennego Słownika gwary warszawskiej XIX wieku), profesor Bronisław Wieczorkiewicz, wprowadził właśnie do nazewnictwa naukowego termin „wiech” jako pojęcie lingwistyczne. Nie umiem powiedzieć, który z pisarzy dostąpił takiego zaszczytu, mimo ogromnych zasług; nie powiadamy jednak, że ktoś „pisze strugiem” albo „stosuje w narracji prusa”, tu zaś aż taka nobilitacja!

Toteż obok mnóstwa innych atrakcji czytelniczych delektujemy się w czasie lektury Wiecha - właśnie wiechem. Boy zwracał kiedyś (jako poeta notabene) słuszną uwagę na piękno brzmieniowe u Fredry, wskazując m.in. na „Podstolinę, wdówkę tantną, wdówkę gładką”. Pan Stefan miał zaś wyjątkowo wyczulone ucho na melodię, na muzykę frazy literackiej, rzecz jasna: łącznie ze zwrotami Piecyków czy Piekutoszczaków. Warto wczuć się, uwrażliwić i na tę urodę prozy Wiecha; otworzymy książkę na chybił trafił, odczytajmy głośno i wyraźnie dowolny fragment, dajmy na to: „- I patrz, Stasiuchna, chociaż szkopy naokoło, polski starosta w razie zabradziazenia spokoju do polskiego mamra może cię wsadzić! - dodał Maniuś, ocierając zgiętym palcem wskazującym łzę z powieki...”

Wiech, często i chętnie występujący na estradach, przed mikrofonami, w wieczorach autorskich (był pierwszym pisarzem inaugurującym cykl osobowości telewizyjnych w pierwszym tejże Telewizji Polskiej programie, gdy do kilku odbiorców odezwał się z - jak to właśnie raz na zawsze nazwał wtedy stylem pana Piecyka - „radia z lufcikiem”), nie był najlepszym interpretatorem własnych tekstów. Warsiaskie akcentowanie słów i zdań, tak arcy mistrzowsko podawane przez wielkich: Grzesiuka i Stępowskiego, nie było mocną stroną Stefana Wiecheckiego, choć nikt lepiej odeń nie wyczuwał niuansów tej mowy. Natomiast, co chcę podkreślić, wyraziście skandował ów wewnętrzny, literacki, muzyczny rytm i puls swej prozy. A jest to cecha warsztatu już staroświeckiego, rzadko dziś zauważana, jeszcze rzadziej stosowana przez współczesnych twórców, cecha w swej staroświeckości piękna urodą zabytku, bo też i zabytkowej łaciny jako chwytu formalnie sięgająca.

Osobnego foliału rozważań wymagałaby analiza obrazowości tego języka, zwłaszcza w warstwie gwarowej, co zresztą po części uczynił prof. Wieczorkiewicz. Dowcipna

lapidarność określeń wynalazczych etymologicznie, tak chyba należałoby językiem uczonego określić zjawisko Wiecha i wiecha. To są przecież całe girlandy metafor! „...Wróć z wojny, ślub się zrobi i wszystko będzie w korekt. Na razie jesteś wolna, ale pamiętaj, że jakbym się dowiedział w wojsku o tobie czegoś nie a propos, na polski urlop przyjadę, fiołków pod temi kochanemi oczkami nasadzę, morduchnę na ciemny mahoń przerobię, tak jakbym był mężem przysięgłem...” Fiołki, mahoń, same przenośnie, a to właśnie jest typowością tejże mowy, obrazowej i komizmem podszytej. I to właśnie również Wiech zagęścił na potrzeby swych utworów, temu nadał intensywność stylistyczną większą niż w ustach żywych mieszkańców Starówki, Szmulek czy Woli. Swoiste kłamstwo sztuki stanowi o prawdzie wizji.

Sprawozdawca tedy sądowy, onże antreprenier teatralny i obrotny biznesmen stołeczny, z czasem dystyngowany posiadacz ekskluzywnej willi, a zarazem piewca i ulubieniec dzielnic tyle brutalnych, ile zakazanych i jednocześnie poetyckich folklorem miasta, a także patosem emocji w przełomowych chwilach - był Wiech postacią wyjątkowo barwną i wrażliwą. Udzielny pan w swojej dziedzinie literackiej, stworzył osobny i - jak dziś widzimy - niezbędny fragment naszego dorobku kulturowego swoją niepowtarzalnością artystyczną, satyryczną i rodaczą. Fakt, iż nie ma następców, epigonów i naśladowców, jest jednocześnie dowodem tej niedosiężnej dla innych osobności twórczej, a także dowodem, że jedną z trudniejszych dziedzin sztuki jest to, co zwiemy najzwyczajniej prostotą. : Doceniajmy prostotę, najkunsztowniejszą ze sztuk!

*Szymon Kobyliński grudzień 1989 roku*

## ROZDZIAŁ 1

### **zawierający genezę tytułu całej opowieści i szczegółowy opis przygotowań do uroczystości rodzinnej w restauracji państwa Aniołków**

Myliłby się, kto by przypuszczał, że na szyldzie wymienionego w tytule niniejszej opowieści zakładu gastronomicznego przy ulicy Zapieček widniała dorodna minoga na przybranym zieloną pietruszeczką półmisku. Nic podobnego. Szyld wyglądał banalnie. Na czerwono pomalowanej blasze umieszczony był napis, tchnący powagą urzędowego niemal dokumentu:

**RESTAURACJA**  
**III kategorii z wyszynkiem**  
**napojów alkoholowych**  
**wł. Konstanty Aniołek**  
**Koncesja Genowefy Rypalskiej**  
**i Wawrzyńca Śmieciuszki**

Surowość głównego, umieszczonego nad wejściem znaku łądziły dwa szyldy boczne, których treść opiewała:

**„Śniadania, obiady, kolacje” oraz „Żymne i goronce zakonski”.**

Wszystkie trzy godła były dziełem powszechnie cenionego na Starówce mistrza sztuki malarskiej, pana Dawida Kapelana (Bonifraterska 18).

Część graficzna reklamy firmy uzupełniały dwie kartki wycięte z brystolu, na których sam pan Aniołek wprawną ręką wypisał: „Pieczeń rzemska” i „Zrazy po nalesońsku z żypkami”.

Resztę propagandy załatwiały umieszczone na wystawie oryginały, jako to: lśniący pozłocistą skórką dyszek cielęcy, biała kiełbasa garnirowana przysmażoną cebulką lub nacięty w misterną, drobnitką kostkę rumiany boczek pieczony, wszystko to podane na efektownym tle słoików z białą-czerwoną ćwikłą i zielonożółtymi „małosolnymi” ogórkami. Oczywiście eksponaty zmieniały się odpowiednio do pory roku.

Nie było jednak nigdy w witrynie minóg. Na próżno też szukałby ich ktoś na bufecie. Interpelowany o nie przez gości gospodarz odpowiadał zazwyczaj: - Minoga robak, nie rybka i w porządnym interesie trzeciej kategorii nie ma prawa figurować.

Stali bywalcy lokalu wiedzieli jednak, że nie zawsze tak bywało, że minogi w musztardzie zajmowały kiedyś honorowe miejsce wśród innych zakąsek. Znali też przyczynę znalezienia się ich na indeksie.

Oto przed kilku laty znany na Starówce alkoholik i awanturnik, niejaki Millerek, pogniwawszy się na lokal za odmowę kredytu, zwrócił się do małżonki właściciela z następującą apostrofą: „Ach, ty minogo z małym łebkiem, za wieczne ondulacje szarpana, ja cię tu zaraz nauczę szaconku dla gościa!” Po czym usiłował przewrócić bufet, co mu się zresztą całkowicie udało.

Obrażeni współbiesiadnicy podnieśli się od stolików, usunęli awanturnika na ulicę, ale orzekli, że:

„Właściwie pani Aniołek nie ma się o co obrażać, bo faktycznie na minogie podobna. Długa, mizerna na urodzie, z małą mordką, tylko z tą różnicą, że nogi posiada, ale za bufetem nie widać”.

Wywołało to nową awanturę zakończoną wezwaniem pogotowia, ale odtąd lokal, dawniej nazywany „Pod Aniołkiem”, zdobył nową, błyskawicznie zaakceptowaną

przez Krzywe Koło, Nowomiejską, Freta i obydwaj Dunaje, nie licząc, rzecz prosta, Zapiecka, firmę: „Pod Minogą”

Pani Serafina Aniolkowa mimo „mizernej urody” obdarzona była przez naturę niezwykle metalicznym, donośnym głosem, którym umiała należycie władać, oraz temperamentem, nad którym nie życzyła sobie zbyt panować.

Te cechy sprawiały, że pan Konstanty był właścicielem przedsiębiorstwa tylko de nomine, na sztyldzie. Twarde rządy w domu i w interesie sprawowała jego małżonka. Powyższy układ stosunków politycznych w restauracji spowodował wykluczenie minóg raz na zawsze z menu zakładu. Oczywiście dopomogło to raczej do utrwalenia wśród klientów nowej nazwy firmy. Pan Aniołek protestował przeciwko tej nomenklaturze dość słabo i tylko kiedy żona słyszała, a i wówczas pozwalał sobie na lekkie przymrużenie oka.

Uspodobienie miał bowiem jowialne i filozoficzne skłonności, na co w niemałym prawdopodobnie stopniu wpływała waga własna - około 120 kilogramów. Sympatyczna, rumiana jego twarz, ozdobiona staropolskim blond wąsem, zdradzała wielką życzliwość dla bliźnich.

Lekko fiolkowy koniec nosa świadczył o żywym interesowaniu się swego właściciela produkcją wszelkiego typu zakładów rektyfikacyjnych.

Gościnnie był pan Konstanty również bardzo. Kiedyś, korzystając z nieobecności żony, którą wybrała się do Gdyni na Święto Morza, sympatyczny restaurator, wypiszący jako środek zapobiegawczy przeciwko tęsknocie litr czystej wyborowej, wprowadził w barze ciekawą innowację w postaci bezpłatnej konsumpcji dla wszystkich chętnych.

Cafe „Pod Minogą” przeżyła wówczas okres najwspanialszego swego rozkwitu. Dzień i noc wszystkie stoliki były zajęte. Za obłożonym bufetem królował rozpromieniony pan Aniołek, rozdając na wszystkie strony potrawy i napoje.

Niestety okres ten trwał bardzo krótko. Gdy po trzech dniach pani Serafina wróciła do baru, nie zastała ani jednej pełnej butelki, ani cienia zakąski.

Na środku sklepu w srebrzystej trumnie, obstawiony u węzłowia zdjętymi z bufetu sztucznymi palmami, spoczywał jej małżonek, obok w trumnie znacznie skromniejszej chrapał pan Celestyn Konfiteor, właściciel sąsiadującego z barem zakładu pogrzebowego.

Jak się odbyło przebudzenie, nie lubi pan Aniołek mówić, faktem jest, że od tej pory pani Serafina nigdzie już nigdy nie wyjeżdżała, ku żalowi uczestników pamiętnego dnia Święta Morza „Pod Minogą”.

Pan Konstanty nie lubił mówić o owym przebudzeniu, niemniej wspomnienie tego święta hołubił w duszy jako jeden z najbardziej świetlanych obrazów przeszłości.

Dziś, siedząc przy stoliku pod oknem z sąsiadem żałobnikiem, szczególnie żywo przypominał sobie historię z tamtych przepięknych, choć krótkich chwil, dziś bowiem właśnie w lokalu restauracji po zamknięciu odbyć się miało również bezpłatne przyjęcie towarzyskie, tym razem jednak zaaprobowane przez panią Serafinę. Były to zaręczyny ich wychowanicy, a zarazem kelnerki zakładu, panny Sabci. Na uroczystość zaproszeni byli liczni goście spośród przyjaciół i stałych bywalców.

Dwaj starsi panowie robili przegląd listy zaproszonych, dla sprawdzenia, czy kogoś nie pominięto.

Pan Konstanty wodził palcem po zatłuszczonym arkuszu i mówił:

- Szoferaki są wszyscy. Maniuś Kitajec jest, Miecio Pigułoszczak jest, Wacusi Małpa jest... Ciotka Szponderska zapisana...

- Zaraz, zaraz, czekaj sąsiad... Szponderska... która to będzie? Aha, już wiem - „mniejsza czwórka”...

Pan Konfiteor miał szczególną właściwość polegającą na określaniu znajomych za pomocą numeracji przyjętej dla trumien. Świeżo poznaną osobę obrzucał fachowym spojrzeniem, klasyfikował i umieszczał w pamięci pod odpowiednim numerkiem. Dla oznaczenia stopnia zamożności dodawał niekiedy: „gładka”, „z okuciem”, „z pojedynczą girlandką” itp.

Restaurator, nie zwracając uwagi na te dygresje, czytał dalej: - Rypalska obecna... Śmieciuszka figuruje... Tu właśnie medytuję, czy dobrze zrobiłem, że kazałem mu przyjść.

- Po mojemu dobrze. Koncesja na jego nazwisko, do tego inwalida z drewnianą nogą i chłopina przyjemny, da się lubić.

- No owszem, obleci w tłoku, ale na trzeźwo. Jak mordę zamoczy - mantyka się robi. Sztuczna nogie odkręca i leci grazać panią Rypalskie.

- Dlaczego?

- Podobnież żal mu serce ściska, że do spółki z nią te koncesje mu dali. Jakbym był sam, mówi, całe dwieście złotych miesięcznie bym od pana, panie gospodarzu, zahaczał, a tak muszę się z tą cholera, którą nieboszczyk Rypalski kochał jak sól w oku, dzielić, i znowuż panią Rypalskie, ma się rozumieć, nogą z wierzchu.

- Niezgodne współnicy. W taki sposób trzeba ich daleko od siebie posadzić. „Średnią czwórkę” tu przy oknie, a „piątkie gładką” w tamtem końcu pod samogrającą szafą. Dla bezpieczeństwa niech siedzi między nimi „duża siódemka z podwójnym okuciem”.

- Znaczą się kto?

- Pańska osoba.

- Przestańże pan, do cholery, przymierzać na każdego te swoje sosnowe jesionki.

- Co to panu szkodzi. Pamięci do nazwisk nie mam, w numeracji łatwiej mnie się połapać.

- No, jadziem dalej... Władek z rodzicami i bracia Piskorskie z Murzynem.

- Jak to z Murzynem?

- Zwyczajnie, z czarnym facetem z Afryki.

- Skądżeś pan wziął takiego gościa?

- To również także samo szoferak, u jednego dyrektora na packardzie jeździ. Za kolegów są z Władkiem i w taki sposób musiałem się zgodzić, żeby go zaprosił.

- No dobrze, ale co pan mu da jeść? Słyszałem, że podobnież Murzyni tylko banany i ludzkie mięso wtrajają.

- To u siebie na puszczy. Na razie zamiarowałem kupić na Kiercelaku małą i upiec tak jak prosiaka z kaszą, bo podobnież murzyńska religia, w razie nie ma ludzkiego mięsa, małą pozwala jem spożywać, ale mnie Władzio powiedział, że ten, co tu ma przyjść, pobożny nie jest. Oliwa jest tyż pierwszej klasy, jednym słowem, umie się w najlepszym towarzystwie znaleźć.

I zaszczyt będzie dla Władka takie rzadkie osobistość mieć na swoich zaręczynach.



- Wiesz pan, panie Aniołek, nie bardzo rozumiem, dlaczego Władek, zaczem wesele zrobić i ochajnąć się od razu z Sabcia, po żydowsku - zaręczyny urząda?

- Rzecz jest taka. Jak dostał te powiestkie do wojska, mówi do Sabiny: „Sabcia, kochanie ty moje, ślubu teraz nie weźmiem, bo mocno slychać o wojnie z Hitlerem i łatwo za wdowę mogłabyś się zostać, a wdowie zawsze trudniej wyjść za mąż niż panience. Toteż zaręczeni się, żebyś wiedziała, że regularnego narzeczonego posiadasz i masz na kogo czekać. Wrócę z wojny, ślub się zrobi i wszystko będzie w korekt. Na razie jesteś wolna, ale pamiętaj, że jakbym się dowiedział w wojsku o tobie czegoś nie a propos, na polski urlop przyjadę, fiołków pod temi kochanemi oczkami nasadzę, morduchnę na ciemny mahoń przerobię, tak jakbym był mężem przysięgłem”.

- Oczytany chłopak i wymowę swoją posiada.

- Co pan chcesz: redaktorzy się z nim kolegują.

- Te, co tu naprzeciwko na facjacie mieszkają?

- Właśnie, ten duży blondyn wypadki i kradzieże do „Czerwoniaka” streszcza.

- Będzie dzisiaj?

- Wiadomo. Stale i wciąż mówi: „Władek, na twojem ślubie za starszego družbego będę. Jak mnie nie zaprosisz, to cię w kurierze na szaro zrobię, że do końca życia znajomem nie będziesz się mógł pokazać”. To i na zaręczynach musi być obecny.

W tej chwili na ulicy rozległ się klakson i wielka, czarna, wspaniale oświetlona limuzyna zatrzymała się przed barem.

Pani Serafina, krzątająca się za bufetem, spojrzała na drzwi i krzyknęła:

- Jezus, Maria, Murzyn idzie!

Pan Aniołek wstał od stolika i podbiegł do wejścia robić honory domu, wołając po drodze:

- Sabcia, załóż deski na wystawę, bo nam się cała Starówka tu zleci.

Weszło dwóch panów w bryczesach i skórzanych kurtkach. Jeden miał czarną twarz i typał wesoło białkami oczu.

Przywitawszy gości, pan Konstanty wyskoczył na ulicę pomóc pannie Sabczi zamykać, a pan Konfiteor, wskazując Murzynowi stolik pod lustrem, zawołał:

- Panie „dziewiątka hebanowa”, siadaj pan tu, zaraz reszta towarzystwa nadleci.

Usadziwszy egzotycznego gościa trumniarz usiłował zabawić go rozmową.

- W nieutulonem żalu pozostaje się cała rodzina Aniołków, a także samo i ja, sąsiad przez ścianę, żeśmy małpy nie mogli dla pana szanownego przygotować albo chociaż papugi po polsku z nadzieniem. Małpy nie można było dostać, papugie co prawda mamy w klatce na bufecie, ale w charakterze rozrywki umysłowej i twarda by była, bo sztuka jest wiekowa, jeszcze za ojca pana Aniołka jeden kataryniarz ją tu przepił. Z drugiej znowuż strony przykro nam jest, bo wiemy, że dzikie faceci inszy smak mają aniżeli naturalne.

Murzyn spowaźniał, błysnął zębami i odpowiedział porywco:

- Z kogoże pan tu humorystyczną drakie odstawiasz, panie szanowny, jaki że ja dziki jestem, o wiele dwadzieścia pięć lat w Warszawie mieszkam. Małpy ani papugi cholery za żadne pieniądze do ust bym nie wziął, formalną zakąską tak jak i pan się posługuję.

- A, w takim razie przepraszam i widzę, że z pana szanownego leguralny warszawiak, chociaż w kolorze żałobnem.

Murzyn chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili na ulicy rozległ się przeciągły gwizd i ktoś krzyknął w otwarte drzwi:

- Szuwaks, chodu, gliny na rowerach!

Czarny gość zerwał się, wskoczył za bufet i dał nurka w otwór piwniczny, którego klapę podniósł błyskawicznie pan Aniołek.

„Pod Minogę”, prowadząc stalowe rumaki, weszli dwaj policjanci.

## ROZDZIAŁ II

### zapowiadający wielkie sensacje kryminalne w dalszym toku akcji

- Panie redaktorze, tytuł na te trzyszpaltówkie - wyciągnął od progu gabinetu czarną, umazaną drukarską farbą łapę chłopak z zecerni.

- Zaraz... sam przyniosę.

- Kiedy pan Kowalski mówi, że nie może łamać... a już druga godzina.

- Szoruj stąd.

Chłopak z trzaskiem zasunął drzwi gabinetu. Zagórski, młody szef „kryminału” w „Expressie Porannym”, pochylił się nad biurkiem. Myślał chwilę, podrapał się w głowę tępym końcem watermana, co, jak wiadomo, pomaga bardzo pracy mózgu, po czym zaczął pisać w poprzek długiego paska papieru:

### **TAJEMNICA WILLI W ALEI RÓŻ - Morderstwo czy uprowadzenie? Kto widział Murzyna Jumbo?**

Główny tytuł podkreślił dwa razy. Podtytuł raz. Przeczytał całość i zadowolony z siebie, poszedł do zecerni. Kokosowy chodnik słał się długim, ciemnoczerwonym węzłem przez korytarz pierwszego piętra „Domu Prasy”. Po obu stronach błyszcząły jak baseny olbrzymiego akwarium szklane ściany pokoi redakcyjnych. Wnętrza ich widoczne były jak na dłoni. Wielkie tafle szyb, ujęte w krzyżaki pomalowanych lśniących lakierem ram, przedzielały tylko w równych odstępach ciemnoorzechowe, zasuwane drzwi, okute w dole paskami srebrzystego niklu.

Dochodziła druga w nocy. W gmachu było prawie pusto. Tylko w pierwszym od wejścia szklanym boksie siedzieli nachyleni do siebie w rozmowie dwaj poważni, wytwornie ubrani panowie - naczelny redaktor i naczelny dyrektor. O kilka pokoi dalej tkwił jeszcze przy biurku Drożdżyk, praktykant redakcyjny. Telefonował, powtarzając co chwila rozdrażnionym, zniecierpliwionym tonem:

- Halo, czy to PAT?... Halo... psiakrew... czy to PAT?...

Dziwnie hałaśliwe zachowanie się cichego i potulnego zazwyczaj chłopca zwróciło uwagę Zagórskiego, zatrzymał się i po chwili wszedł do pokoju. Spojrzał na Drożdżyka i zaśmiał się głośno. Praktykant, mały blondynek, o prawie dziecięcej twarzy, zamiast słuchawki trzymał przy uchu szklany lejek wyjęty z kałamarza. Czarna struga atramentu lała mu się po policzku, połowa kołnierzyka oraz prawa kłapa marynarki były zabarwione na ten sam kolor.

- Dokąd pan właściwie dzwoni, panie kolego?

Drożdżyk nieprzytomnie spojrzał niebieskimi oczami, podobnymi do dwóch niezapominajek pływających w spirytusie, i odrzekł:

- Do... TAP-a... to jest do... PAT-a.

- Boję się, że się pan nie dodzwoni.

- A... dlaczego?

- Prawdopodobnie wszyscy tam zalani w drobną kaszkę i dlatego panu nie odpowiadają.

- Kiedy ja muszę sprawdzić... pede... pedeszę...

- A ja panu radzę, umyj pan mordę i idź pan spać. A w ogóle gdzie pana tak urządzili?

- Na konferencji prasowej byłem w... Monopolu Spirytusowym...

- Jeśli tak, to wszystko w porządku... Czekaj pan tu chwilkę, pójde tylko do zecerni i zaraz pana odprowadzę.

- Ależ ja jestem zupełnie trzeźwy... dziękuję... sam pójde...

- No, jak pan chce. Tylko uważaj pan. Nie zataczać się koło pierwszego pokoju, bo tam dyrekcja siedzi. Dobranoc.

Zagórski zniknął za drzwiami zecerni. Mały praktykant odpoczął chwilę. Po czym zaczął się zastanawiać, jak tu przejść oszklonym korytarzem obok niebezpiecznego boksu, żeby zostać nie zauważonym. Po dłuższej chwili postanowił przesunąć się obok fatalnej ściany na czworakach. Udałoby mu się znakomicie, gdyby nie drobiazg. Oto w przekonaniu, że znajduje się w drzwiach wiodących na korytarz, drobnym kłusem wbiegł na czworakach między fotele, na których siedzieli władcy „Domu Prasy”. Zaskoczeni i nieco przestraszeni panowie zerwali się z ciężkich, brązową skórą krytych klubów. Redaktor en chef poprawił monokl i poznawszy Drożdżyka, zapytał:

- Co się z panem dzieje, panie kolego? Główny dyrektor sformułował to samo pytanie serdeczniej:

- Czyś pan, do diabła, zwariował?

Przedstawiciel młodego narybku dziennikarskiego patrzył na swych najwyższych szefów z trudnym do opisania przerażeniem i mamrotał:

- Nie... słowo honoru daję, nie... ja tylko fetonelowałem... do PAT-a...

Miał tak nieszczęśliwą przy tym minę, że dyrektor nie wytrzymał, uśmiechnął się i rzekł do Zagórskiego, który właśnie nadszedł:

- Panie Andrzeju, trzeba go wsadzić do taksówki i odwieźć do domu, przecież on jest nieprzytomny.

Drożdżyk usiłował coś tam jeszcze tłumaczyć, ale Zagórski wziął go pod rękę, sprowadził na dół, ubrał w szatni w podniszczony burberry i popchnął go przed sobą na ulicę.

Kiedy rozglądał się po pustej Marszałkowskiej za jakimś wehikułem, z cichym szumem podjechała elegancka granatowa chevroleta. Drzwi szoferki otworzyły się i wyrzwał kierowca w ciemnoszarym płaszczu i granatowej przepisowej czapce o szerokim daszku.

- Panie redaktorze - zawołał - ja po pana... Cała ferajna od wczoraj czeka... poobrażali się na cement. Niech pan żywo siada i zapychamy „Pod Minogie”.

- Zaraz, zaraz, najpierw muszę odwieźć do domu kolegę, bo zachorował.

Kierowca, dobrze odżywiony, krępy szatyn, wysiadł, przyjrzał się Drożdżykowi małymi, sprytnymi, lekko skośnymi oczkami i przymrużył jedno z nich.

- Koleżka, zdaje się, przechodzi odrę monopolowe; a na to nie ma lepszego lekarstwa, jak się wylamać. No już, kładź się pan, panie szanowny, na poduchy i lulu.

To mówiąc, z wprawą ulokował zalanego pasażera na głównym siedzeniu, redaktora posadził obok siebie i nacisnął starter. Chevroleta ruszyła płynnie z miejsca. Była to komfortowa, świetnie utrzymana taksówka warszawska. Luksusowo urządzone wnętrze delikatnie pachniało perfumami Chanela. Zapach ten, pozostawiony przez jakąś pasażerkę, łączył się w przedziwnie drażniącą zmysły symfonię z wonią krakowskiej kiełbasy spożytej tu prawdopodobnie niedawno przez szofera. W dyskretnym oświetleniu czerwieniły się w wąskich kryształowych flakonach,

zawieszonych przy ramach okiennych, przywiedle goździki. Kierowca obejrzał się raz i drugi za siebie i rzeki:

- Obawiam się, żeby mnie chory wody spod kwiatów nie powypijał, jak go gorączka przydusi. Wczoraj miałem pasażera, co połowę goździków wtróił, bo myślał, że to rzadkiewki. A gdzie jadziem?

- Na Nowy Świat, A potem muszę wpaść jeszcze do „Adrii”.

- No... nnie... co jest, jak pragnę zakwitnąć? Przecież tam wszyscy czekają. Prawda, że zagazowane w dym, ale czekają. Władek, co kielicha trzaśnie, łzami się zalewa rzewnemy i rozpacza, że redaktor fatalnie go przerobił. Sabcia co i raz do mnie mówi: Panie Maniuś, jedź pan do „Czerwoniaka”, przywieź pan redaktora, przecież to dzisiaj moje zaręczyny, obiecał mnie, że będzie, a teraz do wiatru nas wszystkich wystawił? To chociaż ciężko mnie było się oderwać od towarzystwa, wskoczyłem w wózek i jestem. A pan szanowny podróż po Warszawie chce skutecznie, kiedy tam wódka stygnie?

- Muszę... ważna sprawa... milionowego faceta ktoś porwał czy zamordował... mam dostać dodatkowe wiadomości.

- A, skoro jeżeli tak, to posuwamy.

Chevroleta sunęła teraz jak strzała przez Bagatelę, minęła na zakręcie wymarły Belweder i ślizgała się w pędzie po świeżo polanym asfalcie Alei Ujazdowskich. Nie było tu widać granatowej, wygwieżdżonej sierpniowej nocy. W błękitnym świetle niezliczonych lamp łukowych i żółtawym wielkich żarówek zieleń drzew wyglądała sztucznie, jak na teatralnej dekoracji.

- Gorąco jak „Pod Messalką” w łaźni, a w Alejach pustynia. - Kierowca wskazał głowa na szeregi pustych ławek. - Nie ma tego życia, co dawniej! No ale jakim prawem może być inaczej, kiedy nad każdą ławką trzy tysiące świec świeci? Która ze kobieta w takim oświetleniu da się frajerowi za pierwsze krzyżowe trzymać i na dozgonną miłość bajerować?

Przy „Gastronomii” taksówka wpadła w prawdziwą feerię czerwonych, żółtych, zielonych sygnałów policyjnych i drżących zjawiskowych neonów, reklamujących Wedla i Gretę Garbo, Smosarską i Haberbuscha. Z zamykanych restauracji wysypywali się ostatni goście. Przeszła z jękiem nocna „dwudziestka”, unosząc na tylnym pomoście rozśpiewaną grupę podgazowanych pasażerów.

Pod „Mirażem” jakiś wstawiony wymieniał płomienne pocałunki z dozorcą nocnym. Obok spał równym, spokojnym snem, obejmując miłośnie śmietnik na kółkach, jakiś bezimienny wielbiciel napojów wysokoprocentowych.

Pan Maniuś, zmieniając bieg, skonał spokojnie:

- Warszawa mocno uderza w gaz - znakiem tego wojna murowana.

Zatrzymał wóz przed starą kamieniczką, w której mieszkał Drożdzyk, i powierzwszy go z wielkim pośpiechem stylowemu warszawskiemu „cieciowi”, pełnym gazem ruszył do „Adrii”.

W chwilę później Zagórski, stojąc przy cocktail-barze, patrzył na salę, szukając wzrokiem prokuratora Szmita, od którego spodziewał się uzyskać nowe szczegóły tajemniczego wypadku w alei Róż. Ale prokuratora nie było ani na sali, ani w Złotym Barze.

Na parkiecie kręciło się kilka par w chorobliwych podrygach i w przekonaniu, że tańczą „lambetłoka”. W łóżach było pustawo. Dziennikarz stracił już nadzieję na wiadomości, kiedy nagle ujrzał Kłosa. Znali się od dawna. Jeszcze z czasów, kiedy Kłós, mały, ruchliwy brunecik, był początkującym reporterem miejskim w „Epoce”. Dziś zrobił wielką karierę. W MSZ-cie był u siebie w domu. Zyskał tytuł polskiego Kniebokera, miewał wywiady z koronowanymi głowami. W jego kawalerskim mieszkaniu na Krakowskim bywał Beck. Rzecz prosta, że wszystkie ambasady stały przed nim otworem. Miał też olbrzymie stosunki w finansjerze i arystokracji.

- Słuchaj, Konrad - zagadnął go Zagórski. - Czy polski Kniebokier nie dałby się zaprosić na jeden cocktail reporterowi warszawskiego brukowca?

- Nie, natomiast możemy, filarze prasy czerwonej, kropnąć po jednej czystej pod kiełbasę na widelcu. Jak dawniej, pamiętasz, Jędrək, w „Satyrze”, kiedy się zamawiało jeden bigos do sitwy.

Barman podał wódkę i po kawałku gorącej kiełbasy.

- No, jakimiż tam szlagierami zastrzelisz jutro Warszawę, Andrzeju?

- A ty niby nie wiesz?

- Wiem sporo, ale nie wszystko.

- A o Briksie nie ma żadnych dalszych wieści?

- Nic poza tym, że od trzech dni przepadł bez wieści. W mieszkaniu żadnych śladów rabunku ani walki. Policja staje na głowie - no, nic dziwnego, znika nagle z bruku Warszawy przedstawiciel wielkiej firmy samochodowej, obywatel USA, i powiem ci w sekrecie dla czytelników „Expressu”: dość bliski krewny Roosevelta!

- Co ty mówisz, to szlagier!

- Poza tym może nie wiesz, że przed godziną aresztowana została girlsa z „Ali Baby”, taka trzecia z lewej strony.

- O, to znał się chłopak na balencie!

- Nadzwyczajnie. Ale cóż chcesz, kawaler - takie jego konsystorskie prawo!

- No a co z tym Murzynem?

- Właśnie szofer przepadł, a obydwa samochody zostały w garażu. Podobno dziś rano widziano go w Wilanowie w towarzystwie warszawskich taksówkarzy.

- Szlagier.

- No widzisz, zamiast ty mnie, ja tobie kryminały dostarczam.

- Odwdzięczę ci się wiadomością polityczną - wojna murowana!

- Skąd wiesz?

- Warszawa mocno w gaz uderza!

- Żeby tylko to. Czy ty wiesz? - tu Kłós zaczął szeptać: - Lipski przyleciał dziś z Berlina z alarmem. Hitler ma wystosować do Polski szesnaście żądań. Gdańsk ma być natychmiast włączony do Rzeszy. Żąda autostrady przez „korytarz”. Żąda plebiscytu na Pomorzu itd., itd.

- To prowokacja, a może... strachy na Lachy.

- Nim będziemy o dzień starsi, wszystko się wyjaśni.

Szatniarz w bluzie obszytej złotym galonem podszedł do Zagórskiego.

- Panie redaktorze, ksiądz biskup prosi pana redaktora do halu na górę.

- Co za biskup?

- Nie wiem, tak mnie kazali zameldować.

Andrzej wzruszył ramionami, przeprosił na chwilę Kłosa i szybko pobiegł schodami na górę.

W hału stał Maniś i kłaniał się.

- Dwa razy po piętnaście minut czekałem.

- A... ten biskup to pan?

- Tak toczno. To moje „panieńskie” nazwisko. Mamusia była z domu Biskup. Wiedziałem, że duchownej osobie pan redaktor nie odmówi.

- Oczywiście.

- No to znakiem tego „Pod Minogie”.

### ROZDZIAŁ III

#### roztaczający wstrząsające wizje wojny gazowej i wyjaśniający przekonywająco przyczyny agresji niemieckiej

- Jest, jest redaktor, jak pragnę szczęścia... - ucieszył się pan Aniołek ujrawszy Zagórskiego wchodzącego z Maniusiem Kitajcem do baru „od tyłu”. Front bowiem zamknięty był na wszystkie spusty i tylko liczne taksówki, stojące na uśpionym Zapiecku, zdradzały, że zabawa „Pod Minogą” trwa.

Gościnny gospodarz, lekko balansując, podszedł z wyciągniętymi ramionami do dziennikarza. W jednym ręku trzymał pustą angiolkę, a w drugiej „matkę”, w której perliła się czysta wyborowa.

- Duszkciem na dobry wieczór, bo fatalne masz redaktor zaległość. - To rzekłszy pan Aniołek napenił kryształowym płynem szklanke, po czym obejrawszy się, zawołał:

- Sabcia, a gdzie ciocia?

- Poszła na górę.

- Tak? No... to wyjmij, dziecko, te cielęciny z piecyka i na stół ją.

Panna Sabcia witała właśnie radośnie Andrzeja, ale pochyliwszy się ku panu Aniołkowi, szepnęła:

- Kiedy cielęcina jutro w karcie, proszę wuja.

- Jutro będzie futro, a dzisiaj musiem się zabawić na sto dwa. Dawaj cielęciny.

I ujawszy kordialnie nowo przybyłego gościa pod ramię, poprowadził go ku zestawionym razem pod ścianą marmurowym stolikom, które otaczało liczne, częściowo już „dogorywające” towarzystwo.

A więc na przydzielonym miejscu drzemał, podnosząc od czasu do czasu, jak gdyby z powątpiewaniem, prawą powiekę, pan Celestyn Konfiteor. Obok, wsparta oń lewym ramieniem, tkwiła ostatkiem sił pani Rypalska, wdowa po inwalidzie, współwłaścicielka koncesji wódczanej w „Minodze”. Po drugiej stronie trumniarza siedział z ponurą miną pan Śmieciuszka, jej współnik do rzeczonyj koncesji.

Pani Rypalska sennym głosem wiodła uczony dyskurs na temat ćwiczeń obrony przeciwgazowej, wyznaczonych właśnie na jutro przez LOPP, z sąsiadka swą panią Pszczółkowską, żoną jednego z licznych na Starówce mistrzów kunsztu szewskiego.

- Tak, tak, dzisiaj wszystko, moja pani, na gazie, gotowanie na gazie, prasowanie na gazie, to i wojna musi być na gazie: taka już teraz oświata i kultura. Europlany będą jeździć z gazomierzamy i ma się rozumieć, jak się ktoś na ulicy pokaże, gaz na niego puszcza i zaraz się zostanie zatruty.

- Jezus, Maria, w jakim celu?

- A w takim celu, że muszą na kiemś te gazy wypróbować. Co pani kochana myśli, że będą robić i robić na kupe, nie wiedząc, czy to się na coś przyda. Padnie przy tem dużo narodu, ale będzie wiadomo co i jak.

- No dobrze, moja pani, ale piszą w kurierach, że to podobnie mają być gazy nieszkodliwe, popłakać się będzie od nich tylko można i na tem koniec.

- Żeby mnie to powiedziała jakaś głupia baba ze wsi, tobym się nie dziwiła, ale że pani, pani Pszczółkowską, możesz coś podobnego oświadczać, to już faktycznie zgroza świata. Jakżeż mają pisać? Napisać, że gazy prawdziwe, to przecież nikt nosa na ulice nie pokaże i na kiem próbę zrobią. Paręset złotych w powietrze puszcza i znowuż nic nie będą wiedzieć, tak? Wstydziałabyś się pani.



- A swoim porządkiem nie chce mnie się wierzyć.  
- I masz rację, nie słuchaj pani, co ta osobistość barłoży - wtrącił, wystawiając głowę zza ramienia właściciela zakładu pogrzebowego, pan Śmieciuska. - Pani Rypalska zna się na wojnie jak, za przeproszeniem pańskiej osoby, szynka na pieprzu.

- O widzisz go, jaki wojenny fachowiec?! - odcięła się pani Rypalska.

Pan Śmieciuska popatrzył na swą współniczkę przeciągle i rzekł wolno:

- Świętej pamięci pan kapitan Szrapnel-Gwizdalski, mój dowódca, niech z Bogiem spoczywa, zawsze mówił do mnie: „Śmieciuska, z babami o wojnie rozmawiać grzech śmiertelny”, ale tą razą jestem zmuszony. Jakbyś pani wiedziała, że fachowiec. Na trzech wojnach byłem. I o wiele posiadam inwalidzkie koncesje do wypicia w miejscu i na wynos, to nie za to, że inwalidnego w pijanym widzie do kościoła zaprowadziłem, że na siłę za mąż za zagazanego kalekie wyszedłem, tylko że sam jestem na siedemdziesiąt pięć procent uszkodzonym!

- Kto na siłę wyszedł za mąż? Kto pijanego inwalidę przed ołtarz zataszczył? Ty moczymordo batalionowa!

- Pani Rypalska, tylko ostrożnie, obliczaj się pani ze słowami! Trzy kroki od żołnierza, bo może być nieprzyjemność.

To mówiąc pan Śmieciuska pochylił się znacząco pod stół. Wszyscy obecni, wiedząc, że inwalida lubi jako ostatecznego argumentu używać swej sztucznej nogi, podbiegli z interwencją. Ale udało się to dopiero dziennikarzowi, który porzuciwszy na chwilę siedzącą bliżej bufetu szoferską ferajnę, zawołał:

- Spokojnie, proszę państwa, czy warto się kłócić o ćwiczebną wojnę na „gazie”, w momencie kiedy jesteśmy o krok od prawdziwej. Niemcy nie na żarty nam grożą.

- Co nam zrobią, dostaną w kuchnię, aż się zakurzy! Z czym do gościa, z drewnianemu armatamy?

- I tanki podobnie mają z malowanej na czarno dykty, na postrach tylko - podjęła znowu wojskową dyskusję pani Rypalska.

- Rzeczywiście tak ludzie mówią...

- Niech tylko złączą nam szurać, my jem w Berlinie zaszuramy jeszcze lepiej.

- Faktycznie, dykta, nawet na czarno pomalowana, materiał słaby i zwyczajnym tasakiem taki tank jak nic da się porąbać - dodała współniczka pana Śmieciuski.

Inwalida nie spojrzawszy nawet na nią oświadczył:

- Świętej pamięci pan kapitan Szrapnel-Gwizdalski, mój dowódca - dzisiaj już na Boskiem Sądzie - zawsze mówił do mnie: „Śmieciuska, nie daj się brać na muchę”. Faktycznie szkopy koniec końców będą leżyć. W Berlinie też także samo być można, ale nie dlatego, że nam jakaś panusieczka ich tanki tasakiem na ogień porąbie, tylko dlatego, że łobuz nie może długo na wierzchu figurować. Ale z tą dyktą to zalewanie kolejki, czyli tak zwany puc z banderolą. Po jaką że cholere mieli tanki z dykty robić, kiedy o żelazne blachę u nich łatwiej... I każdego jednego, co mnie takie rzeczy mówi, bez różnicy płci i wieku, za pomocą mojej sztucznej końcówki tak przemiluję...

Tu pan Wawrzyniec nerwowo podciągnął lewą nogawkę, ale przebudził przy tym załobnika, który chwycił go za ramię.

- Piąteczka z felerem, co jest z panem, znowuż pan zaczynasz rozrabiać...

Chcąc zupełnie załagodzić nieporozumienie, pan Aniołek wezwał do siebie pannę Sabcię i zapytał:

- Byłaś na górze? Co ciocia robi?
- Wzięła kogutka i położyła się. Głowa mnie pęka, powiedziała, nie wiem, czy do rana wytrzymam...
- Co ty mówisz, dziecko... No to w taki sposób daj nam te większe kaczkie z wystawy i odgrzej bigos.
- A co ciocia jutro powie, proszę wuja?
- Co tam jutro. Jutro może być wojna. Dzisiaj pijem, dzisiaj się bawiem na dziewiątkie. Nie utrudniaj, dziecko.

To rzekłszy pan Konstanty podszedł do orkiestronu, czyli tak zwanej samogrającej szafy, wydobyl z kieszeni kamizelki srebrną dwudziestokopiejówkę (automat pamiętał jeszcze rosyjskie czasy) i wrzucił w otwór. Mechanizm zachrzęścił, zazgrzytał, zaniósł się jak gdyby astmatycznym kaszlem, ale po chwili rozległy się chrapliwe tony walczyka:

- Usta milczą, dusza śpieeewa, kooochaj mnie... - zanucił pan Aniołek w takt melodii, porywając jednocześnie panią Rypalską, która przy tej sposobności wywróciła stolik.

Kiedy okrążyli salę, danserka wydeła pogardliwie usta.

- Do bani taka muzyka, staroświecki aryston z chrypką. Ja uważam tylko radio albo gramofon, i to same modne kawałki - „Czemuś o mnie zapomniał” albo „Małe kobietkie”.

- A ja znowuż nie lubię pętaaków, niedorostków, u mnie kobieta musi być odpowiedzialna, przy kości, tak jak na przykład pani Rypalska, a do tańca tylko walc. Ale jak pani nie chce tańczyć, to może pani co zaśpiewać:

***Felek Zdankiewicz, chłopak wojskowy,  
przyszedł na urlop sześciotygodniowy,  
Urlop się kończy, czas do pulku wrócić,  
a Felusiowi żal koleżków rzucić...***

Była to stara, wzruszająca ballada o staromiejskim bohaterze Felusiu Zdankiewicz, co „nie mając życzenia” przerwać sobie miło spędzonego urlopu, wykończył za pomocą stołowego noża sześciu stójkowych, dwóch rewirowych i oberpolicmajstra, którzy po niego przyszli.

Piękny śpiew pana Aniołka nie znalazł jednak uznania u pani Rypalskiej, która po pierwszej zwrotce wycofała się w kierunku biesiadnych stołów, gdzie w dalszym ciągu przy kaczce z bigosem rozmawiano o wojnie.

- My się tu dzisiaj podbawiamy, a kto wie, co będzie z nami, z tą „Minogą”, ze Starówką, z całą naszą Warszawą kochaną od dziś za rok, jakby się nie daj Boże ta wojna na gazie zaczęła.

- A wszystko przez co? Przez to, że się łachudrów w goście zaprasza. Przyjeżdżał ten gruby szkop na polowania, nie dosyć, że się nażarł, napił, zawsze jakąś pamiątkę do Berlina zatachał. Obejrzał się jakiś hrabia w drugie stronę i parle franse z jakimś ministrem zaczął, a on mu w tem trakcie zająca zastrzelonego przykaraulał i pod kapotę. Obejrzał się jakiś książę, a ten mu dwie-trzy kuropatwy ciach i pod kapotę. Tak się tą bitą zwierzyną zawsze obładował, że parę osób musiało go, drania, do wagonu wpychać.

W pociągu za cholerę rozebrać się nie chciał i chociaż gorąco było jak wielkie nieszczęście, do samego Berlina zapięty na wszystkie guziki jechał, dopiero na miejscu kapotę ściągał, zające wyjmał i na tamtejszego Kiercelaka ich. Raz kilo śmietankowego masła razem z masielniczką na jakimś przyjęciu ze stołu nawalił. Inszą znowuż rząca cały baleron.

Prezydent czy minister nieraz to widzieli, ale przepis salonowy nie pozwala gościowi po mordzie nakłaść i towar odebrać, toż nic nie mówili, protokół tylko czasem na drania zestawili, ale nieważny, bo nie policyjny, tylko, uważasz pan, dyplomatyczny.

A gruby krugom między Berlinem i Warszawą jeździł. Co mu się wałówka skończyła, wintowkie bierze na plecy, sakwoją w rękie i zapycha do nas polować na nowe porcje.

Insze ewangieliki, jak to zobaczyli, myślą sobie: tam w tej Warszawie żyć, nie umierać, i całą kupą się do nas wybierają.

- Tak, tak, trzeba wiedzieć, kogo się do domu wpuszcza.

Gdy starsi politykowali, młodzież pod wodzą Maniusia Kitajca żegnała serdecznie wyjeżdżającego do wojska Władka. Panna Sabcia przysiadła się na chwilę do narzeczonego i patrząc mu z oddaniem w oczy, mówiła:

- Słuchaj, Władziu, jakbyś w razie czego w tem Berlinie jakąś szwabkie sobie przygruchał, pamiętaj, kocioł ukropu nagotuje, przyjadę tam do ciebie, tobie ślipie wyparzę, a jej rudy łeb cały z kudłów obedrę.

- To już ja pani gwarantuję, że do tego nie dojdzie, panno Sabciu. Już ja go przypilnuję. Przecież jesteśmy kolegami pułkowymi z tego samego 21 pułku Dzieci Warszawy - zaofiarował się dziennikarz.

- No tak, ale pan zostaje, a on jedzie.

-Tak wygląda sytuacja dziś. Jutro może być inaczej. Rozporządzenie o powszechnej mobilizacji jest już wydrukowane, jutro może być rozlepione.

- No to wszyscy idziemy, całą ferajną, Władka pilnować, żeby sobie szwabki w Berlinie nie przygadał - podchwycił Maniuś, wykorzystując moment dla wzniesienia toastu na cześć narzeczonych.

Następnie wypito zdrowie 21 pułku, potem kolejno poszczególnych batalionów i kompanii. Kiedy doszło do wiwatu na chwałę orkiestry i krawców pułkowych, Zagórski zauważył, że Maniuś Kitajec przy każdym wznoszonym toaście jeden kieliszek odstawia pod wiedeńską wyplataną kanapkę, na której siedział z kilkoma kolegami. Podążył wzrokiem za jego ręką i... oniemiał.

W półmroku panującym pod kanapką, błyskając białkami oczu i szeregiem olśniewających zębów, leżał Murzyn.

## ROZDZIAŁ IV

### w którym jest mowa o trzech mężach pani Fijolek i o dwóch konkurencyjnych pułkach piechoty

Kędy sześć pełnych powagi uderzeń ratuszowego zegara doleciało z Teatralnego placu na Zapiecek, Starówka dawno już wrzała normalnym życiem dziennym. Zza otwartych okien słyhać było stukanie szewskich młotków. Przed sklepy z hurgotem zajeżdżały żółte piekarskie wozy z napisem: „Złoty Róg”, „Wersal” albo „Pierwsza Warszawska Piekarnia Mechaniczna”. Uliczkami szybko szli do roboty ludzie z niebieskimi emaliowanymi bańkami. Kłapały rannymi kapciami dziewczyny biegnące do sklepiku po mleko. A samochody „Pod Minogą” ciągle jeszcze stały.

Nagle, wypchnięta od tyłu, opadła ze zgrzytem ciężka żelazna sztaba, uchyliło się drewniane skrzydło okiennicy i z trudem przeciskając się przez wąskie przejście, wyszedł na ulicę pan Aniołek. Z wysiłkiem otwierając zaczerwienione oczy, rozejrzał się bacznie dokoła, po czym zawołał do wnętrza baru:

- Git. W porządeczku. Możecie się urywać.

Spod „Minogi” pędem prawie wybiegł Murzyn Jumbo, wskoczył do wielkiej limuzyny, zatrzasnął za sobą drzwiczki, przykucając za nimi. Władek usiadł przy kierownicy, nacisnął starter i szybko odjechał. Zaraz potem wysypała się na ulicę reszta gości. Wszyscy ściskali restauratora, wypowiadając tradycyjny, niemal obrzędowy frazes:

- Panie Aniołek, co złego, to nie my!

Manius Kitajec odprowadził Zagórskiego do rogu Wąskiego Dunaju i zegnając się z nim, rzekł:

- Chyba redaktor Szuwaksa nie lignie?!

- No... naturalnie... chociaż szkoda mi szlagiera... ale niech tam... niech się policja sama pomęczy... - powiedział dziennikarz i z lekka niepewnym krokiem skręcił w Dunaj Szeroki, gdzie mieszkał pod numerem piątym w dawnej kamienicze Kilińskiego.

Wdrapując się na trzecie piętro po stromych, trzeszczących schodach, którymi chadzał z pewnością niegdyś szewc-pułkownik, dziennikarz myślał z niezadowolaniem, że wpakował się w nieprzyjemną sytuację. Znał tajemnicę zniknięcia Briksa, widział Murzyna Jumbo... Jak to widział?... Chłwał z nim całą noc... i zamiast podzielić się wiadomością z czytelnikami i policją, wypił z Murzynem bruderszaft i zobowiązał się słowem do milczenia. Był zatem tak jakby współnikiem tajemniczej afery... Oto do czego prowadzi wdawanie się z szoferską ferajną i różnymi Aniołkami.

Gorzkie rozmyślenia przerwała mu pani Fijolek, wdowa po trzech mężach, u której odnajmował pokój. Kiedy dość niezdecydowanymi ruchami zdejmował płaszcz w przedpokoju, pani Fijolek, zażywna., rumiana patrycjuszka staromiejska, przyglądała mu się bacznie przez chwilę, po czym rzekła:

- Pan Zagórski, zdaje się, pod humorkiem troszkie dzisiaj...

- Ja? Skąd... co też pani... w redakcji się zasiedziałem...

- Niech pan Zagórski nie zalewa... to nie wstyd... Mężczyzna, któren nie pije, po mojemu powagi żadnej nie posiada. Ja tam lubię, żeby chłop wypił sobie leguralnie i był palący. Rzecz wiadoma, dym z papierosów kwiatkom dobrze robi i robactwo się na

nich nie trzyma. Totyż moje mężowie wszystka trzech pili i palili. A już co najwięcej to pierwszy - Florian mu było. Kitwasiński na nazwisko. Z fachu był tapeciarz na salonowe robotę, ale przez to, że mu strażackiego świętego za patrona dali, przez całe życie marzył, żeby topornikiem w nowoświeckim oddziale straży się zostać. A już najwięcej wtenczas, kiedy się mocno uperfomował. W takiej chwili brał klucze od góry, na dach włąził i od komina do komina sobie chodził, że niby taki otczajny, że równowagi nie straci. Ja na to z okna patrzałam, ale nic nie mówiłam, bo krzyknąć na niego, od razu mgło mu się robiło i leciał pyskiem na dół. Ale zawsze w ostatniej chwili za rynnę się przytrzymał. Raz to prawdziwe strażaki z drabinamy musieli przyjeżdżać, żeby go z dachu zdejmować, bo kamizelką za kroksztyn się zaczepił i tak wisiał. Bardzo przyjemny był człowiek i mąż kochający... Myślałam, że życie sobie odbiere, jak raz w styczniu w pijanem widzie w Saskiem Ogrodzie do gołego się rozebrał i ślizgać się zaczął na sadzawce. Zaziębił się, ma się rozumieć, i umarł na kaszel. Całe szczęście, że harmonista mnie się trafił i za niego wyszłam. Ale ten znowuż wdał się w złe towarzystwo i zginął w pojedynku.

- W pojedynku? - zainteresował się Zagórski, który już wchodził do swego pokoju.

- A tak. Światowy to był człowiek, z lepszej rodziny. W „Dziekance” na harmonii pedałowej grywał i tam właśnie miał ten pojedynek. Na butelki. Ten miał wygrać, kto więcej wypije. Rozchodziło się o pieczonego prosiaka. Mój nieboszczyk miał mocną głowę i pojedynek wygrał, ale po piątej butelce wódka się w niem zapaliła i musiał zejść z tego świata. Po harmoniście był cukiernik. Moje trzecie weto - Fijolek. Ten znowuż miał takie wychowanie, że lubiał nietronkowego udawać. Przychodził schlany jak nieboskie stworzenie, ale na nogach równo się trzymał, tylko przez zęby mówił, żeby ankoholizm od niego nie podjeżdżał. Nieraz tak było trudno rozeznąć, czy pijany, że dopiero jak usnął, podchodziłam do niego powąchać, czy zalata wyborową, czy też wszak nie. Ale takie miał zmysłowe przytomność, że przez sen się odwracał i z tem swoim zapijaczonem obliczem pod poduszkie mnie uciekał. Pan Zagórski najwięcej mnie tego cukiernika przypomina, właśnie przez te mówienie przez zęby.

Roześmiał się na to Andrzej i powiedziawszy pani Fijolek przez zęby „do widzenia”, zniknął za swymi drzwiami. Szybko się rozebrał i rzucił na tapczan, zasypiając natychmiast. Ale po godzinie przysłali po niego samochód z redakcji. Proszono go o natychmiastowy przyjazd, gdyż będzie się robić dodatek nadzwyczajny o powszechnej mobilizacji. Andrzej był specem od dodatków. Pojechał więc zaraz na Marszałkowską.

Ale dodatek nie wyszedł, bo ogłoszenie o mobilizacji zostało wstrzymane. Między Warszawą, Berlinem, Paryżem i Londynem toczyły się jakieś rozmowy, były jeszcze nadzieje powstrzymania nadciągającej burzy wojennej.

Mobilizacji nie ogłoszono, ale w rzeczywistości już się odbywała. Warszawskie pułki szykowały się pośpiesznie do wymarszu.

Pewnego dnia, gdy Zagórski przechodził przez Zapiecek, pan Aniołek wciągnął go „Pod Minogę” i zapytał, czy nie wybrałby się nazajutrz na pożegnanie Władka, który właśnie odchodził ze swym pułkiem.

Pożegnalna defilada odbywała się na placu Na Rozdrożu. Cała prawie Warszawa wyległa żegnać swoje dzieci. Chodniki były zatłoczone publicznością. Nawet na drzewach i dachach siedzieli ludzie. Ku najwyższemu swemu zdumieniu Andrzej zobaczył, jak pan Aniołek, niepomny na swoje sto dwadzieścia kilo, zręcznie wdrapał

się na wysoki kasztan. Wkrótce między właścicielem „Minogi”, który wspinał się coraz wyżej, a jakimś pod nim ulokowanym uczestnikiem uroczystości zawiązał się następujący dialog:

- Panie szanowny - powiedział nieznajomy do pana Aniołka - czy mogię pana prosić, żebyś pan cofnął troszkie lewą nóżkę?

- W jakim celu?

- A w takim celu, że na dęciaku mnie pan stoisz i na uszy mnie pan wbijas do tego stopnia, że już orkiestrę mało co słyszę.

- To trudno, panie szanowny, na drzewie nie możesz pan wygod żądać. Tu kaźden wisi na olaboga i trzyma się, czego może. Jak pan chcesz muzyki słuchać, to idź pan do filharmonii, nie na defiladę. Jeżeli o wiele zresztą o melodie się rozchodzi, to mogię pana poinformować: „Polskie kwiaty” grają. Bęben pan słyszysz?

- Słyszę.

- No to dziękuj pan Bogu. Tamte faceci na dachu i tego nie słyszają, bo za wysoko, a także samo w niebezpieczeństwie życia się znajdują i jakoś spokojnie na rynnach siedzą, a pan tu grymasisz i grymasisz.

- Nie będę się z panem przekomarzał, bobym sobie język przygryzł, ale jeszcze raz pana proszę, zdejm mnie pan nogie ze sztywniaka, bo nie dosyć, że na fizyczne cierpienia mnie pan narażasz, ale jeszcze nakrycie głowy będę stratny.

- To uparty charakter człowieka, jak pragnę zdrowia. Zrozumę pan, że nie mogię zejść panu ze sztywniaka, bo jak tylko nogie uniese, równowagie stracę, omsknę się, z kasztana na zбитy łeb zlecę i pana szanownego w pelargonie, co na dole rosna, ściagnę. W ten deseń nie tylko wojskowe uroczystość zakłóciem, nie tylko za miejskie plantacje będziem odpowiedzialne, ale i defilady pan nie zobaczysz.

- Przekonałeś mnie pan, stój pan dalej na sztywniaku, ale noskiem, nie flekiem, bo na niem masz pan zdaje się podkówkę, która w ciemię mnie strasznie pije

- To nie podkówka, to gumowy obcas.

- Kauczuk, cholera, Bersona, twardy jak żelazo. Ale mniejsza o to, co tam jest, unieś pan ciut-ciut piętę w górę.

- Owszem, to mogię dla pana zrobić. No? Teraz lepiej?

- Dużo nie, ale zawsze poniekąd ulga jest.

- No to przestań pan gadać, bo się cały huźdam i pożegnania jak się należy nie widzę. Mój pułk jak raz nadchodzi, dwudziesty pierwszy z cytadeli. Ładnie posuwają, co?

- Owszem, nie można powiedzieć, ślicznie. Niech żyją Warszawskie Dzieci!

- Panie szanowny, krzyceć pan ostatecznie możesz, ale broń Boże brawa pan nie bij, bo równowagie straciem, a tam dzieci i kobiety pod nami.

- Nie wiem, czy wytrzymam. Psiakrew, warszawskie pułki wychodzą i w takiej nawet chwili swobody ruchu człowiek nie posiada, za podpórkie musi nieznajomemu osobnikowi służyć.

- Masz pan słuszną rację. Faktycznie zapomniałem się przedstawić. Aniołek się nazywam.

- Bardzo mnie przyjemnie, Kaczorowski jestem.

- Panie Kaczorowski, nie znasz pan tego pułku?

- Co nie mam znać, panie Aniołek, to trzydziesty szósty z Pragi, mój pułk.

- Służyłeś pan w niem?  
- Nie, ale praski rodak jestem, z Bródnowskiej ulicy - takim prawem pułk jest mój.  
- Faktycznie, że tak. Ja znowuż mieszkam na Starówce, to się pod dwudziesty pierwszy poczuwam.

- Ale musisz pan przyznać, że trzydziestka szóstka większy fason trzyma.  
- Jak dla kogo. Wiesz pan, żeby mnie jakiś obcy łachudra taką rzecz powiedział, już bym na niem po tem drzewie na dół jechał. Ale znajomemu tylko zaznaczę, żeby sobie twarzy cudzem pułkiem nie wycierał, bo to nie pasuje i fatalnie naciąć się można. Wszystkie pułki fason trzymają i z drygiem maszerują.

- Tak jest i na zgodę krzyknem razem: Niech żyje piechota!  
- No to lu, tylko ostrożnie... Zaraz, czekaj pan... Władek idzie...  
- Co za Władek?  
- Narzeczony córki... Widzisz pan tego plutonowego? To on... Właaadek... Właaadziu... W kuchni!... W kuchni!

- Kogo, panie szanowny, w kuchni?  
- Jak to kogo? Szkopów, co nam szurać zaczynają.  
Tu pan Aniołek, silniej uchwyciwszy się gałęzi, i pan Kaczorowski, chwytając i przyciskając mocno nogę pana Aniołka do swego sztywniaka, krzyczeli już razem.

- W kuchni szkopów, w kuchni!  
Po uroczystości całe towarzystwo złożone z pana Aniołka, Zagórskiego, spotkanej w Alejach zapłakanej Sabci oraz pana Kaczorowskiego, z którym restaurator bardzo się już zaprzyjaźnił, pojechało taksówką „Pod Minogę”. Ale dziennikarz szybko się pożegnał, gdyż już o piątej rano musiał być w redakcji, by napisać odcinek powieści, która szła właśnie w „Dobrym Wieczorze”.

Z ta powieścią to było tak. Autorem jej właściwie był kolega Andrzeja - Staś, świetny dziennikarz, uroczy człowiek, ale bibosz nad bibosze i fantasta niebywały. Po wydrukowaniu kilkunastu odcinków autor wstąpił pewnej nocy na piwo do restauracji na Dworcu Głównym. Wypiwszy piwo wsiadł w jakiś odchodzący właśnie pociąg i wyjechał w nieznaną. Nie dawał znaku życia przez tydzień. Koledzy byli zrozpaczeni, zamieszczali w „Expressie” i „Dobrym Wieczorze” duże ogłoszenie W ramce:

### ***Stasiu, wróć! Wszystko przebaczymy. Rodzice***

Ale Staś się nie odzywał, a powieść musiała iść. Nie było rady - cała redakcja kolejno pisała odcinki. Dziś właśnie wypadło to na Andrzeja.

Klnąc na czym świat stoi, snuł Zagórski dalszy ciąg sensacyjnej historii z życia wyższych sfer towarzyskich stolicy, przez zemstę wprowadzając do akcji coraz to nowe postacie ioczynając nowe intrygi.

Ponieważ znał powieść tylko z opowiadania kolegów plątał troszkę imiona bohaterów i zmieniał ich charaktery i kolor włosów. Bohater, którego autor wymarzył sobie jako spokojnego, smukłego blondyna, byt teraz przysadzystym brunetem o cholerycznym usposobieniu.

Połowę tego towarzystwa będzie musiał Staś powystrzelać, a drugą oddać do farby - myślał Andrzej pisząc z wściekłością odcinek.

Nagle na biurku zabrzączał telefon. Dzwonił z zecerni Adaś Barski, który łamał numer.

- Co z odcinkiem, daleko jesteś?
  - Mniej więcej w połowie, psiakrew; za pół godziny powinienem skończyć, cholera ciężka!
  - No to pisz, pisz...
- Po upływie pół godziny Barski odezwał się znowu:
- Dużo masz jeszcze?
  - Jeden akapit.
  - Tak? No to ci powiem... Wojna się zaczęła. Dranie zbombardowali Kraków, Tczew, Łuck i Grodno...
- Zagórski zamarł z wrażenia. Potem szybko napisał pod nie dokończonym odcinkiem: c.d.n., i pobiegł do zecerni.



## ROZDZIAŁ V

### w którym wszechstronnie poznajemy zastosowanie trumien, katafalków i innych akcesoriów pogrzebowych

Bokiem szosy, podpierając się wyciętym z przydrożnej wierzby kijem, szedł, z trudem stawiając opuchłą, owiniętą w jakieś szmaty nogę, młody człowiek w mundurze polskiego żołnierza.

Podarty płaszcz miał narzucony na ramiona, spod daszka rogatywki śmiertelnie zmęczonymi oczami patrzył na mijające go wozy, pełne wracających z „rajzy” uchodźców.

Nie próbował się przysiąc, gdyż przed godziną spotkała go odmowa. Jakiś siedzący na kupie tłumoków, otoczony rodziną zażywny jegomość popędził tylko konie, krzycząc na pożeganie:

- Nie ma miejsca... i Niemcy mogą się do nas przyczepić.

No tak, miał na sobie strzępy munduru, na czapce orzełka, to mogło narazić ostrożnego rodaka na zatrzymanie wozu.

Kuśtykał więc po błocie dalej, przemoczony do nitki przez siąpiący, październikowy deszcz.

Musiał wyglądać śmiesznie, Niemcy bowiem, siedzący na wielkich stalowoczarnych samochodach, ubrani w grube, gumowe płaszcze, mijając go wybuchali rykiem radości. Wozy były wspaniałe, miały numery rejestracyjne ze znakiem „Pol” i na bokach białe napisy urągliwej treści: Rundreise Heimat-Polen-Heimat... Turystyczna wycieczka z Niemiec do Polski i z powrotem...

Na maskach niektórych wozów umieszczone były trofea wojenne - ułańskie czapy z czerwonym lub białym otokiem. Ich właściciele polegli pewnie w śmiesznej szarży na czołgi i pancerki, aby zadokumentować raz jeszcze, że Polak, jeśli ma w rękę nawet tylko lancę lub szablę, broni do ostatka swego honoru. Taki już jest kiepski wariat.

Tak myślał kulejący żołnierz, patrząc na potok czarnych maszyn z napisem „Polizei”, zalewający jego pobitą ojczyznę. Szedł z Hrubieszowa do Warszawy po sześciu tygodniach beznadziejnych bitew i bezustannej poniewierki, do Warszawy podobno rozoranej bombami i zupełnie spalonej. Do Warszawy, z której tak niedawno wyszedł, oderwany od redakcyjnego biurka małą ćwiartką papieru, zawierającą krótki rozkaz:

„Porucznik rez. Zagórski Andrzej zamelduje się natychmiast w dowództwie pułku. Mundur polowy, broń boczna itd., itd...”

Nie zdążył się nawet pożegnać z pewną miłą dziewczyną, która nosiła sienkiewiczowskie imię Hania, pracowała u Jabłkowskich, wieczorami coś tam studiowała i mieszkała na Żoliborzu. Nie wiedział nic o niej, tak jak nie wiedział nic o Warszawie, prócz sprzecznych plotek. Ale niedługo miał się dowiedzieć, bo rozstawione już przez Niemców żółte drogowskazy obwieszaczały:

### WAWER - NACH WARSCHAU 8 KM

Zanocował w Wawrze, a rano powłókł się dalej. Na Grochowskiej było pełno ludzi. Długie ogony stały przed budynkiem, na którym umieszczony był wielki napis: „Deutsche Wohlfahrt”.

Przysłowiowo rude Niemki w okularach rozlewały mętną zupę, którą stojący w kolejce ludzie brali łapczywie w garnki i puszki po konserwach. Andrzej patrzył na popychany przez żandarmów tłum i myślał: Dranie, wołałbym zdechnąć.

Przez Zieleniecką, mijając zharataną pociskami i opustoszałą Saską Kępe, dostał się na most Poniatowskiego i wreszcie znalazł się na Nowym Świecie.

Ulica była do połowy rozwalona, gruzy jeszcze gdzieś dymiły mokłą spalenizną. U Bliklego zjadł kawałek razowca posmarowanego marmoladą, wypił pół czarnej z palonego żyta i pomaszerował do siebie na Starówkę.

\*\*\*

Wąskie znajome uliczki nie ucierpiały prawie wcale, były tylko niesamowicie zaśmiecone, wszędzie leżały góry słomy i potłuczonych szyb. Ośleple okna kamieniczek zasnuło bielmo dykt i tektur.

Na Zapiecku Zagórski zatrzymał się przed barem „Pod Minogą” i spojrzał na wystawę. Nie było białej kielbasy z cebulką, nie było cieleńcego dyszka, zniknęły słoje kwaszonych ogórków i śliwek w occie. W witrynie stały trzy puste butelki od piwa.

Andrzej wszedł do środka. Za bufetem całkowicie opróżnionym z zakąsek siedział ktoś, kto z pewnością kiedyś był panem Aniołkiem, dumnym ze swoich stu dwudziestu kilo żywej wagi. Dziś reprezentował najwyżej osiemdziesiąt. Czarny, błyszczący zawsze, za ciasny dawniej smoking spływał w fałdach i zwojach po jego smukłej figurze. Wychudła twarz zdradzała bezbrzeżny smutek. Tylko płowy wąs jak zawsze był wyszczotkowany i podkręcony w górę.

Pan Aniołek wytrzeszczył oczy, zerwał się ze stołka, wyciągnął rękę. ;

- Rany boskie, redaktor!

Przez bufet chwycił Zagórskiego w objęcia i tulił się do niego ze łzami w oczach.

Andrzej również był wzruszony. Po chwili usiedli przy stoliku pod oknem i pan Konstanty, trzymając swego gościa za kolano, mówił:

- No i co, fatalnie nas przerobili? Ale to frajer, gront, że się znajdujemy przy życiu. Nie masz redaktor pojęcia, jak się moje baby ucieszą. Krugom żeśmy redaktora wspominali, nawet w piwnicy pod bombami. Sabcia to, można powiedzieć, częściej o panu mówi, nie o Władku...

- To Władek nie wrócił?

- Do tych pór nie. Wszyscy już są na miejscu: i Maniś Kitajec, i oba Piskorszczaki, i Wacuś Małpa, i Heniek Arbuż - wszystkie wojskowe Niemcom najechali, tylko o Władku ani słycho, ani dychu. Podobnie na Węgry się dostał.

- To bardzo możliwe, bo jego batalion został przyciśnięty do węgierskiej granicy. Ale niech mi pan powie, panie Konstanty, jak żyjecie, jakie macie plany, jaką myśl przewodnią?

- Myśl przewodnia jest jedna - bić szkopa w pierwsze krzyżowe, jak kto potrafi. Jeżeli o wiele o mnie chodzi, to zamiaruje fabrykę pod sklepem założyć. Kociołek się postawi, parę rurek podłączy i robota poleci.

- No i co pan będzie produkował?

- Śmietankie od wścieklej krowy.

- Wódkę?

- Rzecz jasna, teraz podobnie bimber się to nazywa. Maniś Kitajec i Piskorszczaki jako bezrobotne szoferaki za szmuglem do Piaseczna chodzą. Zabierają czasem ze sobą

Sabcię, ale tylko tak, żeby się nie nudziła. Rąbankie, mąkie, cukier, wszystko jak leci do Warszawy taszcza. Cały mój interes tylko na tem, co oni przyniesą, się opiera.

Andrzej rozejrzał się po pustym barze.

- Nie widać, żeby się tak bardzo znowu przepracowywali.

- Ciężki frajer z redaktora, ktoże by tu towar trzymał. Ja tylko tak na lipę tu siedzę i szkopów informuje, że nic nie ma. Interes funkcjonuje pełnym gazem przez ścianę, u Konfiteora.

- Jak to, w składzie trumien?

- Wiadomo, tu by mnie hitleroszczaki wszystko wrąbali i wypili. A tam jak trumny i wieńce zobaczą, nawet nie włożą. Ale dla swoich gości wszystko się znajdzie, nawet na gorąco. Bo w jednym metalowym futerale maszynę do ciepłych zakąsek się skombinowało. Zresztą taka moda teraz w Warszawie - u lubilera kaszane kiszkie się kupuje, a u rzeźnika kamasze można sobie obstalować. Zaraz pójdziem do tromniarza, to się redaktor przekonasz, bo po podróży należy się panu jeden większy pod wieprzowy kotlecik.

Tu pan Aniołek wydobyl z szuflady klucz, wyprowadził gościa na ulicę, zamknął bar i po chwili weszli do zakładu pogrzebowego.

\*\*\*

Za biurkiem zastawionym talerzami i kieliszkami urzędował pan Konfiteor w towarzystwie dwóch staromiejskich patrycjuszów, z których jeden wyglądał na szewca, a drugi na piekarzaka.

Ujrzawszy Zagórskiego żałobnik otworzył ramiona i zawołał:

- Niech ja skonam, szóstka z gwiazdeczkami, szósteczka, szóstula, daj pyska.

Po serdecznym powitaniu i szybkiej wymianie obopólnych przeżyć pan Konfiteor uchylił wieko jednego ze swoich arcydzieł i wydobyl wielki półmisek zimnych zakąsek, chrzan, musztardę oraz litrową butelkę wódki. Obaj patrycjusze, uregulowawszy rachunek i rzuciwszy od drzwi sakramentalne pytanie: „Panie gospodarzu, jesteście w porządku?” - wyszli.

Wtenczas pan Aniołek wziął Andrzeja pod rękę i poprowadził do siedzącej w głębi zakwefionej damy.

- Co, nie poznajesz redaktor starej znajomości? To jest pani Emalia Czarnomordzik.

Andrzej absolutnie nie mógł sobie przypomnieć znajomej o podobnym nazwisku, ale w tej chwili dama w czerni podniosła się, odsłoniła krepę.

Przed zdumionymi oczami Zagórskiego ukazała się roześmiana twarz Murzyna Jumbo Johnsona.

- How do you do, mister Czerwoniak, how do you do. Moja cieszyć się bardzo z powodu pana widzieć, moja kochać pana mnóstwo za bardzo. . .

- Te, „moja, twoja”, znowuż żeś się zalał w bambus, jeszcze kiedy nieszczęścia przez to narobisz - wtrącił się marszcząc brew pan Aniołek, po czym zwracając się do Zagórskiego wyjaśnił: - Ile razy mordę zamoczy, zaraz zaczyna murzyńskim sposobem się wyrażać, na trzeźwo włada po polsku lepiej jak my oba.

Dziennikarz nie widział Murzyna od zareczyn Władka „Pod Minogą”, kiedy to ujrzał go po raz pierwszy pod wyplataną kanapką.

Andrzej odkrył wówczas tajemnicę zniknięcia Briksa i jego szofera, ale związany słowem, nie mógł zrobić z tego użytku. Zresztą w kilka dni później wybuchła wojna i wszyscy mieli inne zmartwienia.

Jumbo Johnson wypłynął, wziął udział w obronie Warszawy, spisywać się spisywał wspaniale, ale od końca września ukrywa się znowu, bo...

Powody tego wyluszczył pan Aniołek w następujący sposób:

- Rzecz wiadoma, że Niemcy Murzynów z miejsca zamykają do mamra, gdzie ich tylko przytracą, bo pod względem zabradzienia cielesnej rasy są dla nich niebezpieczne.

No bo faktycznie, jak by wyglądał jego syn szkop z karakułowem łbem i czekuladową mordą, kiedy jego prawo w charakterze blondyna świńskiego kolorka po świecie chodzić.

A nasz na dobitkę jeszcze nazwisko ma żydowskie. W taki sposób musiem go tu trzymać za wdowę żałobne Emalie Czarnomordzik. Cośmy się namęczyli, zaczęm żeśmy te nazwisko dla niego wymyślili. A jakie kosza mieliśmy. Chłop jest jak szafa - z połowy karabanu pierwszej klasy czarne sukno trzeba było zedrzeć, żeby mu kieckę uszyć, na welon dwie pary firanek musieliśmy ufarbować. I żeby się chociaż szanował. Ale on siedzi i tylko patrzy za goldą. Co i raz kielicha ze stołu łapie i pod welon go. W zeszłym tygodniu tak się nam zagazował, że wyskoczył z zakładu i na środku Zapiecka murzyńskiego trepaka zaczął zaiwaniać. Ludzie się zlecieli i nie wiadomo, co by z tego wyszło, żebyśmy jem nie wytłumaczyli, że to klientka, co tromne dla nieboszczyka męża przyszła stalować, raptem hisia z żalu dostała. My go tu tłumaczem, a ten łachudra coraz wyżej kieckie podnosi i takie hołubce odpuszcza, że aż iskry z bruku idą. Z ledwością żeśmy go do sklepu wciągli.

Tu obaj opiekunowie Murzyna poczęli na niego patrzeć tak surowo, że Jumbo opuścił oczy z zażenowaniem i prawdopodobnie się zarumienił.

Z kłopotliwego położenia wydobyło go wejście Maniusia Kitajca, który po serdecznym przywitaniu się z Andrzejem, przeprosiwszy w wyszukanych słowach towarzystwo, wziął na bok wdowę Emalię Czarnomordzik, recte Murzyna Jumbo, i rzekł przejmującym szeptem:

- Leżem!

- Dlaczego?

- Byłem w alei Róż. Szkopy zajęli dom. Jakieś paki wnoszą. Jednego z rozpylaczem postawili przy bramie.

- To nieklawo - odparła basem spod welonu wdowa Czarnomordzik. - Taka harmonia forsy pod podłogą się marnuje, a my nie mamy przystępu.

- Ile tam tego może być...

- Mister Briks mówił, że milion... Trzeba tylko od drzwi odliczyć trzy kroki i dwa od kominka, podnieść klepkie i wyjąć pakiet.

- Jakżeż, chamie w żałobie, podniesiesz klepkie, kiedy szkop nawet w bramę cię nie wpuści? I nie denerwuj mnie, bo cię mogie fizycznie znieważyć. Tu trzeba użyć szemranego kantu... Czekaj... czekaj, a może by w ten deseń...

## ROZDZIAŁ VI

### w którym poznajemy geniusz narratorski pani Fijolek i w którym krystalizuje się wątek sensacyjny

Pani Fijolek powitała Andrzeja ciężkim omdleniem. Skropiona przez niego obficie wodą otworzyła jedno oko i kazała mu złożyć uroczystą przysięgę, że nie jest nieboszczykiem, za którego duszę właśnie dziś rano odbyło się zakupione przez nią u franciszkanów uroczyste nabożeństwo z wystawieniem katafalku obstawionego światłem, bo utorowanie drogi do nieba alkoholikowi, nawet początkującemu, nie jest rzeczą łatwą.

Andrzej zapewnił swoją gospodynię uroczyście, że jest człowiekiem w stu procentach żywym, ale musiał powtórzyć przysięgę kilkakrotnie, gdyż trzej zmarli mężowie pani Fijolek, zjawiając się u niej po śmierci w charakterze widm, też mieli zwyczaj zapewniać, że nigdy nie umierali, że jej tak się tylko wydawało. Dopiero przyparci do muru przyznawali się, że są nieboszczykami, po czym niezwłocznie znikali jak kamfora.

Ponieważ Andrzej siedział ciągle na krzeselku, pani Fijolek, jakkolwiek na razie zwracała się do niego per: „Proszę ducha...” - wreszcie uwierzyła i energicznie zajęła się kolacją. Chociaż Andrzej zapewniał ją, że nie jest głodny, gdyż wraca prosto spod „Minogi”, musiał zjeść talerz zalewajki i kilka, doskonałych zresztą, placków kartoflanych.

Po kolacji pani Apolonia, mimo sprzeciwu swego cudem odzyskanego sublokatora, wprawnie opatrzyła mu chorą nogę, okładając ją jakimiś liśćmi o cudownych własnościach gojących.

Usta jej się przy tym nie zamykały nawet na chwilę.

- Strach, cośmy tu przeżyli, panie Zagórski, jak te europlany zaczęli po dachach szorować i bombami Warszawę obrzucać. Naród w piwnicy siedział i modlił się wniebogłoso. A najgorzej to było z tem gazem. Jednego dnia po południu ktoś krzyknął, że Niemcy gaz puścili. Sodoma, Gomora i piekło gorące się wtenczas zaczęło. Wszyscy, ma się rozumieć, uciekli z piwnicy i dawaj na dach się pchać, bo gaz podobnież na dole najwięcej szkody człowiekowi narobić może. Wlatamy na pierwsze piętro i dech nam zatkało - jakaś kalikatura przy drzwiach gospodarza stoi: nogi ludzkie, korpus deliktus także samo, a łeb - świnia nie świnia, stoń nie stoń... Świńska morda z kiszka. Zaczęli ludzie na razie uciekać, ale się pokazało, że to gospodarz w gazowe maskie się ubrał. Reszta lokatorów masek nie miała, tylko chustki octem się kropiło i nos zatykało. Ledwo żeśmy na górę od bielizny wpadli, a tu trrrrach... europlan po dachu jedzie, tylko patrzeć, jak bombę puści; wtenczas wszyscy porzucali butelki z octem i dawaj znowuż po schodach do piwnicy lecieć. Nic nam się tą razą nie stało, tylko gospodarz o mały figiel życia nie stracił. Zaczął ni z tego, ni z owego w tej masce po podwórku latać, rękamy machał, na trzepak się wdrapywał, przed ludźmi klękał... Myśleliśmy na razie, że hisia ze strachu dostał. Byli tacy, co radzili, żeby go dobić, bo jak tu wariata w schronie trzymać. I co się, panie Zagórski, pokazało... Założyć gospodarz maskie założył, ale zapomniał, jak się zdejmą. Jak zaczął koło niej majdrować, dziurę od powietrza sobie zatkał i byłby się udusił na amen, bo na całym Dunajcu nikt nie wiedział, jak się z taką maską obchodzić, bo to była angielska. Dopiero cały nasz dom złapał za te kiszki i dalej po podwórku gospodarza w te i

nazad taskać. Trzy razy śmietnik naokoło z niem oblecieli, zaczem maska zlazła. Żył jeszcze, tylko uszy miał cośkolwiek naderwane. A więcej nikomu nic się nie stało, bo to, uważa pan Zagórski, nie byli żadne gazowe bomby, tylko ten szofer Maniek, co go nazywają Kitajec, przyniósł panu Śmieciuszce butelkę wódki. Podaje mu ją przez okienko od piwnicy, a pan Śmieciuszka się pyta: „Co to jest?” A Kitajec mówi: „Gaz”. Ktoś to usłyszał i panikę na cały schron zrobił, że to atak gazowy.

Długo jeszcze opowiadała pani Fijołek Andrzejowi o wojennych przeżyciach Starówki, ścieląc mu jednocześnie łóżko. Przyniosła potem własną pierzynę i mimo jego protestów, odpowiednio „wzruszywszy” w niej pierze, okryła go po szyję.

Leżąc w łóżku, słuchał chętnie jej barwnych opowiadań o wspólnych znajomych, przy akompaniamencie śpiewu rozbudzonego światłem karbidówki kanarka Wojtusia.

Patrzył na starą mahoniową komodę i bambusową etażerkę, na której we wzorowym porządku leżały jego książki. Na okno zastawione szczelnie fuksjami i rododendronami. Na fotografii trzech mężów gospodyni, w przykładowej zgodzie wiszących obok siebie w jednakowych ramkach z czerwonego pluszu.

Pani Fijołek przerwała na chwilę opowieść, przyniosła od siebie z kuchni małą buteleczkę z rubinowym płynem, nalała na stołową łyżkę i podsunęła mu do ust.

- Cóż to jest?

- Niech pan Zagórski wypije duszkiem. To jest balsam od księży kapucynów z Miodowej ulicy. Na wszystko pomaga: na rany, na oparzenie, na kaszel, na egipskie zapalenie oczów i... jak komu źle na świecie...

Wzdragając się nieco, wypił Andrzej łyżkę niezwykłego lekarstwa i przymknąwszy oczy, czuł, że czad ustępuje mu z głowy, że gorycz odpływa z serca. Po chwili spał już mocno.

Cicho tykał zegar na ścianie, z chrzęstem opuszczały się ciężkie jego „wagi” na mosiężnych łańcuszkach.

Kapucyński balsam był naprawdę cudowny.

O pół do siódmej rano, kiedy pani Fijołek bawiła jeszcze na prymarii u sakramentek, przyszedł Maniś Kitajec z obu braćmi Piskorskimi.

Przeprosiwszy za tak wczesną wizytę, panowie usiedli na krzeselkach obok łóżka, po czym pan Maniś zagaiał:

- My tu wszystka trzech, nie licząc Szuwaksa, chcemy zrobić redaktorowi pewną prepozycję, którą zaraz będzie pan miał zaszczyt usłyszeć. Co tu dużo w bawełnę obwijać i ogródkiem chodzić. Dostaliśmy knoty i Polska nasza chwilowo leży. Ale knoty knotami, Polska Polską, a żyć trzeba. Dlatego też chciałbym zrobić zapytanie, jak redaktor zamieruje w dzisiejszem czasie zarabiać na tak zwane koryto i mieszkanie? Piśmiennictwo w tem „Nowem Kurjerze Warszawskim” to, skarż mnie Bóg, wiem, że nie. Trzeba by coś inszego wymyślić...

- Przyznam się panom, że nie zastanawiałem się jeszcze nad tym.

- A my już. I mamy dla redaktora robotę. Inteligentna, prawie że lubilerska.

- Faktycznie - potwierdzili obaj bracia Piskorscy.

- Cóż to takiego?

- W Warszawie, jak redaktor zauważył, jest w obecnem czasie choleryczny przeciąg. A dlaczego? Bo szyby powylatali. To co na to poradzić? Trzeba wprawiać. A kto ma wprawiać? Inteligentne faceci, którzy w swoim fachu nie mogą na razie pracować.

- Faktycznie - zaakceptowali znowu bracia Piskorscy.  
- A więc proponują mi panowie, żebym się zajął szklarstwem? Ale przecież to trzeba umieć, trzeba mieć odpowiednie przyrządy...

- Proszę, diament jest. - Tu pan Maniuś położył na stole pięknie oprawiony diament.  
- Linia, kit oraz i sztyfta będą na każde żądanie. A przykrajać szybko każdy lejek potrafi, a nie dopiero redaktor. Zresztą wyrobiliśmy panu praktykie u szklarza Biedronki na Krzywem Kole.

Andrzej był wzruszony. Obiecał, że jutro stawi się na lekcję.

- Ale jakie tam jutro, już dzisiaj po południu będzie redaktor szklił w alei Róż, aż kit będzie przyskał.

- Nie rozumiem, a cóż wam tak pilno?

- Rzecz jest taka. My tu wszystka trzech, nie licząc Szuwaksa, zamierzamy przeprowadzić remont tego budunku, w którym mieszkał ten Amerykan, co to u niego Murzyn na packardzie jeździł, pamięta redaktor.

- No jakże, Briks, zaginiony w tajemniczych okolicznościach milioner.

- Zgadza się. No i więc ja, jako główny derektor naszej firmy, poszłem tam wczoraj, żeby przyjąć robotę. Ale chałupę zajęli Niemcy i jednego szkopa z rozpylaczem postawili przy bramie. Podchodzę do niego, żeby mu wytłumaczyć, co i jak jest, i na początek robię mu takie pytanie:

„Kape wu polnisz?”

A ten oczy na mnie postawił i nie kapuje ani słowa. Wtenczas ja mu pokazuje na wybite okna i mówię:

„Trzeba to oszklić”.

Ale on widocznie był ze wsi, nic nie rozumie i pyta się:

„Was?”

No to ja zaczynam z niego duraka walać:

„Nie nas, ale was trzeba oszklić”.

A ten krugom głupi. Na to ma się rozumieć wyszłem z nerw i krzyczę:

„Szyby że trzeba wstawić, chamie na jeża strzyżony, bo wszy wam kataru dostaną”.

A ten „los” i rozpylaczem mnie w klatkie piersiowe.

No to ma się rozumieć poszłem do domu, ale przypomniało mnie się, że redaktor włada po niemiecku i będzie mógł z niemi nie tylko szklarskie, ale i inne roboty w tem domu obgadać.

- No dobrze, ale dlaczegoście się uwzięli pracować dla Niemców?

- My dla szkopów? - Tu Maniuś Kitajec zamienił z Piskorszczakami spojrzenie, które niewątpliwie zaniepokoiłoby dumnych zdobywców Warszawy.

- Rozchodzi się o to - mówił dalej szofer tajemniczym szeptem - że prencypał Szuwaksa dużą forszę w gabinecie pod podłogą zamelinował i my mamy życzenie ją stamtąd podwadzić.

- Jak to, cudze pieniądze?

- Jakie cudze? Amerykanie, skarż mnie Bóg, prędzej czy później do wojny przystąpią, czyli że staną się naszymi sojusznikami. To ktoże sojusznika forszę ma pod podłogi wyjąć, sojusznik czy Hitler w ząbek chesany?

- Poza tym cała historia z tym Briksem mi się nie podoba, to są pieniądze bardzo niewyraźne.

- Jakież niewyraźne? Szuwaks na własne oczy widział dziesięć paczek nowiużeńskich pięćsetek, prosto spod prasy, i żelazne skrzynie, w której byli złote dolary.

- W każdym razie ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Szkoda, ale mówi się trudno. To niech nam redaktor chociaż podanie po niemiecku skopiuje, to może nam te robotę dadzą.

Andrzej, okrywszy się szlafrokiem, wypisał żadaną ofertę.

Maniś złożył ją starannie, schował do kieszeni i rzekł:

- My w każdym bądź razie dzisiaj tam posuwamy, musiem sojuszniczą forszę przykaraulić i śmiertelnemu wrogowi odebrać, taka jego...

- Maniś, nie wyrażaj się przy... kanarku - przerwał mu starszy Piskorszczak, wskazując na klatkę z Wojtusiem. Po czym trzej panowie, lekko się skłoniwszy, wyszli.



## ROZDZIAŁ VII

### W którym ulegają ruinie marzenia nieustraszonej trójki z Zapiecka raz gabinet niemieckiego generała

Głuchy tupot nóg kilku biegnących ludzi i okrzyki: Hat! Halt, przerwały martwą ciszę pograżonego w ciemnościach Zapiecka. Trzy cienie oderwały się od murów starych kamieniczek po prawej stronie ulicy, przebiegły szybko jezdnię i przypadły do zamkniętych na drewniane okiennice drzwi baru „Pod Minogą”.

Jeden z uciekających zapukał w deski i zawołał:

- Panie Aniołek

Lewe skrzydło okiennicy uchyliło się błyskawicznie i bezszelestnie. Do wnętrza wsunęli się kolejno bracia Piskorscy. Na ulicy, coraz bliżej, słychać było pełne wściekłości:

- Halt!... Halt!... Halt...

- A kiszkie z grochem - odpowiedział na to pod nosem Maniś Kitajec, wchodząc i zapinając okiennice na wielki żelazny hak. Maniś był trzecim cieniem. W tej chwili wzdłuż Zapiecka zagwizdały kule i rozległa się seria wystrzałów z automatu.

Zbiegowie stali chwilę z zapartym oddechem. Chodnikiem poczłapało kilku ludzi w podkutych butach

- Przelecieli!... - skonstatował starszy Piskorszczak dodając zręczny frazes, kwestionujący legalne przyjsie na świat oddalających się Niemców.

- Chodźcie do mieszkania - szepnął pan Aniołek, stąpając z gracją na paluszkach. Wyszli za nim tylnym na podwórze, a po chwili znaleźli się jego prywatnych apartamentach, na pierwszym piętrze tegoż domu W oświetlonej tylko ogniem płonącym pod blachą kuchni siedzieli przy stole: Murzyn Jumbo w swym wdowym stroju oraz właściciel zakładu pogrzebowego pan Celestyn Konfiteor.

Na widok wchodzących Murzyn i żalobnik zerwali się, wołając jednocześnie:

- No i co? Macie?

- Mamy - odrzekli na to również razem bracia Piskorscy. - Ucho od śledzia.

- Dlaczego?

Maniś Kitajec długo nie odpowiadał, stał na środku kuchni z założonymi po napoleońsku rękami i mierzył Murzyna od stóp do głów niedobrym spojrzeniem.

- Dlaczego, do cholery?

- Dlatego, do wielkiej cholery, że ty, afrykańska lebiego, niewidymko, z samego środka puszczy, humorystyczną drakie z koleżków uskuteczniaasz.

- Na szklenie szkopom okien, na stolarskie roboty, a także samo przestawianie piecy giestapowcom warszawskich szoferaków napuszczasz!...

- Kitajec, co ty barłożysz?

- To barłożę, że w tem gabinecie pod podłogą nie tylko miliona złotych, nie tylko żelaznej skrzynki z dolarami, ale nawet karaluchów nie ma i nigdy nie było.

- Stonogi owszem byli - dodał jeden z braci Piskorskich.

- Stonogi dwie, trzy byli, ale złotówki ani jednej.

- A dobrze szukaliście?

- Czy dobrze szukaliśmy? - Tu Maniś z gryzącą ironią spojrział na dwóch towarzyszy swojej wyprawy. - Zapytaj się, za karakuły szarpany, tego niemieckiego gienerała, któren w tem gabinecie gości miał dzisiaj przyjmować i nie mógł.

- Bo gabinet przy tym szukaniu został poważnie wykończony i kapitalnego remontu potrzebuje - uzupełnił starszy Piskorszczak.

- A swoim porządkiem forsa tam jest. Powiedz mnie, Kitajec, po kolei, jak żeście szukali.

- Zwyczajnie. Przyszliśmy we trzech na te aleje Róż, z tą lekramą, którą nam redaktor wypisał. Pokazałem papier jednemu, co przy bramie stał, przeczytał i mówi: „Ja, ja, gut” i zaprowadził nas na pierwsze piętro do jednego grubego szkopa w starszym wieku. Ja byłem za szklarza. Stasiak Piskorszczak za stolarza, Szmaja zdona strugał. Jak raz w tem gabinecie piec jem dymił i z miejsca nas tam zataszczyli.

Wsadził Szmaja łeb w drzwiczki, patrzy, ale głupi, co robić, żeby nie dymiło. Podchodzi Stasiak do okna i zaczyna do pucu parapet reperować. A ja szukam tej piętnastej kleпки w podłodze, pod którą ta dana forsa miała się znajdować.

Znalazłem ją i kompinuję, jak by się tu wziąć do odrywania. Ale to była niemożliwość fizyczna.

- Dlaczego? Sztamajzy nie miałeś ze sobą?

- Owszem, sztamajze miałem, ale przy biurku siedział jeden z mordą.

- Co za jeden z mordą?

- Właśnie ten ów generał. Mordę miał jak szafa. Siedział i pisał. Kopyta jak raz trzymał na tej klepce. Wyrwał ją spod niego - senne marzenie. Totyż myślę sobie, jak go tu z gabinetu wystraszyć?

Podchodzę koniec końców do okna i lu w szybę młotkiem. Ma się rozumieć wyleciała i wiatr z deszczem zaczyna się pompować do pokoju.

Generał zerwał się od biurka, nogamy tupie, drze mordę, jak wielkie nieszczęście, a my wszystka trzech tylko się kłaniamy i przepraszamy, że wypadek przy pracy nam się przytrafił.

Rugał nas jeszcze z pół godziny, potem poleciał i przyprowadził ze sobą wiewiórkę.

- Jaką wiewiórkę?

- Rudego szkopa, któren ciut-ciut po polsku władał - wtrącił młodszy Piskorszczak, zwany Szmaja.

- Wiewiórka znowuż dawaj mordę na nas rozpuszczać i dookoła skikać. A potem oba-cwaj rodzinę nam po kątach rozstawiali w dwóch językach.

A my nic, tylko się kłaniamy. Ja Staśka do pucu raz i drugi w arbuz, że to niby on winien. Zapluli się, cholery, nakrzyczeli aż do chryпки i poleciali. Wiewiórka na odchodnem naszczekała nam, żeby wszystko było gotowe za pół godziny, bo generał gości będzie w gabinecie przyjmował.

Myślę sobie: dobra nasza. W pół godziny forszę znajdziem. Kazałem Szmajowi piec rychtować, a my ze Staśkiem zaczęliśmy kleпки odrywać. Odrywamy piętnaste, szesnaste, dwudzieste - nie ma nic. Ale jużemy się na te pieniądze zawzięli, zrywamy dalej - nic!

Wtenczas taka nasz krew zaczęła zalewać, żeśmy wszystkie kleпки na dach w całym gabinecie zerwali. A forsy jak nie było, tak nie ma.

Jeszcze więcejemy się zgniwali i dawaj ślepe podłogie, co pod klepką była, rąbać. Wyrąbaliśmy ją, wyrąbaliśmy legary, co pod ślepą podłogą byli, i nic - milion nieobecny.

Wtenczas żeśmy dopiero sprzytomnieli i patrzem, że cały gabinet do góry nogami wybebeszony. Na dobitek Szmaja z nerw piec do samej podłogi rozebrał. Z rusztem w ręce stoi i trzęsie się ze strachu.

Co tu robić, jak pragnę zdrowia. Gienerał tylko patrzeć jak nadleci. Szmaja radził za drzwi się schować i jak wejda, tego z mordą rusztem w łeb zaprawić, a wiewiórkie deską czterocalówką.

Aleśmy zdrefili i najechaliśmy przez okno, całe szczęście, że drzewo rosło blisko.

Takiego cugu dostaliśmy, żeśmy się oparli dopiero na Podwalu. Patrzeć, a tu z Długiej żandarmi wychodzą i „Halt” do nas. A że była już godzina policyjna, to my ma się rozumieć chodu. A oni za namy, ledwo żeśmy dolecieli do „Minogi”.

- Dałeś nam, Szuwaks, kataru z tem swoim milionem, nie ma o czem mówić i jeżeli o de fakt chodzi, powinniśmy ci fest bańki postawić za takie żarty.

- Jakie żarty, forsa tam była, a co się z nią stało, nie wiem.

- Nie mogła być, bo żadnych śladów pod podłogą nie było. Grzebaliśmy tak, że o mały figiel do parteru żeśmy się nie przebili.

- W jaki sposób do parteru? Na którym wy piętrze byliście?

- No na pierwszym.

- Ach, że ty żłobie, że ty ciemna maso, przecież mówiłem, że gabinet jest na drugim.

- Skarż mnie Bóg, mówiłeś na pierwszym!

- Niech ja skonam - zaperzył się Murzyn, zrywając sobie z głowy kapelusz z welonem i rzucając go na ziemię - niech ja skonam, na drugim!

Gwałtowne pukanie do drzwi przerwało nagle kłótnię.

- Kto tam? - zapytał pan Aniołek. Zza drzwi odpowiedział chrapliwy głos:

- Polizei

## ROZDZIAŁ VIII

### w którym cała Warszawa tonie w zupie żółwiowej i który kończy się przykrym zajściem z powodu niewinnej damskiej torebki

Usłyszawszy za drzwiami groźny niemiecki głos, Murzyn Jumbo dał nurka pod łóżko, ale Maniuś Kitajec wyciągnął go stamtąd natychmiast. Włożył mu na głowę wdowi kapelusz, zapuścił na twarz krepowy welon i szepnął:

- Rozpaczaj!

Następnie szybkim ruchem przewrócił Szmaję na pościel, nakrył prześcieradłem na głowę i powiedział: - „A ty za nieboszczyka będziesz” - stanął ze stroskaną miną u wezłowania.

Pan Aniołek z lekkim drżeniem otworzył drzwi i... zaklął:

- Ażeby cię nagła krew zalała z takimi żartami... W drzwiach stał Wacus Małpa z roześmianą twarzą.

- Za taki kącik humoru można sobie parę tygodni w szpitalu na chirurgicznej sali poleżeć - rzekł ponuro Maniuś, ujmując w rękę sosnowy taboret.

- Ach, że ty szóstko nie heblowana - klął pan Konfiteor. - O mały figiel pulpetacji serca przez ciebie nie dostałem.

Jumbo, odrzuciwszy w tył welon, dyszał ciężko, a Szmaja wystawił spod prześcieradła głowę i rozglądał się dookoła, na próżno pragnąc zrozumieć coś z tego, co zaszło.

- Daj blat, Maniuś... Nie gniewaj się pan, panie Aniołek... Szuwaks, coś tak mordę odął jak kaczka kuper?... - podjął pojednawczo autor niefortunnego żartu. - Trzeba się troszkie pośmiać w tych ciężkich czasach, bo inaczej cholera by nas z samego żalu wzięła. Zaczeni mnie sobaczyć, posłuchajcie propozycji, jaką chcę wam zrobić.

- W jakim charakterze? - zainteresował się Maniuś.

- Rzecz jasna, że w handlowem.

- Szmugiel?

- Jaki tam szmugiel - coś lepszego. Zima idzie, czas najwyższy w opał się zaopatrzyć... Właśnie się dowiedziałem, że na Gdańskiem trzy pociągi węgla stoją - grubszy orzech i kostka drugi numer. ..

- Po czemu? - zapytał rzeczowo pan Aniołek.

- Nie wiesz pan? Pięć minut strachu i dobre nogi.

- „Na lułę” po węgiel chodzić rzecz niebezpieczna, pierwszy lepszy szkop jak kota cię zastrzeli - skrzywił się Kitajec.

- Frajera zastrzeli, ale chłopakowi ze Starówki nic nie zrobi. „Na lułę” trzeba umieć chodzić. Z naszymi kolejarzami „przez bufet” się całą sprawę przedtem przeprowadza, a oni już pilnują.

- Chyba że tak.

- I to nie tylko węgiel można brać, ale i różne inne rzeczy: ciepłe bieliznę, wojskowe buty, czekuladę, pończochy, wino - co się w wagonie trafi. Zależy tylko od szczęścia. Interes jest jak złoto. PKO - pewność i zaufanie.

Wacus Małpa przemawiał jeszcze czas jakiś, po czym obecni zawiązali coś w rodzaju towarzystwa akcyjnego, mającego na celu eksploatację zawartości wagonów niemieckich kolei państwowych. Panowie Aniołek i Konfiteor zadeklarowali włożyć

odpowiedni kapitał. Wacusz Małpa, Kitajec oraz Piskorszczaki przyrzekli najcenniejszy wkład - pracę i ryzyko osobiste.

Ponieważ zajęcia w przedsiębiorstwie z natury rzeczy musiały się odbywać w ciemności, nic nie stało na przeszkodzie zatrudnieniu również Murzyna Jumbo.

Firma rozpoczęła działalność dnia następnego i widocznie rozwijała się świetnie, wprowadzając na rynek coraz to nowe towary, gdyż po upływie dwóch lat egzystowania zarzuciła Warszawę artykułem tak niezwykłym, jak żywe żółwie.

Pewnego słonecznego czerwcowego popołudnia Andrzej Zagórski szedł Marszałkowską w towarzystwie wysokiej, przystojnej szatynki, dźwigającej dużą elegancką torbę „gospodarską”.

Przy „Szwajcarskiej” zwrócił jego uwagę tłum ludzi otaczający wózek, na jakich zazwyczaj sprzedają w Warszawie owoce. Tym razem było tam coś innego.

Sprzedawca zasłonięty przez gapiów wołał:

- No i komu taka bomba, panowie, no i komu? Na zupe, na sztukamię, na jajecznicę i na grzebienie. U Hersego nie ma tego, co u mnie się znajduje, panowie. Żółw za życia rozrywki umysłowej nam dostarcza, a po zabiciu w charakterze żółwiowej zupy swoje zastosowanie posiada, mięso z chrzanem pierwszorzędnie smakuje, a ze skorupy gęste grzebienie dają się wyrabiać. Brać i wybierać, panowie, każda jedna sztuka darmo, bo tylko dwadzieścia pięć złotych!

Głos przekupnia wydał się Andrzejowi znajomy. Przystanął i ujrzał Maniusia Kitajca z największym żółwiem w rękę, wygłaszającego powyższe przemówienie reklamowe.

Ujrawszy Andrzeja, Manius oddał żółwia swemu pomocnikowi.

- Handluj, Szmaja, bo ja muszę troszkie porozmawiać... - i pobiegł się przywitać.

Zagórski, uradowany, przedstawił go swej towarzyszcze.

- Pozwól, Haniu, to jest pan Manius, mój stary przyjaciel o którym tyle ci opowiadałem.

- A, to pan namówił Andrzeja na szklarstwo, pan mu pożyczył diament! - mówiła szatynka, obrzucając Maniusia wdzięcznym spojrzeniem głębokich orzechowych oczu.

- Dziękuję panu w jego i swoim imieniu, to mu pozwoliło przetrwać najcięższy okres.

Manius skłonił się wytwornie, ucałował jej rączkę w sposób świadczący o dużej swobodzie towarzyskiej, ale odpowiedział z lekkim zażenowaniem:

- To frajer, pani szanowna, to jest, chciałem powiedzieć, szczeniak... czyli, jak to mówią, drobiazg. Gront, że żyjemy i jesteśmy jeszcze „na chodzie”, bo na dużo już ludziach kwiatki wyrosli, a jeszcze więcej siedzi - dodał ciszej.

- Ale pan, zdaje się, dobre interesy robi? - podchwycił Andrzej.

- Co to za interesy, męczę się z temi żółwiami jak wielkie nieszczęście.

- I skąd pan doszedł do takiego artykułu?

- Spółkie z niejakim Adolfem założyliśmy. Nie mogię powiedzieć, stara się nawet chłopak. Szampana z Paryża nam przysyła, papierosy z Grecji, cytryny i pomarańcze od koleżki Musolińszczaka, gdzie co może na świecie przykaraulić, przykaraula i do nas zasuwają, a my już dalej opylamy.

Ale ostatnią razą nas naciął. Otwiera Szmaja wagon, maca i mówi: kamienie, ale zaraz w krzyk, że kamienie się ruszają. Wytrzymasz oczy, patrzę - żółwie cholery... Chcieliśmy wagon zamknąć, ale żółwie widać Wisłę poczuli, bo chodu z wagonu i zaczęli nam się po torach rozlać.

Na to Wacusi Małpa mówi: „Trudno, bierzem żółwie, na zupeł ich się sprzeda”. Mieliliśmy worki z sobą, to się naładowało żółwi i dawaj ich po restauracjach nosić. Ale nic się prawie nie rozeszło i w taki sposób z wózków sprzedajemy. Warszawa wszystko kupi, tylko trzeba troszkie lekramy. I jakoś odchodzą. Dzisiaj prawie każdy warszawiak już od nas żółwia posiada. Dla hecy ludzie kupują, bo przecież nie do spożycia. Ja osobiście mgłości dostaje, jak o zakupie z tych drani pomyśle.

- No a cóż słyhać z tym waszym skarbem, wydostaliście?

- Niech mnie redaktor lepiej nie wspomina. Byliśmy tam jeszcze raz, bo się Szuwaks uparł, że forsa tam jest... Ale cafnijmy się troszkie w tył, bo nieprzyjemne powietrze będzie...

- Dlaczego?

- Dwa „zera” się mijają.

Istotnie z głośnym dzwonieniem wyminęły się dwa prawie puste tramwaje oznaczone numerem „O” i napisem - Nur für Deutsche. Andrzej roześmiał się serdecznie, bo nie znał jeszcze nowego warszawskiego kawału o dwóch niemieckich zerach. A Manius Kitajec mówił dalej:

- No i tak nasz, ma się rozumieć, Szuwaks mordował, aż znowu daliśmy się zbajerować i poszliśmy w te aleje Róż. Ale tem razem z Murzynem, którego za kominiarza był przebrany i przez staroświecki pokojowy kominek zamiarował do gabinetu z forszą się dostać.

Wleźliśmy na dach, spuściliśmy go w komin i... o mały figiel byłby się tam został na wieki wieków amen. Między trzeciem a drugim piętrem stanął, bo brzuch ma jak bęben, tak się na posadzie u tromniarza rozbuchał, że ani go w te, ani we wte. Na dobytek kaszlu od dymu dostał, tak że myśleliśmy, że nam się na fest udusi. Wtenczas z rozpaczy jakżeśmy szarpnęli, wyciągliśmy go, ale nago. Marynarka, spodnie i desusy w kominie się zostali. Jakaś Niemka go zobaczyła i zemgłała, bo był krugom goły, tylko szczotkie kominiarskie przed sobą trzymał.

Rzecz jasna, że dorożka z opuszczoną budą do domu zmuszone byliśmy wrócić i na razie nie zamierzamy więcej tam chodzić. Chociaż Szuwaks odpoczął i znowu namawia i barłoży, że jakiś tam nowy sposób wykompinował... Ano, jak się z temi żółwiami skończy, to zobaczymy, może się spróbuje.

A redaktorowi jak się powodzi? Nie mieszka już pan chyba na Starówce, bo kopę lat żeśmy się nie widzieli?

- Mieszkam tam nadal, tylko trochę siedziałem, a teraz jestem prawie stale w rozjazdach.

- To szklarstwo poszło w kąt?

- No tak, Warszawa już oszklona.

- Teraz w Berlinie szyby trzeba by wstawiać, bo Angliki z naszemi lotnikami podobnież noc w noc ich rąbią.

- W dzisiejszym komunikacie Niemcy podają, że tylko jedna wieś spłonęła skutkiem bombardowania - wtrąciła szatynka. Manius Kitajec przymrużył oko.

- I z tej jednej wsi dzisiaj rano piętnaście tysięcy spietranych szkopów przyjechało? Niezgorsza musiała być wieś.

- Tak czy owak nie wybieram się do Niemiec w charakterze szklarza. Zarzuciłem ten fach.

- A co pan robi?

- Handluję herbatą i kawą...

Nagle na ulicy zaczął się dziwny ruch. Przechodnie znajdujący się bliżej bram zaczęli do nich wbiegać. Inni kryli się po sklepach. Większość jednak bezradnie kręciła się po chodnikach i jezdni, otaczana zielonym pierścieniem żandarmów, którzy wyskoczyli z nienacką z przejeżdżających „bud”.

Róg Nowogrodzkiej, na którym sprzedawano żółwie, był w samym środku żandarmskiego kotła.

Maniś Kitajec spojrział Andrzejowi w oczy i zapytał:

- Ma pan co tryfnego przy sobie?

- A jeśli nawet...

- To dawaj pan żywo.

- A co pan z tym zrobi?

- To moja rzecz.

- Hania, daj torbę - szepnął Andrzej do narzeczonej.

- Co tam jest, gazetki? - badał pośpiesznie Maniś.

- Tak, i...

- Broń?

- Granaty.

Maniś Kitajec gwizdnął cicho przez zęby z przestraczem i podziwem, ale chwycił szybko torbę.

- Hände hoch! - wrzasnął za nimi młody, rumiany żandarm o świńskich oczkach, wpierając lufę rozpylacza w plecy Andrzeja.

## ROZDZIAŁ IX

### w którym żółw okazuje się bohaterem, a Jumbo w fatalny sposób wypada z roli żalobnej wdowy

Zagórski podniósł wolno ręce w górę. Żandarm, nie odejmując lufy rozpylacza od jego pleców, obmacał mu jedną ręką kieszenie, po czym ryknął:

- Ausweis!

Dziennikarz ruchem głowy wskazał kieszeń, w której znajdował się portfel z dokumentami. Niemiec wydobyl go, przejrzał kilka kwitów i kartek, a następnie zajrzał do „ausweisu”, opiewającego, że właścicielem jego jest Andrzej Zagórski, z zawodu szklarz.

Czerwona twarz żandarma nabierała powoli barwy burakowej, po chwili, dusząc się prawie z wściekłości, wykrztusił:

- Schwinde... Falsch... „Lyppa”!!

Wsunął „ausweis” za brązowy mankiet munduru i poszedł do wózka, gdzie Manius Kitajec usiłował ukryć torbę Hani wśród swego pełzającego towaru.

Wylegitymowawszy Maniusia, chwycił z wózka torbę, wsadził w nią łapę i krzyknawszy: Donnerwetter, cofnął natychmiast. Z torby wyrzwał, rozglądając się z obojętną miną dokoła, wspaniały żółw.

Żandarm rzucił torbę na wózek z takim rozmachem, że Kitajec odskoczył gwałtownie w tył, mimo woli zasłaniając sobie oczy rękami, ale to, czego się obawiał, nie nastąpiło.

Niemiec sprawdziwszy jeszcze dokumenty Hani skinął na Andrzeja;

- Komm mit!

I popychając go przed sobą rozpylaczem poprowadził w stronę „bud”. Manius Kitajec, Hania i Szmaja patrzyli z daleka, jak Niemcy ładowali na samochody kilkadziesiąt osób, wśród których był Andrzej. Chodniki z powrotem zaroily się ludźmi którzy wyszli z bram, sklepów i przyglądali się odjazdowi zatrzymanych.

Andrzej, wchodząc na otwartą ciężarówkę, machał ręką i uśmiechał się do narzeczonej i przyjaciół handlujących żółwiami.

Długo patrzyli za odjeżdżającymi samochodami, wreszcie Manius rzekł do Hani:

- Niech się królowna nie przejmuje, redaktor chłopak szemrany, urwie się jakoś... Skarż mnie Bóg... urwie się! A teraz trzeba iść do domu, bo pogoda nie nadaje się dzisiaj na spacer.

Hania, jak automat, wyciągnęła rękę po swoją torbę.

- Nie, „kawa i herbata” zostanie na wózku. Odprowadziem panią do domu. Likwidacja interesu - pies z niemy tańcował i z żółwiami!

Hania usiłowała protestować, mówiła, że bardzo dziękuje, ale pójdzie sama, nie może ich przecież narażać.

- Jakie tam narażanie. Wózek wszędzie przejedzie. Owszem, nie mogię powiedzieć, mojra fatalnego odczułem, jak szkop rzucił ten majdan z granatami na wózek. Zamknąłem oczy i myślę - no, za chwileczkie wszyscy razem z wózkiem, z całym nabojem i żółwiami draniami obudziem się w niebie. Właściwie było mnie wszystko jedno, bojałem się tylko, czy od świętego Pietra po uchu nie dostanę za kradziony towar, ale myślę sobie, musi chyba być tam jakaś amnestia.



W razie czego do Matki Boskiej Częstochowskiej się uderzy, to nas wyłomaczy, bo najlepiej widzi, jak my się tu męczym - nadrabiał humorem Maniuś, ale Hania tak była przygnębiona, że nie słyszała nawet, co do niej mówił.

Powlekli się Marszałkowską, Królewską i Wierzbową na Starówkę, gdzie Maniuś miał zamiar zamelinować gazetki i granaty „Pod Minogą” do czasu, kiedy Hania ustali miejsce, gdzie można je będzie złożyć, gdyż mieszkanie Andrzeja stało się z chwilą jego aresztowania terenem niebezpiecznym.

Kiedy wózek zatrzymał się przed Cafe „Pod Minogą”, Maniuś wziął torbę i przepuszczając Hanię przed sobą, wszedł do baru. Wszedł i zdrętwiał.

Przy honorowym stoliku pod oknem siedzieli przy piwie trzej niemieccy żandarmi.

Za bufetem tkwił, ponury jak noc, pan Aniołek, obok z wyniosłą miną kroił kielbasę na kanapki jego małżonka, pani Serafina. Po sali kręciła się kelnerka, a zarazem wychowanica państwa Aniołków, Sabcia, na którą Niemcy wołali co chwila:

- Panęka, pywo, pręko! Pręko... - i zaśmiewali się do rozpuku.

W niszy usadowiła się orkiestra złożona z dwóch smutnych, wychudłych panów, z których jeden grał na harmonii, a drugi na skrzypcach. „Minoga” przeżywała nowy etap swojego rozwoju. Filia w zakładzie pogrzebowym przez ścianę została dawno już zlikwidowana. Zakąski, w nierównie skromniejszym niż przed wojną zakresie, zdobyły już jednak bufet.

Orkiestra wносиła życie i nastrój, nie to było jednak powodem jej zaangażowania. Pan Aniołek zrezygnował z samogrającej szafy, by dać zarobek dwom bezrobotnym muzykom, z których jeden był zresztą ukrywającym się oficerem, a drugi byłym urzędnikiem MSZ.

Maniuś Kitajec po chwilowym odrętwieniu podszedł swobodnie do bufetu i wręczając panu Aniołkowi torbę rzekł:

- Panie gospodarzu, to jest ten zółw na zupe, co go pan u mnie stalował. Wybrałem najładniejszą sztukie. Należy się trzydzieści złotych.

Pan Aniołek, nie mrugnawszy nawet okiem, odpowiedział:

- Jakie tam trzydzieści, ćwiartkie będziesz pan miał dosyć - i otworzywszy szufladę wypłacił Maniusiowi dwadzieścia pięć złotych.

Po czym bez pośpiechu zaniósł pakiet z zółwem do kuchni.

Hania, szybko zorientowawszy się w sytuacji, udając, że nie zna Maniusia, usiadła przy wolnym stoliku.

- Poproszę o obiad - zwróciła się do przebiegającej Sabci, za którą jeden z żandarmów, brunet z czarnym wąsikiem wyglądający na Austriaka, wodził pełnym uwielbienia wzrokiem. Ilekroć przechodziła koło niego, chwycił ją za rękę lub za fartuszek, wpijając się palącym spojrzeniem w jej błękitne oczy. Ona wykręcała mu się zgrabnie, wołając półgłosem z czarującym uśmiechem:

- Poszoł wont, głupi szkopie! Hitlera za „ząbek” pociągnij.

A on zamawiał co chwila u orkiestry jakiś nowy niemiecki kawałek. Posłuszni muzycanci, którym Niemcy kazali podać po kuflu piwa, z chmurnymi minami grali różne „Lili Marlen” czy „Blaue Soldaten”, a żandarmi, doskonale zresztą, śpiewali na głosy.

Maniuś Kitajec przyglądał się temu czas jakiś, wreszcie rzucił orkiestrze dziesięć złotych i zawołał:

- A teraz: „W mogile ciemnej śpisz na wieki”.

I podczas gdy orkiestra z uczuciem grała zamówiony utwór, patrzył przeciągle na żandarmów i mamrotał pod nosem:

- To jest dla was kawałek, psia wasza nędza... Wszyscy pójdziecie spać, niech się tylko Ameryka wtrąci!

A gdy orkiestra skończyła, wydobyl drugą dziesiątkę i znowu zamówił:

- W mogile ciemnej!

Teraz siedział w zupełnym milczeniu, patrząc na żandarmów tak, jakby już leżeli w owej ciemnej mogile.

A oni nucili za orkiestrą nie znaną sobie melodię, ku cichej radości pana Aniołka, który porozumiewał się z Maniusiem rozweselonymi spojrzzeniami.

Kiedy orkiestra grała „mogilę” po raz zdaje się czwarty, drzwi z trzaskiem się rozwarły i wpadła olbrzymia postać w żałobnej sukni, powiewając krepowym welonem.

Wdowa Emalia Czarnomordzik, bo była to oczywiście ona, w jakichś szalonych podskokach podbiegła do bufetu, wyciągnęła ramiona do restauratora i wrzasnęła: - Panie Aniołek, buzi! Buzi i gazu, gazu i buzi! Leżą, leżą, cholery!

Pan Aniołek przerażony, mrugając i chrząkając znacząco, usiłował zwrócić uwagę wdowy Czarnomordzik, recte Murzyna Jumbo, na swych niemieckich gości.

Ale to nic nie pomagało. Jak nie pomagało również, że Manius Kitajec ciągnął go z tyłu za sute falbany żałobnej szaty. Jumbo, pijany tajemniczym szczęściem, wyrwał się panu Aniołkowi, oswobodził swój tren z rąk Maniusia i śpiewając na jakąś wściekłą jazzową nutę jedno tylko słowo: Ameryka!! Ame-ry-ka!! A-m-e-r-y-k-a!!! - rozpoczął dokoła sali dziki one-step przechodzący w szaleńczą czeczotkę.

Trzymając go za welon pędzili za nim pan Aniołek, pan Konfiteor, który nadbiegł ze swego zakładu, ale Murzyn szalał dalej.

Osadził go wreszcie na miejscu Manius Kitajec delikatnym bykiem w żołądek, przewracając na krzesło i przyciskając za gardło do ściany.

- Wariat, co robisz?!

- Ameryka się wtrąciła - wykrztusił zduszonym głosem Murzyn, ale w tej chwili spojrzął na siedzących żandarmów i zemdłał.

Manius szybko wlał mu w usta szklanke wódki i nasunął na oczy kapelusz.

Pan Aniołek usiłował ich zasłonić swoją korpulentną figurą i wytłumaczyć Niemcom zjawisko. Pukał się więc w czoło i bełkotał:

- Kuku! Kuku na muniu! Króla ma! Mysigieniec!

Korzystając z tego pan Konfiteor wziął Murzyna pod pachę i starał się wyjść z nim jak najspieszniej z baru.

Ale w tej chwili Niemcy jak na komendę wydobyli rewolwery i krzyknęli razem:

- Halt!

## ROZDZIAŁ X

### w którym. Jumbo robi mało zaszczytną karierę, a pan Aniolek zawiera ważną transakcję finansową

„Adria” szalała. Strumieniami lało się piwo Habermuscha - od pewnego czasu w Warszawie nur fur Deutsche. Lokal był już dawno nur fur Deutsche. Stoliki poobsiadali lotnicy w błękitnych, kusych kurtkach, Wehrmacht w szarych mundurach i partyjniacy, ubrani na pierniczkowo, z krwawymi opaskami na rękach. Między nimi piszczały, wrzeszczały, wierciły się wypięte, wyondulowane Blitz-Madeln ze służby łączności.

Nagle gwar ucichł, drzwi z trzaskiem się otworzyły, orkiestra zagrała tusz i wszedł, poprzedzany przez swego „pazia”, małego folksdojca w mundurze Hitler Jugend, sam władca miasta Warschau i okolic, gubernator Ludwik Fischer. Rozdając na prawo i lewo łaskawe uśmiechy, gdzieniegdzie poklepując przyjaciół, gubernator chroniony przez straż tylną, złożoną z kilku gestapowców wyższych stopni, zajął miejsce w honorowej łoży. Wymokinywany dyrektor kawiarni, spocony z przejęcia, podbiegł do orkiestry, poszeptał z kapelmistrzem, po czym wybiegł z sali. Rozległ się gong, parkiet zalały światła reflektorów i program się zaczął.

Jako pierwszy numer popisywała się tłusta tancerka. W chwilę później zmieniła ją „Piątka wesółych żandarmów GG”. Byli to mili, rozdokazywani chłopcy, którzy w dzień rzucali do Wisły z mostu Poniatowskiego przyłapanie na ulicach żebrzące żydowskie dzieciaki, a wieczorem śpiewali tu prześmieszne piosenki z ewolucjami.

Gdy weseli żandarmi w burzy braw zeszedli z parkietu, muzyka zaczęła jakąś egzotyczną, zgiełkliwą, szaloną a rytmiczną melodię. Zza kotary szybko jak kula wypadł i począł wirować w kręgu światła reflektorów ubrany, elegancki frak, białe getry i cylinder z białym rondem, wysoki, barczysty Murzyn.

Widzowie zamarli z wrażenia. Mlecznobiałe, blondynkowate Niemki nie spuszczały oczu z hebanowego tancerza; pożerały go wzrokiem, z dreszczykiem i trwogą myśląc o artykule niemieckiego prawa dotyczącym zhańbienia rasy.

Powtórzywszy trzykrotnie popisową swoją czeczotkę, Jumbo wypadł za kulisy. Szybko przebrał się w zwykły marynarkowy garnitur, gabardynowy płaszcz, nasunął na oczy kapelusze i tylnym wyjściem wy dostał się na ulicę. Stał na rogu Marszałkowskiej i Moniuszki, chwilę nad czymś rozmyślał, wreszcie ociężałym krokiem ruszył na Starówkę.

Trzy tygodnie już upłynęło od czasu jego aresztowania przez żandarmów „Pod Minogą”. Siedział kilka dni. Badano go trzykrotnie, dlaczego się ukrywał we wdowich szatach za krepowym welonem. Ale zdołał ich wreszcie przekonać, że bał się jedynie represji z powodu swej przynależności rasowej.

Szef gestapo, o którego cała sprawa się oparła, przewertowawszy odpowiednie dzieła rasistowskie i poradziwszy się telefonicznie Berlina, doszedł do wniosku, że jeden Murzyn w prowincjonalnym mieście Guberni Generalnej nie jest zagrożeniem bezpieczeństwa dla czystości rasy wielkich Niemiec, i kazał go wypuścić.

Wtenczas to zaczął Jumbo swoją karierę artystyczną. Żandarmi, którzy byli świadkami jego występu „Pod Minogą”, polecili go dyrektorowi „Adrii” jako wielką atrakcję. Jumbo nie chciał na razie słyszeć o tańcu na parkiecie, ale kiedy Niemcy się uparli i zagrozili ponownym aresztowaniem, musiał się wreszcie zgodzić. Tańczył więc, ale z każdym dniem czuł dla siebie większą pogardę.

Mieszkał teraz już otwarcie z Maniusiem Kitajcem, który jakkolwiek udzielił mu rozgrzeszenia, w chwilach złego humoru nazywał go „gestapowskim baletnikiem” i kazał do siebie mówić per „szanowny panie Marian”.

Ale nie to gnębiło najbardziej Murzyna Jumbo. Wraz z całą ferajną spod „Minogi” męczył się od kilkunastu dni nad sposobem wydobycia z Pawiaka Andrzeja Zagórskiego.

Co wieczór odbywały się w barze długotrwałe na ten temat narady. Rzucano najrozmaitsze projekty. Jumbo zaproponował kiedyś przesłanie na Pawiak w paczce z żywnością niepotrzebnego mu już wdowiego stroju wraz z kapeluszem i welonem.

Jego zdaniem redaktor, przebrawszy się w ubikacji w suknię i zapuściwszy krepę na twarz, z łatwością będzie mógł opuścić więzienie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Po wysłuchaniu tego projektu audytorium popatrzyło na jego autora przeciągle, a Maniś Kitajec, nic nie mówiąc, powstał, ujął go za kołnierz i wyprowadził do kuchni, zamykając za nim starannie drzwi.

Powstały natomiast inne, realne już możliwości uwolnienia Andrzeja za pomocą grubszej łapówki.

Żandarm, wiedeńczyk, zalecający się coraz wytrwalej, choć bez żadnego skutku do Sabci, za pośrednictwem tłumacza, którym był harmonistą zakładu, były urzędnik MSZ, wyznał jej kiedyś, że zna drogi, jakimi można uwolnić Andrzeja z rąk gestapo.

Pan Aniołek, działając jako prezes komitetu uwolnienia Andrzeja, powiadomił natychmiast o nadarżającej się okazji Hanię, zapraszając ją na najbliższe posiedzenie komitetu, odbyć się mające dziś właśnie o godzinie ósmej wieczorem. Przypomniawszy sobie to, Jumbo przyspieszył kroku.

Hania stawiała się „Pod Minogą” punktualnie. Zmizerniała bardzo przez te trzy tygodnie ciągłej obawy o los Andrzeja, przy którym nic kompromitującego co prawda nie znaleziono, ale dla gestapo wystarczył w tym wypadku sam fakt ukrycia prawdziwego zawodu, w dodatku jeszcze takiego jak dziennikarstwo. Wysyłka do obozu była murowana, o ile nie coś jeszcze gorszego, o czym bała się myśleć.

Pan Aniołek zaprosił Hanię na górę do swego prywatnego mieszkania, gdzie już zebrany był komitet in corpore, z panem Konfiteorem, Maniusiem Kitajcem i Murzynem, który właśnie nadszedł. Czekano na konfidenta. Prezes zagajając posiedzenie oświadczył:

- Przede wszystkim, pani szanowna, bez nerw, przejmować się nam nie wolno! O wiele chcemy Dolka, w ząbek czesanego łobuza, przetrzymać, musiem się jako tako odżywiać.

To mówiąc położył jej na talerzu pół kaczki i przysunął salaterkę pełną kompotu. Nie pomogło wymawianie się, musiała zjeść udko, wypijając kieliszek bimbru, bo pod tym jedynie warunkiem komitet zgadzał się przystąpić do obrad. Gdy wykonanie tego żądania zostało protokolarnie stwierdzone, przewodniczący chrząknął, przygotowując się do przemówienia. Ale przerwało mu trzykrotne pukanie do drzwi.

- Jest! - szepnął pan Aniołek. - Kitajec, Szuwaks i pan, panie Celestyn, schowajcie się żywo do szafy, bo jak zobaczy tyle osób, może się spietrać.

Wymienieni panowie szybko ulokowali się w wielkiej dębowej szafie gdańskiej, pan Aniołek zamknął za nimi drzwi, pozostawiając tylko wąską szparę, pozwalającą na wysłuchanie przebiegu ciekawej sprawy.

Dokonawszy tego pan Konstanty pośpieszył do drzwi i za chwilę zjawił się w pokoju z chudym, płaskim, jak gdyby przez wyżymaczkę przepuszczonym panem o niespokojnie biegających maleńkich oczkach i długim, haczykowatym nosie.

Pan Aniołek, nie przedstawiając Hani przybyłego pana, wskazał mu krzesło i od razu przystąpił do rzeczy:

- No, panie tego, co ten interes ma kosztować?

Konfident obrzucił baczny spojrzeniem Hanię, a potem pokój i przymrużając jeszcze, o ile to było możliwe, swoje minimalne oczki, odparł z westchnieniem:

- Zaraz... zaraz, drogi panie... tak nie można, pieniądze nie są w tym wypadku najważniejszą rzeczą. Najpierw muszę się dowiedzieć, o kogo chodzi i w jakich warunkach nastąpiło aresztowanie.

Hania opowiedziała mu krótko okoliczności aresztowania i dotychczasowy przebieg śledztwa.

Splaszony pan wznosił oczy w górę.

- Boziu! Boziu! co za czasy... młodzież, kwiat narodu... w lochach więziennych! Wszy, pluskwy, szczury... katowanie... straszne... straszne... - i oczy zaszklily mu się łzami.

Pan Aniołek patrzył na niego z wściekłością.

- No faktycznie, ale wiele pan żądasz, żeby pana Zagórskiego z tych lochów wypuścić?

- Ja? Ja? Ja nic... ja wyłącznie przez współczucie, dla tej naszej przyszłości, dla młodzieży... To Niemcy, Niemcy żądają... A państwo drodzy jak sobie życzą... w mięciutkich... w twardzioszkach... czy też może brylanciki jakieś są?

W tej chwili w szafie coś stuknęło. Konfident obejrzał się niespokojnie, ale pan Aniołek odwrócił jego uwagę mówiąc:

- Nie, panie szanowny, my góralami.

- Och, to słabiutka walutka... słabiutka, coraz słabsza... dużą harmonijkę tego trzeba będzie, dużą!

- No wiele... Wyduś że pan nareszcie.

- Tak myślę... że z pół setuchny tysięcy.

W szafie rozległ się wyraźny łomot. Konfident zerwał się z krzesła,

- To u sąsiadów przez ścianę - uspokoił go pan Aniołek. - Bój się pan Boga, za co pięćdziesiąt kawalków, żeby Franka zastrzelił albo chociaż Fischera, toby było warto, ale w zwyczajnej łapance bez dowodów wpadł.

- Wiem, wiem, słyszałem, słyszałem, ale cóż, koszta własne zabijają. Tu prezencik, tam prezencik, tu kolacyjka, tam śniadanko, a Warszawka śliczne miasteczko, ale drogie, bardzo drogie.

- Nie, panie, to jest żywa granda, tyle nie damy...

Nagle rozległ się potężny trzask, drzwi szafy rozwarły się na całą szerokość i wypadł z nich Murzyn Jumbo, przyciskając do siebie suto wyszywaną dżetami, balową toaletę pani Aniołkowej, razem z ramiączkiem. Straciwszy równowagę Jumbo spadł wprost na konfidenta, okręcając mu głowę wymienioną toaletą. Przerażony pośrednik padł na kolana, zduszonym głosem wołając o litość.

Ale w ślad za Murzynem z przepaścistego wnętrza szafy wyskoczył Maniś Kitajec wołając:

- Daj mu pan te pięćdziesiątkie!

Konfidenta rozwinięto z sukni, podniesiono z kolan tłumacząc, że nie jest to żadna zasadzka, lecz po prostu przyjaciele więźnia schowali się do szafy chcąc niewidzialnie asystować przy tej rozmowie. Jeden z nich przez nieostrożność zerwał wiszącą tam suknię i spowodował katastrofę. Mąż zaufania gestapowców uwierzył wreszcie, uspokoił się i obiecał przyjść nazajutrz po pieniądze, ale już nie „Pod Minogę”. Umówił się z panem Aniolkiem na swoim terenie, w barze „Za Kotarą” na Mazowieckiej.

Przed odejściem Maniūs Kitajec ostrzegł go jeszcze:

- Panie mistrzuniu, ale w razie uwolnionka nie będzie, to forsunia nazad, bo może być przykrościunia.

Oburzył się na takie przypuszczenie, obiecał solennie i bezszelestnie się ulotnił.

Hania po jego wyjściu podziękowała serdecznie przyjaciołom Andrzeja za ich trudy, ale niestety są one daremne, gdyż o zebraniu takiej sumy marzyć nawet nie może. Organizacja zaś, do której należą, w jednym z wpadunków utraciła kasę i pieniądze będzie miała dopiero z następnego zrzutu, który ma się odbyć za dwa tygodnie. A tymczasem Andrzeja wywiozą.

- Forsa będzie jutro - odrzekł na to spokojnie Maniūs Kitajec.

- Jak to? Czyżbyście panowie byli aż tak poczciwi, tak zacni, tak „morowi”? Chcecie te pieniądze wyłożyć? - mówiła niemal ze łzami Hania.

- My? Kto to powiedział? - przerwał jej Maniūs. - Dlaczego my?

- Więc kto?

- Hitler wyłoży. Już wyłożył. Dzisiaj w nocy przyważyliśmy mu z wagonu dwieście kilo kakao i worek pieprzu. Wystarczy.

## ROZDZIAŁ XI

### w którym ukazuje się nielegalna ręka sprawiedliwości i z którego wynika, że więcej zdziała lut sprytu niż pięćdziesiąt tysięcy złotych

Trzy razy wchodzili do różnych bram panowie Aniołek i Maniūs Kitajec, dwukrotnie podnosili w górę ręce na Hande hoch, ustawicznie przechodzili z jednej strony ulicy na drugą, by ominąć krążące gęsto niemieckie patrole, zanim dostali się z Zapiecka na Mazowiecką.

W barze „Za Kotarą” chudy konfident czekał już na nich od pół godziny przy stoliku pod oknem, obok wejścia. Gdy przysiedli się, pan Aniołek bez słowa podciągnął w górę nogawkę spodni, odpiął wielką agrafkę i wydobył zza skarpetki sporą paczkę „górali”. Potem postąpił identycznie z nogawką prawą. Ułożył na stoliku dwie paczki banknotów i pośliniwszy wielki palec, począł liczyć.

Maniūs Kitajec rozglądał się tymczasem po lokalu przedzielonym pośrodku wiśniową kotarą, od której „interes” wziął swoją nazwę.

W pierwszej części spelunki siedzieli pochyleni ku sobie elegancko ubrani goście, pogrążeni w prowadzonych szeptem rozmowach. Niektórzy na bibułkach wypisywali jakieś skomplikowane rozliczenia.

Lepsza ferajna - myślał pan Maniūs. - To te faceci, co smażone kartofle i sekondowe wskazówki do zegarków wagonowo sprzedają.

Za wiśniową kotarą słychać było również jakieś przyciszone rozmowy, tam się zbierała elita tego towarzystwa, wielcy waluciarze i najgrubsze ryby spośród agentów gestapo.

Pan Aniołek odliczył 50 tysięcy złotych stanowiące wykup za Andrzeja i wręczył konfidentowi, który uchwycił je chciwie i pośpiesznie schował do kieszeni.

Ktoś szarpnął wiśniowy plusz i wyszli trzej młodzi ludzie o zaciętych twarzach i stalowych oczach. Przeszli przez bar. Młodzieniec przy drzwiach zapinając palto powiedział obojętnym tonem:

- Nie ruszać się! - i wyszedł za nimi. Maniūs Kitajec przeczekał pół minuty, wyskoczył spod stolika, ujął za rękę pana Aniołka i zawołał:

- Chodu!

Rzucili się ku wyjściu.

W drzwiach pan Aniołek zawahał się, odwrócił się na pięcie i skoczył do konfidenta, który w dalszym ciągu siedział z otwartymi ustami i oczami wbitymi w sufit.

Pan Aniołek błyskawicznie rozpiął mu gabardynowy sak, wydobył z bocznej kieszeni jego marynarki plik banknotów, który mu niedawno dał, i ruszył na ulicę.

Z baru leciał za nimi czyjś zawodzący, pełen rozpaczony jęk:

- Zabili... zabili... tyle ludzi!...

Na Mazowieckiej panował normalny ruch. Trąbiły i warczały niemieckie auta. We wszystkie strony mknęły rączsze riksze unoszące eleganckie kobiety lub paki szmuglu.

Panowie Maniūs i Aniołek biegli wyciągniętym kłusem, przyhamowując tylko niekiedy na widok Niemców, przez Świętokrzyską i Nowy Świat, po czym przez bazar wydostali się na Tamkę. Tu w małej knajpce usiedli przy stoliku i nic nie mówiąc odpoczywali.

Pan Aniołek kazał wlać dwie butelki piwa w olbrzymi kufel, wypił jednym haustem i sapiąc rzekł:

- No, popędzili nam kota fatalnie...  
- Faktycznie, nie można powiedzieć, przelecieliśmy się troszkie - odrzekł Maniś.  
- W każdym bądź razie to było straszne. Jeszcze nie mogię przyjść do siebie, jak sobie wspomnę. Taki mnie żal serce ściska, taki żal... Ciągłe mam przed oczami, jak te kule lecieli... Leci jedna i trzask, „Perła” Baczewskiego, przedwojenna, z półki spada, leci druga i „Pomarańczową niesłodzoną” Haberbuscha, dzisiaj rzadkość, w drabiezgi tłucze! Leci trzecia i „Kapucynek” Rektyfikacji Warszawskiej, okaz przedwojenny, cholera bierze Okropność! Wyrok wyrokiem, ale trzeba że troszkie uważać na taki rzadki artykuł!

- A to pan o tem mówi, a ja myślałem, że pan po tych giestapowcach tak rozpacza.  
- No wiesz pan, panie Maniś! Bojałem się tylko, żeby nam tego naszego nie uszkodzili. Chociaż zdaje się, że i tak zakitował ze strachu.  
- Cale szczęście, żeś pan miał zmysłowe przytomność forszę mu w ostatniej minucie odebrać.

- No tak, ale co teraz będzie z redaktorem?  
- Czekaj pan, panie Aniołek, spróbuję jeszcze tego kapusia przytrafić. Jeżeli kapci ze strachu nie wyciągnął, to na pewno przyleci do teatru.

- Do jakiego teatru?  
- Uważasz pan, dowiedziałem się, że on w jednym teatrze na Marszałkowskiej ulicy biletamy handluje, na lewo, za przekupnia. Pojedziem tam, to może go się jak raz spotka. Bardzoś pan dobrze zrobił, żeś pan te „śmiecie” odebrał, bo faktycznie te młodziaki mogą się tam wrócić i tego lebiegie dokończyć. Ale o wiele nie, to forszę trzeba mu jeszcze raz dać i niech próbuje Zagórskiego z giestapo wykupić.

Zapłacili za piwo, wsiedli w tramwaj i pojechali do teatru. Nie znając jednak nazwiska przekupnia-konfidenta, poczęli się rozpytywać wśród bileterów, określając go bardzo dokładnie. Funkcjonariusze teatralni znali poszukiwaną osobistość doskonale, ale stwierdzili, że na razie jest jeszcze nieobecna.

Pan Maniś z właściwym sobie talentem towarzyskim nawiązał kontakt. Pokazał bileterom opatrzoną czerwonym lakiem główkę półlitrowej butelki, którą miał w kieszeni, wskutek czego wszelkie lody zostały przełamane i wszyscy panowie udali się na widownię, gdzie siedząc w krzesłach, skracali sobie czas oczekiwania na konfidenta puszczając w obieg wyżej wzmiankowaną butelkę z czerwoną główką.

Na scenie odbywała się właśnie próba nowej rewii.

Aktorzy skończyli jakiś skecz, odezwał się fortepian, wbiegła para tancerzy, gdy nagle przy drzwiach zaczął się jakiś ruch.

- Panie Aniołek, patrz pan, co się robi...

- A co?

- Nie widzisz pan, znowuż jakieś młodziaki drzwi obstawiają, zdaje się apiać będziemy lecieć na Tamkie na piwo.

- Faktycznie mamy dzisiaj garbate szczęście. Czego oni się tak do nas przyczepili?... No to w taki sposób włożem pod krzesła!!!

- Zaraz, czekaj pan...

I obaj panowie z lekkim przerażeniem, ale bardzo uważnie poczęli obserwować rozwój wypadków.



Przy wszystkich wejściach na salę stanęli młodzi mężczyźni w długich butach, tak zwanych oficerkach.

Jakiś szczupły blondyn w towarzystwie barczystego, olbrzymiego bruneta wszedł po schodkach na scenę i zwrócił się do tancerzy, którzy przerwali próbę.

- Czy zastaliśmy dyrektora N.?

- Zdaje się, że już wyszedł...

- Proszę, o co chodzi? - zapytał wychodząc zza kulis gruby, mały, łysy pan w binoklach.

- Czy pan jest dyrektorem tego teatru?

- Nie, ale jestem jego zastępcą.

- Wolelibyśmy to załatwić z samym dyrektorem.

- Ależ proszę panów, ja jestem upoważniony do zastępowania go we wszystkich sprawach związanych z teatrem.

- No jeżeli tak, to kładź się pan! - powiedział olbrzym, ustawiając na środku sceny krzesło.

- Jak to? co to za żarty?

- Zaraz się pan przekonaj, że to sprawa serio. Za wysługiwanie się okupantowi przez ogłupianie publiczności bzdurnymi programami i szerzenie demoralizacji otrzyma pan w zastępstwie dyrektora dwadzieścia pięć plag - powiedział szczupły blondyn.

A jego atletyczny kolega powalił wicedyrektora na krzesło, wy dobył z kieszeni gumową pałkę i począł go ćwiczyć, głośno licząc uderzenia.

Pan Aniołek spojrział na Maniusia i zapytał zafrasowany:

- Panie Maniuś, zdaje się, żeśmy fatalnie wsiąkli. Obawiam się, że oni tu wszystkich po kolei tem „bananem” będą zaprawiać. Może się przesiądziem dalej.

- Co to panu pomoże?

- Zawsze troszkie później nas tam zaproszą. Śpieszyć się nie ma tak znowuż bardzo do czego.

- Daj pan spokój, nam nic nie zrobią. Tylko do derektora mają jakiś żal.

- Co on jem zrobił? Bo na oko sempatyczny sobie chłopina. Ja się przesiadam.

- Siedz pan, panie Aniołek, nam nic nie będzie. Może go leje za to, że artyści źle przedstawiają? Nauczyć sztuki jem się nie chce, stękają, a może w pijanem widzie na scenę wychodzą. W każdym razie szkoda człowieka, bo po tych bańkach ze dwa tygodnie nawet obiad na stojąco będzie wtrajał... No widzisz pan, nie mówiłem, już koniec.

Istotnie, młodzi ludzie, wygłosivszy ze sceny krótkie przemówienie do zebranych na widowni aktorów i personelu, spokojnie wyszli.

Widząc to pan Aniołek poderwał się i zawołał do Mamusia:

- Chodź pan, ja już dłużej na tego łachudrę nie czekam! Chodź pan, bo przy niem albo życie straciem, albo, w najlepszem razie, po parę bananów na plecy zarobiem! Niech go cholera weźmie!

I mimo zakazu opuszczenia teatru, wydanego przez przedstawicieli podziemnej sprawiedliwości, wybiegli na ulicę.

Ale zaraz za bramą spotkali konfidenta. Był jeszcze bardzo bład, ale szedł szparko.

- Panie tego, no żyjesz pan troszkie?!

Konfident, pociągnięty niespodziewanie za rękaw, drgnął i odskoczył na brzeg chodnika, ale ujrawszy znajome twarze, uspokoił się.

- Ach, to panowie. Dobrze, żeście uciekli, bo gestapo już tam zamknęło ulicę. Mnie cudem udało się zbiec.

- No, no, panie, nie zalewaj pan kolejki. Chodź pan do bramy, to panu oddam nazad moniaki.

- Nie, nie chcę się więcej do tego dotykać! Dość mam na całe życie!

- Jak dosyć, to dosyć. Do widzenia.

- Zaraz... zaraz... Zresztą poczekajcie, panowie... Żał mi tego młodego człowieka bardzo, poświęcę się ostatni raz.

- No to jazda, poświęcaj się pan, tylko ostro, bo czas jest drogi i redaktora mogą nam wywieźć.

- Ja panom ręczę, że wszystko będzie w największym porządeczku - powiedział konfident, szybko licząc drżącymi rękami ponownie otrzymane 50 tysięcy.

Ale nie było. Upłynęło od tej rozmowy dwa tygodnie. Andrzej ciągle jeszcze nie był zwolniony. Zamiast tego Hania otrzymała z Pawiaka gryps, w którym donoszono, że szykuje się wielki transport do Oświęcimia i że Zagórski wyjedzie prawdopodobnie również.

Całe towarzystwo spod „Minogi” poszukiwało konfidenta po mieście, ale bez skutku.

Wreszcie pewnej nocy z Pawiaka wyruszyły na Dworzec Gdański liczne budy pełne więźniów. Był to transport.

W pół godziny później w mroku panującym na zaciemnionym dworcu ładowano skazańców do towarowych wagonów.

W którejś tam z kolei trójce szedł Andrzej. Gdy wspinał się do wagonu, ujrzał obok siebie kolejarza w niemieckiej czapce i mundurze dawnych PKP. Kolejarz młotkiem na długim drzewcu pukał głośno w osie wagonu. Nagle wyprostował się i wsunął w otwarte drzwi małe zawiniątko, jednocześnie szepnąwszy:

- Sztamajza, szramcjer, łom i klucz francuski...

Andrzej poznał po głosie Kitajca. W tej chwili esesmani zasunęli z trzaskiem drzwi wagonu i przy ślepej latarce założyli plomby. Pociąg ruszył.

## ROZDZIAŁ XII

### w którym odbywa się pogrzeb z przeszkodami i w którym pani Fijolek wygłasza własną teorię snów

Sprzed „Minogi” ruszał kondukt pogrzebowy. Przez szyby samochodowego karawanu widać było kilka osób z odkrytymi głowami. Pan Aniołek w uroczystej czerni wyszedł z baru z olbrzymim wieńcem, przybranym różami z niebieskiej bibułki i fioletowymi szarfami, na których błyszczały złote litery.

Umieściwszy wieniec na dachu karawanu, wsiadł ze stroskaną miną do środka. Pan Konfiteor, właściciel zakładu pogrzebowego i karawanu, również w ciemnym garniturze i czarnej muszce, rzucił raz jeszcze okiem na całość, poprawił zwisające z dachu fioletowe szarfy, ulokował się w szoferce i powiedział do kierowcy krótko:

- Jadź!

Kondukt ruszył odprowadzany przez gromadkę staromiejskich dzieciaków. Wewnątrz wozu panował nastrój pełen skupienia. Cichymi głosami rozmawiali, siedząc dokoła bogatej metalowej trumny, panowie Aniołek, bracia Piskorscy, Wacusz Małpa, inwalida Śmieciuszek oraz pani Rypalska przyciskająca ustawicznie do oczu chusteczkę.

Samochód przejechał przez Podwale, Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem przedostał się na Mokotowską i mijał właśnie ulicę Koszykową, gdy nie wiadomo skąd posypały się długie serie wystrzałów. Jednocześnie na stopień szoferki wskoczyli dwaj osobnicy. Jeden zapukał w szybę, otworzył drzwiczki i obaj ulokowali się panu Celestynowi na kolanach.

Pierwszy z nich, mały blondynek o chłopięcych rysach, przystawił lufę do piersi Maniusia Kitajca, bo to on prowadził karawan, i rzeki spokojnie, ale stanowczo:

- Gazu!

- Dobra, ale weź pan tego gnata, bo mnie w żebro uwiera - odpowiedział Maniush, zwiększając z miejsca szybkość wozu. Strzelanina została daleko w tyle. Karawan rwał teraz, z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, przez Marszałkowską, Puławską w stronę Służewca.

Nie dojeżdżając do radiostacji, Maniush na polecenie blondynka skręcił w ulicę Kmicica i zatrzymał wóz daleko za zabudowanymi tu nielicznie parcelami, wśród łąnów dojrzewającego żyta.

Uzbrojeni goście wyskoczyli pierwsi, po czym, zwracając się do pana Celestyna, wyższy z nich powiedział:

- Wszyscy opuszczają wóz, który jest nam na pewien czas potrzebny!

- Jak to, panie szanowny, przecież to jest karawan.

- Nie ma dyskusji. Orientuje się pan chyba, z kim ma pan do czynienia. W imieniu Polski Walczącej rekwiruję pański samochód na kilka godzin.

- No dobrze, panie szanowny, ale co będzie z nieboszczykiem?

- Zwłokom nic się nie stanie.

- Przepraszam, może się stać. Pan szanowny nie spodziewa się nawet, ile oni kosztują... Sto pięćdziesiąt kawałków, nie licząc trumny!

- Cóż to znaczy?

- To znaczy, że to nie jest zwyczajny pierwszy lepszy nieboszczyk, tylko skórzany.

- Co to za żarty?

- Nie ma żadnych żartów, rzecz jest poważna; w trumnie znajduje się towar: chrom, giemza i trochę jaszczurek. Nie mogliśmy inaczej przewieźć szmuglu do kupca, to się urządziło pogrzeb pierwszej klasy... W taki sposób, jeżeli samochód zarekwirowany - ustępuję przed siłą i prawem, ale „ciała” nie dam, bo to cacy-cacy i towarów cholera weźmie. Broń Boże, nie mam posądzenia na panów szanownych, ale lubicie się z Niemcami drzaźnić, a mnie to może kosztować w tych ciężkich czasach półtora stowy.

Panie jasna czwóreczka - tu pan Konfiteor zwrócił się do małego blondynka - przetłumacz pan koleżce, że mam rację.

Przedstawiciele organizacji, rozbawieni kawałem z trumną, pozwolili wyjąć z karawanu „szanowne zwłoki”, polecając tylko pozostawić na dachu wieńce.

Gdy żałobny orszak opuścił wnętrze autokaru i wyniesiono zeń trumnę, wyższy ze spiskowców usiadł przy kierownicy, a blondynek, nazywany już stale przez pana Konfiteora jasną albo dziecinną czwóreczką, zajął miejsce w środku.

Odjeżdżając oświadczyli, że zawiadomią właściciela, gdzie i o której godzinie samochód będzie jutro odstawiony. I pojechali. Zafrasowani krewni skórzanego nieboszczyka długo patrzyli za oddalającym się szosą samochodem, zastanawiając się, co teraz zrobić z trumną.

- Przede wszystkim musiem coś przekąsić, bo na głodny żołądek nic mądrego się nie wykompinuje - zdecydował pan Aniołek, otwierając zamknięty na kłódkę spory kosz, który z właściwą sobie przytomnością umysłu wyjął z samochodu przed jego odjazdem.

W koszu znajdowały się zapasy wystarczające dla urządzenia wystawnego bankietu na dwadzieścia osób.

Ukrywszy trumnę w zbożu, towarzystwo rozłożyło się wygodnie na trawie, oddając sprawiedliwość panu Aniołkowi, który genialnie uspiwszy czujność swej małżonki, zdołał skompletować i wynieść do samochodu tak wspaniałą asortyment zakąsek i napojów wysokoprocentowych.

- Pogrzeb bez syрка nie miałby żadnego fasonu - odrzekł na to skromnie fundator, odbijając litrową butelkę w taki sposób, że korek wysunął się tylko do połowy i ani jedna kropla szlachetnego trunku nie została rozlana.

Pierwszy toast wypito za powodzenie akcji, do jakiej został już użyty lub miał być za chwilę użyty zarekwirowany karawan. W drugiej kolejności wzniesiono zdrowie Andrzeja Zagórskiego, który według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien się już znajdować na wolności. Tak przynajmniej wierzył Maniś Kitajec, twierdząc, że przy posiadaniu tak znakomitych narzędzi tylko ostatni flimon i ofiara losu mógłby się z opresji nie wydostać. Redaktor zaś jest chłopak równy i „otczajny”. Na pewno nawiał szkopom i teraz spacerkiem zapycha sobie do Warszawy.

O samochód byli spokojni, nie było bowiem jeszcze wypadku, żeby wóz zarekwirowany przez organizację nie został zwrócony prawemu właścicielowi. A fakty tego rodzaju były w Warszawie na porządku dziennym.

Nic zatem nie stało na przeszkodzie odkorkowaniu następnej butelki, z którą załatwiono się równie szybko i dokładnie. Pan Celestyn wzniosł zdrowie wszystkich obecnych „numerków”, niezależnie od materiału i wykonania, po czym uczcił oddzielnym toastem świeżo poznaną „sztuczki nr 4 w kolorze jasnym”. Blondynek zresztą przypadł do gustu wszystkim. Maniś Kitajec był nawet pewny, że już go

gdzieś w życiu widział, a nawet woził, ale mimo wypicia dwóch angielek extra, specjalnie w tym celu, szczegółów ani rusz przypomnieć sobie nie mógł.

Słońce wyraźnie kłoniło się już ku zachodowi, gdy uczestnicy żałobnego serka zdecydowali się na powrót w duszne mury miasta.

Utworzono pochód. Przodem szła trumna, niesiona na barkach przez Maniusia Kitajca, braci Piskorskich oraz Wacusia Małpę. Z tyłu postępował orszak złożony z pp. Rypalskiej, Konfiteora i Śmieciuszki. Jako straż tylna kroczył pan Aniołek z pustym koszem.

Pochód, dotarłszy po dwóch godzinach do Śródmieścia, przedelfował przez Marszałkowską i skierował się na Powiśle, budząc wszędzie zrozumiałą sensację i współzucie. Przechodnie oglądali się za nim, dziwiąc się nieco, że cały kondukt lekko się zatacza. Ale przypuszczano, że to z rozpaczy.

Nie zaczepieni przez nikogo uczestnicy pogrzebu dotarli wreszcie na ulicę Czerniakowską, gdzie mieszkał odbiorca towaru.

Transakcja została wkrótce sfinalizowana i towarzystwo wróciło „Pod Minogę”.

Jeden rzut oka wystarczył pani Aniołkowej dla całkowitego zorientowania się w sytuacji. Jasną się stała sprawa tajemniczego do tej pory zniknięcia pieczonego schabu, dwóch salcesonów oraz dużego pudełka rolmopsów. Złoty humor męża oraz pilotowany przez niego kosz mówił jej więcej niż całe tomy. Spojrzała na pana Aniołka lodowato i powiedziała złowroźnie:

- Idź na górę!

Pogrzebowi goście, oceniając trafnie sytuację, wyszli natychmiast, restaurator usiłował wymknąć się za trumniarzem, ale małżonka zamknęła mu drzwi przed nosem. Z głową opuszczoną, jak skazaniec, skierował się pan Aniołek ku drzwiom wiodącym do mieszkania.

Pan Maniś odprowadził po kolei wszystkich żałobnych gości do domów i trzeźwy już zupełnie począł się wdrapywać po trzeszczących schodach kamieniczki Kilińskiego na Szerokim Dunaju, gdzie na trzecim piętrze u wdowy Fijołkowej mieszkał przed aresztowaniem Andrzej.

Spodziewał się, że co najmniej zostanie tam wieści o nim. Ale pani Fijołek nic nie wiedziała. Lokator nie dał znaku życia. Dwukrotnie tylko w ciągu dnia dowiadywała się Hania, zaniepokojona coraz bardziej, trzy dni już bowiem upłynęło od czasu wyruszenia pociągu do Oświęcimia.

Pani Fijołek, wzdychając ciężko i ukradkiem ocierając łzy, wpuściła Maniusia do pokoju.

- Już go nie ujrzm więcej naszej oczy, panie Marian, nie ujrzm! Zegar śnił mnie się dzisiaj w nocy!

- No to co?

- Jak to co? To pan nie wiesz, że zegar nieszczęście obznacza? Jak mój pierwszy nieboszczyk, ten tapeciarsz, miał się na Bródno przejechać, zegar srebrny kieszonkowy mnie się przyśnił.

Jak drugiego, harmonistę, miałam chować, budzik we śnie zobaczyłam, na komodzie stał i dzwonił a dzwonił.

A znowuż jak trzeci, Fijołek, w pojedynku na butelki życie miał oddać, legurator z perpendykłem i wagami jak żywy widziałam.

A wczoraj w nocy, ledwo oczy zamkłam, ratuszowy zegar razem z wieżą i strażakiem, co godziny przed wojną trąbił, się mnie pokazał. Tylko z tą różnicą, że strażak nie trąbę, a butelkie ciemnego dubeltowego piwa przy twarzy trzymał.

A pod tą wieżą ja w białej niedwabnej sukni, w białym kapeluszu z czarnym kaczem piórem stałam! A że biała suknia to żałoba, to pytam się pana, panie Marian, co z tego może wyjść, jak nie śmierć i pogrzeb?

Pan Maniś podczas przemówienia pani Fijolek zagryzał i kręcił się niespokojnie na krzeselku, a gdy skończyła, rzekł:

- Pani Fijolek szanowna, nie lubię się dwuznacznie wyrażać, ale mówię pani, żeby nie ten szaconek, jaki dla pani odczuwam, jako dla osobistości płci damskiej, tak bym złapał za te kaczki pióro razem z kokiem... Tak bym zakręcił w powietrzu i puścił z ratuszowej wieży w plac Teatralny, żebyś pani nie tylko perpendykiel, ale i wskazówki pogubiła!

Co redaktor, to nie Fijolek albo tamte dwa gazowniki. I żebyś pani całe fabrykie genewskich zegarków widziała w sennem marzeniu, pan Zagórski żyje i tylko patrzeć, jak drzwi się otworzą i tu wejdzie!

Ale Andrzej nie mógł przyjść do swego mieszkania na Szerokim Dunaju z następującego powodu...

Gdy transport oświęcimski ruszył z Dworca Gdańskiego, Zagórski siedział na razie na jakichś tłumokach swoich towarzyszy podróży, ściskając kurczowo w rękach dostarczone przez Maniusia narzędzia.

Za Pruszkowem przysunął się do ściany wagonu i obmacał spojenia desek i wystające mutry. Kiedy pociąg minął Skierniewice, z pomocą dwóch więźniów odkręcił jedną deskę ściany, przed Rogowem rozluźnione były już dwie.

Za Częstochową transport wśród ciemności, z głuchym dudnieniem kół, z żalonym wyciem lokomotywy, toczył się pełną parą ku swemu ponuremu przeznaczeniu...

Nagle od trzeciego wagonu od końca oderwał się jakiś cień. Zsunął się z nasypu, leżał chwilę, wstał z trudem i począł biec ku czarnej wstędze lasu. Za nim oderwał się drugi i trzeci. Wtem z breku ostatniej lory trysnęły czerwone fontanny, rozległ się terkot erkaemu.

Trzeci cień nie podniósł się już z nasypu.

## ROZDZIAŁ XIII

**którego cyfra porządkowa okazuje się fatalna mimo, iż na początku wszystko zapowiadało się dobrze dla naszych przyjaciół**

Zadzwoił telefon.

Pan Konfiteor podniósł się od stojącego na środku zakładu czarno malowanego biurka, podszedł do wiszącego na ścianie aparatu i podjął słuchawkę.

- Proszę!

- Czy to firma „Wieczny Odpoczynek”?

- Tak, a bo co?

- Proszę zgłosić się zaraz na Tłomackie koło „Grubej Kaśki” w sprawie samochodu.

- Jakiego samochodu? A prawda!... Dziękuję... Czy to jasna czwóreczka dzwoni?

No, jak tam panom szanownem polecało?

- Doskonale - odpowiedział, jakby ze śmiechem, młody głos w słuchawce - dziękuję w imieniu naszej „firmy”.

- Drobiazg, nie ma o czym mówić. Polecam się na przyszłość...

Solidne chłopaki, jak pragnę zdrowia - myślał pan Celestyn z uznaniem o członkach organizacji, którzy wczoraj „wypożyczyli” od niego samochodowy karawan.

Zapukał w szybę dzielącą sklep od pracowni trumien, wywołał stamtąd rozczochranego chłopaka i pchnął go po Maniusia Kitajca.

Solidne chłopaki, tylko że raptusy i palną bronią lubię straszyć, a w dzisiejszym nerwowym czasie to nieładnie - rozmyślał dalej właściciel zakładu, chodząc po swoim królestwie, które dzięki pomyślnej koniunkturze rozwinęło się bardzo. Firma używała trakcji motorowej, miała telefon, a na naczelnym miejscu wśród metalowych wieńców wisiał rzucający się w oczy napis:

### **Dasz na kredyt stracisz klienta**

Słowem, był to obecnie poważny interes pierwszej kategorii.

Ale wszystko to nie cieszyło jakoś pana Celestyna, Przypominał sobie dawne, przedwojenne czasy, kiedy to trumna kosztowała parę złotych, a zakłady pogrzebowe robiły bokami, o ile nie trafił się extra tyfusik albo poważniejsza gryпка. Ale mimo to inny humor się miało, inny.

Gorzkie rozmyślenia przerwało panu Konfiteorowi przybycie Maniusia Kitajca. Wpadł jak bomba i od razu od progu zawołał:

- Co, jest wózek?! Gdzie postawili?

- Na Tłomackim, przy „Grubej Kaśce”. Leć pan żywo, panie Maniuś, i przyprowadź, bo jeszcze kto przykarauli.

Maniuś nic nie odpowiedział, wybiegł na ulicę i po dziesięciu minutach był już na Tłomackim. Nieco schowany za opasy brzuch historycznej studni, stał karawan firmy „Wieczny Odpoczynek”. Wewnątrz nie było nikogo, nikt też nie stał w pobliżu na chodniku.

Maniuś wszedł do szoferki - wszystko było w najlepszym porządku. Już chciał włączyć motor, kiedy spostrzegł, że po drugiej stronie obok ruin synagogi przechodzi właśnie Hania. Wyskoczył z samochodu, podbiegł do niej i przywitał słowami:

- No, dał redaktor znać?

Hania opuściła głowę.

- Tylko niech się pani szanowna nie przejmuję, odezwie się! Niech ja skonam, niech ja skonam, odezwie się! Bo najechał jem na mur. A gdzie pani teraz zamieruje, bo jestem tu z samochodem i mogię panią odwieźć. Cholerycznie dzisiaj łapią na Skaryszewskiej. Kapusie z arbajtsantu z żandarmami chodzą. Samochodem w obecnem czasie pewniej, a karabanem najpewniej.

Hania pozwoliła się prowadzić do karawanu. Manius usiadł za kierownicą. Kiedy chciała zająć miejsce obok niego, usłyszała za sobą przyciszony głos:

- Krystyna!

Obejrzała się szybko, na progu sieni najbliższego domu stał drobny blondynek w podniszczonym płaszczu burberry, z gołą głową. Szarobłękitne jego oczy oprócz uśmiechu dla niej miały stalowe błyski, którymi lustrował nielicznych przechodniów. Wychyliła się do niego przez okno, podszedł, podał jej rękę.

- Znasz ten samochód?

- Tak, pan Marian - tu wskazała głową Maniusia – jest przyjacielem Andrzeja.

- Co ty mówisz, a to heca.

Manius patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Przecież to ten wczoraj na Mokotowskiej przystawił mu stena do boku i kazał jechać na Służewiec. Ale nie tylko... W mózgu Maniusia migotał obraz blondynka widzianego jeszcze gdzieś, ale już dawno. Tylko nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i gdzie.

Nie czas było o tym myśleć, bo młodzieniec w płaszczu burberry mówił dalej:

- Wyobraź sobie, Krystyna, żeśmy to wesole pudło pożyczyci wczoraj na akcję i dzisiaj tu odstawiliśmy, a ja „kapowałem”, żeby się nie dostało w niepowołane ręce... Ale to głupstwo, wiesz już chyba, że jest wiadomość od Andrzeja?

Ognie rumieńca przebiegły przez twarz Hani, a potem pokryła ją kredowa bladeść. Ścisnęła kureczowo rękę chłopca.

- Gdzie, kiedy, skąd?

- Zaraz, nie denerwuj się, wszystko dobrze! Posuń się, to ci powiem.

Otworzyła drzwiczki, blondynek wsunął się do szoferki. Kitajec nacisnął starter. Samochód ruszył.

- Jakiś kolejarz, swój człowiek, przywiózł do prezesa kartkę od Andrzeja. Jest za Częstochową, u dróżnika.

- Skąd się tam wziął?

- Nie wiem, widocznie wyskoczył z pociągu.

- Wiadomo, że wyskoczył... nie mógł nie wyskoczyć... z takimi narzędziami... musiał wyskoczyć... Panno Haniu szanowna, co ja mówiłem?! Skarż mnie Bóg, co ja mówiłem?! - wołał Manius puszczając co chwila kierownicę, dzięki czemu karawan zaczął pędzić Bielańską zygzakiem, od chodnika do chodnika, niecąc popłoch wśród szoferów i przechodniów.

Nagle rozległ się sygnał samochodowy, ścinający krew w żyłach warszawiaków. Gestapo! Ukazała się okryta pancernymi blachami buda więzienna, za nią i przed nią toczyły się pędem osobowe auta, pełne cywilnych i umundurowanych gestapowców z bronią gotową do strzału.

Zmasakrowani więźniowie wracali z Szucha na Pawiak. Hania zamknęła oczy, blondynek ścisnął w kieszeni kolbę stena, Manius zagryzł wargi, bo na usta cisnęły mu się słowa, których by za nic nie wypowiedział przy kobiecie.



Gdy gestapowcy przejechali, Hania chwyciła znowu za rękę swego towarzysza.

- Słuchaj, Wojtek, a dlaczego on nie przyjechał sam?

- Widzisz, on jest... troszkę ranny.

- Ranny?

- Dostał po nogach, nic ważnego, ale chodzić nie może. Trzeba by go przywieźć, tylko czym?

- Jak to czym? - wtrącił się Maniś - karabanem. Zaraz tam posuwamy.

- A właściciel się zgodzi?

- Konfiteor? Jeszcze tromne nam doda, bo tak będzie najporęczniej redaktora przewalcować. Zapychamy na Starówkie.

- Dobrze, ja bym tylko chciał wstąpić na parę minut do domu na Nowy Świat i potem możemy jechać. Co prawda, dwie noce mam zarwane, ale się w samochodzie prześpię - mówił Wojtek.

Maniś uderzył się nagle w czoło, jakby sobie coś przypomniał.

- Pan szanowny faktycznie lubi kimać w samochodzie! A mieszka pan na Nowiku naprzeciwko Świętokrzyskiej.

Wojtek zmarszczył groźnie brwi.

- A pan skąd to wie?

- Była jedna taka noc przedwojenna, zaręczyny Sabci z Władkiem się „Pod Minogą” odpawali. Wtenczas odwoziłem z „Czerwoniaka”, z redaktorem Zagórskim, jednego jego koleżki. Zabalsamowany był na miętko i kubek w kubek do pana szanownego podobny.

Drożdzyk, dawny reporter „Expressu”, bo on to występował pod pseudonimem „Wojtek”, tak jak Hania posługiwała się w organizacji imieniem „Krystyna”, nie przypominał sobie co prawda Manusia, gdyż owej nocy był zupełnie nieprzytomny, ale od razu zorientował się, o co chodzi. Próbował nawet obrazić się, ale mu nie wyszło, machnął przeto ręką. Karawan zresztą zajechał właśnie pod zakład pogrzebowy „Wieczny Odpoczynek”.

Pan Celestyn oczywiście od razu zgodził się na wysłanie samochodu po Andrzeja. W dużej „ósemce” drewnianej osobiście wyborował kilka dziur dla dostępu powietrza. Wysłał trumnę w środku specjalnie miękkimi wiórami i umieścił w niej przyniesiony z mieszkania jasiek.

Ponieważ pan Aniołek pozostawał w domowym areszcie, zarządzonym przez małżonkę, trumniarz udał się do niego na górę i po krótkiej rozmowie ustalono, że nim organizacja znajdzie miejsce na melinę dla rannego Andrzeja, zostanie on na razie umieszczony w mieszkaniu państwa Aniołków.

Samochód ruszył w podróż do Częstochowy od razu, gdyż Drożdzyk w ostatniej chwili zrezygnował z wstąpienia do domu... Ułożył się wygodnie w trumnie i zanim jeszcze karawan minął granicę miasta, przez wyborowane otwory zaczęło się wydobywać stamtąd jego smaczne chrapanie, z lekkim przygwizdem.

Gdy karawan toczył się pokrytą białym wapiennym kurzem podczęstochowską szosą, w mieszkaniu restauratora dobiegały końca przygotowania na przyjęcie Andrzeja.

Pani Aniołkowa z powodu nadzwyczajnych wypadków ogłosiła amnestię dla męża i wraz z nim zajęła się montowaniem łoża boleści dla rannego zbiega. Na materacach

łóżka pana Aniołka ułożono dwie pierzyny, na to trzy olbrzymie poduszki i niezliczoną ilość Jaśków. Na tej piramidzie, pokrytej piękną rypsową kołdrą, miał spocząć bohater dnia. U wezłowania pan Aniołek ustawił osobiście asortyment lekarstw, mających stanowić pierwszą pomoc przed przybyciem lekarza. Była tam więc butelka leczniczego spirytusu, dwie półlitrowki kuracyjnego koniaku, przedwojenna „Żołądkówka” Kantorowicza i butelka czerwonego wina. Ale tego wieczoru samochód nie powrócił. Podróż nie obfitowała wprawdzie w żadne specjalne przygody, ale motor psuł się kilkakrotnie i musiano nocować w lesie.

Załadowanie Andrzeja do trumny odbyło się sprawnie i bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Zagroda dróżnika stała bowiem na pustkowiu przy skrzyżowaniu szosy z torami kolejowymi. Gdy Hania ze łzami w oczach dziękowała kolejarzowi za wszystko, co zrobił dla jej rannego narzeczonego, dróżnik nic nie mówił, tylko końcem drzewca swojej czerwonej chorągiewki nakreślił na mokrej, pokrytej węglowym miałem ziemi literę P, powiazaną w monogram z kotwicą - znak Polski, która zwycięży. Żywo przypominało to scenę z „Quo vadis” z rybą rysowaną na piasku przez ukrywających się chrześcijan. Potem sucho zaraportował, że na szczęście był w obchodzie swego odcinka, gdy przeszedł oświęcimski transport. Po strzałach znalazł Andrzeja, wziął go na plecy i przyniósł do swojej zagrody. Pociąg wprawdzie zatrzymano, ale daleko stąd. Gestapowcy obeszlili tory, ale Bóg strzegł, nie mieli ze sobą psów, to i nie znaleźli ukrytego w stogu uciekiniera.

Pożegnawszy zacnego kolegę nie umundurowani żołnierze polscy - Krystyna i Wojtek - odjechali z rannym w stronę Warszawy.

Przed ósmą wieczorem karawan wtoczył się na Zapiecek i zatrzymał przed zakładem pogrzebowym. Trumnę wstawiono gładko do sklepu. Wydobyć z niej Andrzeja i przeniesienie go na górę do mieszkającego w tymże domu pana Aniołka było kwestią kilku minut. Komitet uwolnienia Zagórskiego był zebrany w komplecie, brakowało tylko Wacusia Małpy. Redaktora ułożono na piramidzie z pościeli. Hania, która przeszła w organizacji kurs sanitarny, zmieniła sprawnie opatrunki. Rany nie budziły specjalnego niepokoju, niemniej jednak postanowiono nazajutrz sprowadzić chirurga.

Andrzej czuł się dość dobrze, toteż Hania nie miała nic przeciwko temu, że komitet usadowił się dookoła łóżka. Andrzej zaś opowiadał przebieg swojej ucieczki z wagonu.

Wtem rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Pani Aniołkowa zapytała:

- Kto tam?

Za drzwiami odezwał się chrapliwy głos:

- Deutsche Polizei!

Wszyscy struchleli. Jeden tylko pan Aniołek uśmiechnął się, przyłożył palec do ust i szepnął:

- Ciiicho! To Wacek Małpa znowuż drakie urządza. Ale ja go tu zaraz przerobię!

To mówiąc, na paluszkach pobiegł do kuchni i wrócił z kubłem pełnym wody.

W drzwi walono coraz głośniejsze. Pan Aniołek, dusząc się ze śmiechu, szepnął do Manusia:

- Kitajec, otwieraj!

Manius odsunął zatrząsk. Drzwi się uchyliły. Pan Aniołek zamachnął się kubłem i... zamarł z przerażenia. Z mroku sieni wysunęły się hełmy żandarmów.

## ROZDZIAŁ XIV

### w którym sprężynowe papiloty budzą zaiste afrykański wybuch temperamentu u Murzyna Jumbo

- I uważasz mnie, Wacuchna, jak te szkopy weszli, tośmy wszyscy mało nie zakitowali z niemożliwej cykorii. Aniołek stoi z tem kubelkiem, a ręka tak mu się trzęsie, że woda chlapie na żerandol. Trumniarz tak się spocił, że z uszów mu kapąło. Ja też także samo, nie powiem, fatalnego mojra odczuwałem. A ten młodziak, jego koleżka, stanął sobie we framudze okna, rękę w kieszeni saka trzyma i widzę, że lufa braulinga przez materiał sterczy. Po kowbojsku przez kieszeń będzie strzelał, myślę sobie, i odsunąłem się na bok, żeby nie zostać skaleczonem...

- No dobrze, a Niemcy co?

- Zaraz, poczekaj. Niemcy stanęli na środku pokoju i jeden zaczyna liczyć: „Ajn, cwaj, draj. Draj fenster po cwancyg złoty, należy się zechcyg, za niezaciemnienie” - mówi.

Jak Aniołek to usłyszał, upuścił kubel z radości, ale zaczyna się do pucu targować.

„Panie Zielonka, mówi do niego, nie bądź pan taki niedobry, zaraz się zasłoni, za co sześćdziesiąt złotych? Trzydzieści będziesz pan miał dosyć” - i zaczyna szkopowi trzy palce pokazywać, i prosi, żeby opuścił te trzy dychy. A szkop nic, tylko: „najn i płacić”. Zapłacił mu koniec końców i wyszli.

- No dobrze, a nie pytał się, dlaczego Zagórszczak w łóżku?

- I owszem. Powiedzieliśmy, że to szwagier jest krank na tyfus i właśnie doktor przyszedł. Jak to usłyszą, jak ruszą do drzwi, zmiatali, aż schody jęczeli.

- W każdym bądź razie mieliście troszkie szczęścia - orzekł Wacuś Małpa, bo jemu to właśnie Maniuś Kitajec opowiadał następnego dnia „Pod Minogą” wczorajszą przygodę z Niemcami w prywatnych apartamentach państwa Aniołków.

Urzędujący za bufetem restaurator wtrącał od czasu do czasu swoje uwagi, po których wszyscy trzej trzęśli się ze śmiechu.

- No tak - rzekł wreszcie, ocierając załzawione oczy, pan Aniołek - cacy-cacy, śmiech śmiechem, „deńdom deńdom, a pieniądże same będą”.

Mortus się zaczyna, proszę ja kogo. Hitler coraz gorzej się stara, w wagonach same, cholera, suszone śliwki. Cały interes zaczyna się nie karkulować. Jeszcze ten łachudra kapuś wyrwał pięćdziesiąt kawałków, nie jadł, nie pił, za nic. Trzeba by go koniecznie poszukać, wziąć do bramy, wytłomaczyć, że to nieładnie, że tak się nie robi. Forsa miała być zwrócona.

- Panie Aniołek, nie bój się pan nic, ja go znajdę i wszystko co do grosza mnie wypłaci. Bo tu już nie o same pieniądze się rozchodzi, ale nie może że taki łachmyta nas, chłopaków ze Starówki, przerobić. Jutro zaczynam go szukać własnoręcznie.

A oprócz tego wczoraj spać już się nie kładłem, jak Szuwaks z „Adrii” przyszedł i coś mnie tam barłoczył, że wojsko, podobnie, miało się już wyprowadzić z tego domu w alei Róż. Jakies folksdojczyce zajęli mieszkanie i warty już przed bramą nie ma, Murzyn chce apiać spróbować iść tam po te forę.

- Wariat. Co, będzie ściany temi pięćsetkami wyklejał, przecież to przedwojenne, nieważne?

- Owszem, papiery nieważne; ale kasetka z „twardemi” ważna i warto by się po nią przejść.

- No, z folksdojcami to nie ma się co w ceregiele bawić, iść w parę osób, po mordzie nakłaść, dolary wyjąć i spokój - zaopiniował pan Aniołek.

- Tak to się mówi, i foks dzisiaj już każdy jeden z bronią chodzi.

- A my to od macochy? Pogadaj pan, panie Marian, z redaktorem, to panu pożyczę rozpylacza na sześćdziesiąt osób i z parę granatów.

- Nie, tak nie można, chyba żeby Wojtek chciał przeprowadzić „akcje” na ten dom... Ale on się nie zgodzi, obsztorcuje nas tylko na perlowo. Tu trzeba wykompinować coś innego...

Tego samego dnia po południu na klatce schodowej eleganckiego domu w alei Róż zjawiał się nieduży, skromnie ubrany pan w wymiętoszonym kapeluszu, z ceratową, mocno wypchaną teczką pod pachą. Rozglądając się na wszystkie strony i starając się iść jak najciszej, wbiegł na drugie piętro, stanął przed drzwiami oznaczonymi nr 3, przeczytał bilet wizytowy: „Hans Gruschka - Treuhander”, przyłożył ucho do drzwi, po czym szybkim ruchem wydobyl z kieszeni jakiś drobny przedmiot i wcisnął go w dziurkę od klucza.

Nagle odskoczył w tył, drzwi bowiem się otworzyły i stanęła w nich wyniosła postać niewieścia w sprężynowych papilotach.

- Pan do kogo? - zapytała również trochę przestraszona.

- A właśnie do pani szanownej - odrzekł pan z teczką.

- W jakim interesie?

- W osobistem. Jestem Walery Sztechnicki, bezrobotny profesor Warszawskiego Uniwersytetu. Pachnące mydła w najlepszym gatunku, a także samo puder, pastę do zębów i szczoteczki posiadam - mówił jegomość w wymiętoszonym kapeluszu, usiłując się wcisnąć przez uchylone drzwi do mieszkania. Ale było to niemożliwe. Otwór wypełniała bez reszty imponująca tusza niewiasty, ważącej na oko jakieś 150 kilo, nie licząc sprężynowych papilotów.

- Nie potrzeba, my wszystko mamy od Meinla. A zresztą nie ma teraz państwa w domu.

- A kiedy będą?

- O, dopiero wieczorem przychodzą.

- A pani szanowna tak sama cały dzień? To niemożliwe nudy.

- No chyba.

- A wychodnie nigdy pani szanowna nie ma?

- Co mam nie mieć? Co piątek wychodzę. Ale gdzie tu chodzić? W kinie czy bolą i podobnie siarczanem kwasem można zostać oblanem. O, cyrk, to owszem, lubię, ale teraz nie ma. Nawet katarynka nigdy na podwórko nie przyjdzie ani magiki żadne, co to przed wojną z dywanikami chodzili. Cały rok można było z domu nie wychodzić i przez okno człowiek widział, co się na świecie dzieje. A teraz co, na podwórku cicho jak w rodzinnym grobie.

- Taka śliczna kobietka przy gości, co to i połędwiczka, i cynaderka, wszystko na swoim miejscu, żeby się nudziła, to rzecz niebywała. Trzeba się wybrać z kiem na ksiutki.

Pani mimo woli poprawiła papiloty i odrzekła z uśmiechem:

- Daj pan spokój, panie handlujący, nie bierz mnie pan w bajer. A te mydła to po czemu?

- Dla pani szanownej za pół darmo, za same przyjemność sprzedaży. Ale wejdźmy do mieszkania, to się z towarem rozłożę.

- Nie, do mieszkania nie wejdziem. Stary jakby się dowiedział, toby mnie na roboty do Niemiec wysłał. Bo trzeba panu wiedzieć, że to jest fokstrot i strasnie się boi, żeby mu kto bomby w mieszkaniu nie podłożył. I dlatego jak ten samson siedzieć muszę, zaczem oni wrócą z miasta.

- I codziennie tak późno wracają?

- Codziennie, jak nie w knajpie, to w kawiarni muszą swoje odsiedzieć.

- Ano, jak nie można, to nie można. Będziemy w taki sposób zmuszone na schodach się wyszczególnić. O proszę, taki kawał glicerynowego mydła z fiołkowym zapachem, dla pani szanownej, przez współczucie względem tego siedzenia, tylko pięć złotych.

- No to owszem, wezmę, tylko niech pan poczeka, aż skoczę po pieniądze do kuchni - rzekła pulchna gospościa odpływając w głąb mieszkania.

- Proszę bardzo - powiedział były profesor Sztechnicki; oparł się o drzwi i czekał, skracając sobie czas wydobywaniem z zamka przedmiotu, który tam przedtem umieścił.

Ledwo się z tym uporał, masywna piękność powróciła i wręczając mu papierek rzekła:

- A niech pan przyjdzie kiedy wieczorem, to może państwo coś kupią, bo faktycznie to mydło to tanio.

- Tylko dla pani szanownej, za te większe ilość osobistej urody. Prencypał będzie musiał drożej zapłacić, znacznie drożej. - Skłonił się domokrażca i zbiegi szybko ze schodów.

- Grzeczny mężczyzna, zaraz widać, że profesor uniwersytetu - rzekła do siebie kucharka, zatrzymując drzwi.

A wieczorem Maniūs Kitajec nie mógł się doczekać powrotu swego sublokatora, Murzyna Jumbo. Kiedy wreszcie przyszedł, Maniūs od razu przystąpił do rzeczy.

- Byłem tam. Faktycznie foks mieszka. W domu przeważnie nieobecny. Przychodzi dopiero późnym wieczorem. Mieszkania pilnuje kuchta - dwieście kilo żywej wagi. Morde ma jak kredens. Z każdej nóżki dwanaście nielichych by się dało wykrajać Blondyna, z drucianą ondulacją w głowie.

Dobrowolnie nie wpuści. Lubi cyrk i magików. Trzeba zrobić tak...

W tydzień później na podwórzu domu w alei Róż, gdzie mieszkał Herr Hans Gruschka, Treuhander, zarządzający kilkudziesięcioma pożydowskimi firmami w Warszawie, weszła trupa podwórzowych artystów.

Pod trzepakiem zasiadła orkiestra złożona z kornetu i bębna z mosiężnymi talerzami. Po odegraniu ogłuszającej uwertury, gdy w oknach ukazali się lokatorzy domu, dyrektor zespołu, odziany w ongi różowe, przyzwoicie przybrudzone trykoty oraz jegerowską koszulkę, wystąpił na środek podwórza i uderzywszy w tamburyno wygłosił następujące przemówienie:

- Szanowna publiczności, za chwileczkie obecny tu na podwórku profesor Kalafoni będzie miał zaszczyt uskutecznić czterdzieści numerów białej i czarnej magii, bez użycia lipy, czyli pucu tak zwanych fal elektromagnetycznych, jakimi lubię się posługiwać inne magii.

Profesor Kalafoni ukończył ze złotem medalem Grand Priks Sans-Susi czarodziejskie wyższe zakłady naukowe w Egipcie i Indii, a na wszechświatowym zjeździe zagranicznych magików w Kalkucie został się wybranym za honorowego dożywotniego prezesa ze stałą pensją miesięczną, a także samo odzyskał tytuł: Człowiek o Tajemniczych Rękach.

Oprócz tego prawdziwy, badany przez doktorów w mieście Paryżu dziki Murzyn z afrykańskiej puszczy, którego się odżywia ludzkimi konserwami w specjalnych, starannie lutowanych puszkach, odtańczy poleczkie ludożerców.

Oprócz tego ja osobiście i własnoręcznie wyjmuję drzwi od sieni, czyli też od ubikacji ogólnej, stawiam ich sobie na dolnej szczęce i robię z nimi „Allons passe”, czyli ganiam naokoło podwórka trzy do czterech razy.

Oprócz tego demonstrowana będzie Dziewica Piła, która przegryza zębami z łatwością czterocalowe gwoździe.

Same najlepsze światowe numera, których gdzie indziej zobaczyć nie można. Totyż po przedstawieniu prosimy z podwórka nie najeżdżać, za kwiatki w oknach się nie chowa! tylko użyć nam tych paru złotych, bo na to kura grzebie, żeby coś wygrzebała. Anawa. Murzyn, zaczynaj!

Z grona artystów wystąpił Murzyn Jumbo i dziko pokrzykując rozpoczął swój znakomity numer. Gdy zastąpił go profesor Kalafoni, demonstrując żonglerkę za pomocą zapalonych pochodni, Jumbo wpadł do bramy, Manius Kitajec, który tam stał między widzami, zapytał go szeptem:

- No co, jest w oknie?

- Jest!

- To grzej na górę. Pamiętaj, jak się odwróci, worek na głowę, wiąż ją i na tapczan. A my tymczasem przedstawiamy dalej.

Jumbo wziął worek, długą linę i pobiegł schodami na drugie piętro. Zatrzymał się przed drzwiami nr 3, wydobył z kieszeni klucz, zrobiony „na pasówkę” z woskowego odcisku, pobranego przed kilku dniami przez Maniusia. Przekręcił. Nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły.

Profesor Kalafoni tymczasem rozpoczął popisy z nikiącą kulką.

- Więc bierzem teraz daną kulki w dwa palce... Szanże raz... Szanże dwa... Alle i gotowe! No, kto zauważył, gdzie znajduje się kulka?

Manius wychylił głowę z bramy i spojrzał w okno drugiego piętra. W tej właśnie chwili głowa w metalowych papilotach, tkwiąca tam do tej pory, jakby szarpnięta gwałtownie do tyłu, zniknęła błyskawicznie w głębi pokoju.

Przedstawienie toczyło się wartko dalej. Dyrektor wykonywał „allons passe” z drzwiami ubikacji. Dziewica Piła przegryzała gwoździe jak gotowaną marchewkę. Orkiestra waliła bardzo głośno w bęben. Manius zaś bardzo się denerwował, wreszcie nie wytrzymał i pobiegł frontowymi schodami na górę.

Po pięciu minutach z kuchennej klatki schodowej wyskoczył Murzyn, a za nim Manius Kitajec, który przebiegając przez podwórze szepnął dyrektorowi dwa słowa:

- Urywać się.

Profesor Kalafoni, Dziewica Piła, trębacz, bębniści, dyrektor oraz reszta artystycznego zespołu, nie kończąc przedstawienia, ruszyli do bramy i wyciągniętym kłusem wybiegli na ulicę.

Po upływie pół godziny Maniś przyprowadził Murzyna Jumbo „Pod Minogę”.

Pan Aniołek ujrawszy ich wypadł zza bufetu, zamknął drzwi na klucz i zawołał:

- No, jak się udało?... Mówcie, do cholery... Co siedzicie jak zakłete królewny?!

A oni rzeczywiście milczeli jak zakłęci. Murzyn siedział zupełnie złamany, z opuszczoną na piersi głową. Towarzysz wyprawy obrzucał go pełnymi pogardy spojrzeniami, wreszcie odpowiedział panu Aniołkowi:

- Zapytaj się pan jego. Niech on panu opowie... Wszystko szło dobrze. Przedstawienie już się kończyło. Wlatam na górę, żeby zobaczyć, jak mu idzie robota. I zobaczyłem... W kuchni pusto, w salonie pusto. A w gabinecie kuchta rzeczywiście leży na tapczanie i... on też. Zakochał się, cholera, od pierwszego spojrzenia. Na dobitek foksterier wcześniej wrócił do domu i zaczął dobijać się do drzwi. Musieliśmy najeżdzać kuchennym wyjściem.

## ROZDZIAŁ XV

### w którym bracia Piskorscy przerzucają się na nową, lecz nieco ryzykowną gałąź handlu wojennego

Interesy braci Piskorskich układały się ostatnio niezadowolająco. „Współpraca z Hitlerem” dawała słabe rezultaty - w wagonach niemieckich pociągów znajdowało się coraz mniej rzeczy nadających się na warszawski rynek.

- Sam szmelc wożą, w nóżkie kopane. Jak nie rozbebeszone tanki, to porozbijane europlany z Rosji targają. Z czego tu żyć w tych waronkach - narzekał starszy Piskorszczak do swego młodszego braciszka, znanego w szerokich kołach towarzyskich Starówki pod pseudonimem Szmaja.

Długo deliberowali nad wynalezieniem nowych źródeł dochodu - wreszcie znaleźli je na „niemieckim Kercelaku”. Tak nazywano wielki plac przed Dworcem Głównym, między ulicami Chmielną, Marszałkowską i Alejami, zamieniony na olbrzymi parking dla samochodów Wehrmachtu. Tu kręcili się Piskorszczaki wśród tłumu wojskowych szoferów, kupując od nich, co się dało: gumę na zelówki, żołnierskie buty, koce, ale głównie broń. Najchętniej nabywali od potrzebujących gotówki na warszawskie wydatki Niemców krótkie pistolety wszelkich marek i systemów, choć odbywały się również ożywione transakcje rozpylaczami różnych typów, nie wyłączając bergmanów, a nawet sowieckich pepesz. Jak zdołali ruchliwi handlowcy przenosić swój krępujący nieco towar przez gęstą sieć patroli, pozostawało ich tajemnicą.

Oczywiście nie mogli bracia-wspólnicy włożyć w przedsięwzięcie zbyt wielkiego kapitału, toteż starali się możliwie szybko pozbywać zapasów. Nabywców nie brakowało, następny etap handlu odbywał się na prawdziwym Kercelaku. Pan Stanisław Piskorski przechadzał się po chodniku ulicy Okopowej i półgłosem oferował swój towar:

- Rury, rury, komu rury, panowie?

Oczywiście szczegółowej omawiał transakcję tylko i klientami budzącymi na oko pełne zaufanie. Choć bywały nieporozumienia...

Oto pewnego dnia podchodzi do pana Stasia odpowiednio na pozór wyglądający kandydat na nabywcę i szepce:

- Pan ma rury? Ja potrzebuję.

- Proszę bardzo. Chodźmy do bramy pod czwarty. Gdy weszli, pan Stanisław krzyknął w głąb podwórza:

- Szmaja, do gościa.

W którejś klatce schodowej dał się słyszeć tupot nóg i po chwili nadbiegł młodszy pan Piskorski ze zwiniętym workiem pod pachą.

- Pan szanowny życzy sobie rurę?

- Tak, właśnie.

- A jaką?

- No, w dobrym stanie.

- U nasz wszystko w dobrym stanie, braków nie trzymamy, ale rozchodzi się o markie. Bo my mamy rury niemieckie, francuskie, angielskie i krajowe też mogą być.

- Szmaja, nie barłoż tyle, pokaż gościowi towarek i spokój - zainterweniował starszy pan Piskorski.



Szmaja rozwinął worek, ukazały się oksydowane lufy i pięknie szlifowane kolby. Klient zatoczył się pod ścianę, chwilę łapał powietrze jak wyjęta z wody ryba, po czym zaczął bełkotać:

- Co... co... co to?? Ja chcę rrrrrurę z kolankiem do pie... pie... piecyka.

Panowie Piskorscy spojrzeli nań z oburzeniem.

- Czego? do piecyka? To nie u nasz. Trzeci sklep za bramą, tam gdzie żelastwo. Zmiataj pan żywo, bo i tak zdaje się do końca życia będziesz się pan jękał.

Reflektant na rurę nie słyszał już tej uwagi, pędził bowiem z rozwianym płaszczem środkiem Kercelaka... Ale na ogół transakcje przebiegały normalnie, a wkrótce firma tak się rozwinęła, że otrzymała zamówienia rządowe...

A było tak. Któregoś dnia nad wieczorem zjawił się na Okopowej Maniūs Kitajec, odszukał Staśka Piskorszczaka i za chwilę siedzieli już w knajpie Wężyka na rogu Okopowej.

- Jak stoisz z towarem? - zagadnął pan Maniūs przyjaciela, kropnąwszy „sztamajzę” wódki pod dzwonko „katolika” z cebulką.

- Owszem, nie można narzekać, jest troszkie.

- Mam dla ciebie koncmana na każde ilości, ale artykuł musi być prima.

- Z trzyletnią gwarancją.

- No i rozumiesz, ciapać tu nie możesz, bo to klient zamożny, ale przepłacać nie lubi. Zresztą co będziem dużo mówić, wskakujem w tramwaj i jedziem do tego faceta...

Nagle pan Maniūs poderwał się od stolika i nic nie mówiąc, jak burza wypadł na ulicę, przewracając dwa krzesła. Piskorszczak był nieco zdziwiony, ale nie stracił filozoficznego spokoju. Jakoż po chwili zagadkowe zachowanie się Kitajca zostało wyjaśnione. Wrócił do knajpy, prowadząc silnie pod rękę chudego konfidenta, który w swoim czasie wziął 50 tysięcy na koszty uwolnienia Andrzeja z Pawiaka.

Konfident szedł niechętnie, oglądał się i usiłował zrejterować. Ale Maniūs energicznym ruchem posadził go na krześle i powiedział:

- My pana szanownego szukamy po całym świecie, a pan sobie po Kiercelaku spacerek uskuteczniasz.

- A tak, rower mam zamiar kupić.

- Ale chyba nie za nasze pieniądze?

- Za jakie pieniądze?

- Panie, panie, tylko nie udawaj pan Greka. Forsa należy się nam nazad.

- A to dlaczego? Sprawa jest na dobrej drodze. Pan Zagórski nie jest wprawdzie jeszcze zwolniony, ale będzie. Na razie musi jeszcze czas jakiś pozostać na Pawiaczku.

Maniūs Kitajec zatrzęsł się z oburzenia i zawołał:

- Taki bajer to na Grójec, panie szanowny. Redaktor dawno już jest wysłany do Oświęcimia i dawaj pan forszę. Konfident uśmiechnął się ironicznie.

- No, no, to pan ma pierwszorzędne informacje. A ja twierdzą zupełnie coś wręcz przeciwnego i pieniążków nie oddam.

- A ja myślę, że pan oddasz - odezwał się groźnym tonem milczący dotąd Piskorszczak, kładąc rękę do kieszeni gabardynowego sakpalta. Konfident zauważył ten ruch i przybladł. W okolicach kieszeni Piskorszczaka odznaczyła się wyraźnie przez materiał lufa rewolweru, skierowana w jego stronę. Agent rozejrział się naokoło,

ale w restauracji nie było nikogo oprócz drzemiącego za bufetem właściciela i zupełnie pijanej kelnerki.

- No, panie tego, licz pan forszę, tylko już, bo nie mamy czasu. - Tu Piskorszczak tak wysunął lufę pistoletu, że zdawała się przebijać gabardynę.

Konfident bladł coraz bardziej, jednocześnie ogarniała go wściekłość.

- Kiedy ja nie mam tyle przy sobie.

- Wyjmuj pan, policzemy. - Lufa sterczała groźnie nadal.

Rzucając ukradkiem spojrzenia na okno w nadziei, że może nadejdzie stamtąd ratunek, konfident wydobył zza kamizelki ceratowy portfel opasany czerwoną gumą. Trzęsącymi się rękami zdjął opaskę i wydobył paczkę banknotów. Liczył długo i położył ją wreszcie na marmurowym blacie stolika.

- Dwadzieścia pięć tysięcy, więcej nie mam.

- No dobra, a teraz z drugiej przegródki.

- Z jakiej drugiej? Nie mam żadnej drugiej.

- No, ostro, ostro, bo się robi późno, po ciemku niebezpiecznie chodzić. Wczoraj w nocy znowuż tu na rogu Wroniej zabili człowieka. Nawet podobnież niczegoowaty sobie chłopina. Miał duże chody w giestapo i nic nie pomogło. Dostał pigułki i gotów.

Konfident rozłożył portfel, wydobył drugą paczkę, odliczył dwadzieścia tysięcy i z wściekłością rzucił na stół.

- Więcej nie dam - zapiał falsetem. - Ja miałem przeszło pięć tysięcy kosztów!

Piskorszczak spojrział pytająco na Maniusia, ten machnął ręką.

- Niech będzie czterdzieści pięć.

Konfident zerwał się od stolika, uderzył ręką w blat i zaskrzypiał:

- To jest szantaż, wymuszenie. Zapłacicie mi za to...

- Obliczaj się pan ze słowami. I jakbyś pan w razie czego nam zaszurał, może być nieprzyjemność. Tydzień temu w tył na Kaczej powiesili faceta w piwnicy na haku od naftowej lampki, podobnież za to, że był zanadto rozmowny.

Agent obrzucił obu przyjaciół spojrzeniem pełnym wściekłości, nasunął kapelusz na oczy i wybiegł trzasnąwszy drzwiami.

- No, dobrześ go zrobił, nie można powiedzieć - rzekł z uznaniem Maniūs - tylko dlaczego maszynę nosisz przy sobie, można za to fatalnie leżyć.

- Za co? Za nakrycie stołowe? - Tu pan Piskorski wydobył z kieszeni widelec i położył go obok swego noża.

- Niech cię cholera, a toś mu numer zasunął - śmiał się Maniūs, klepiąc przyjaciela po łopatce.

Panowie spiesznie dokończyli wódkę, uregulowali rachunek i wsiedli w „szesnastkę”.

Na murze przy bramie domu wisiał niewielki emaliowany szyldzik z napisem:

**Techn. Handelbüro**  
**Biuro Techn.-Handlowe**  
**Inż. Bogumił Zalewajko**  
**Wasserleitungs, Kanalisations,**  
**Gaß und Zentralheizungs Artikel.**  
**Artykuły wodociągowe, kanalizacyjne,**  
**gazowe i centralnego ogrzewania.**  
**W podwórzu na lewo. Parter.**

Lokal biura w podwórzu na lewo składał się z dwóch pokoi z kuchnią. Pierwszy, bardzo ciemny z ukośną ścianą i jednym oknem opatrzonym kratą, stanowił skład. Wzdłuż ścian biegły półki, na których bielily się fajansowe umywalnie, muszle toaletowe, błyszcząły gazowe piecyki, mosiężne oraz niklowe krany itp. Podłoga zastawiona była radiatorami do centralnego ogrzewania i założona różnego rodzaju żelastwem, wśród którego z trudem można się było przecisnąć do drugiego, mniejszego pokoju, stanowiącego gabinet szefa.

Tu właśnie za biurkiem siedział lekko szpakowaty pan z zawieszistym staropolskim wąsem, z którym nie bardzo harmonizowały okulary w ciemnej rogowej oprawie. Był to właściciel firmy Bogumił Zalewajko. Pisał coś chwilę w świetle biurkowej lampy z zielonym abażurem, po czym spojrzął na zegarek, wstał, otworzył drzwi do składu i zawołał:

- Jan!

Z kuchni, która stanowiła zarazem mieszkanie woźnego, wyszedł szybko niewysoki, ale silnie zbudowany mężczyzna lat około czterdziestu, sprężystym krokiem przeszedł przez skład, wszedł do gabinetu szefa i stanął wyprostowany przy drzwiach. Inżynier popatrzył na niego z niezadowolaniem i po chwili powiedział:

- Ósma, zamykamy. Jutro z samego rana zaniesiesz te listy tam, gdzie zawsze.

- Tak jest, panie dyrektorze.

- Potem wyślesz tę paczkę na Pragę.

- Tak jest, panie dyrektorze.

Szef zdjął okulary, schował je do kieszeni, wyprostował się i zaczął chodzić szybko po gabinecie. W pewnym momencie zatrzymał się przed woźnym i powiedział ze złością:

- „Tak jest” i „tak jest”. Ile razy mam cię uczyć, że woźny w przyzwoitym biurze kanalizacyjno-ogrzewniczym nie mówi do swego szefa co chwila „tak jest”. Mówi się „słucham pana dyrektora” albo „dobrze, panie dyrektorze”, a nawet wystarczy po prostu skłonić głowę, a nie ciągle te jakieś tam, diabli gdzie wyuczzone, „tak jest”. Proszę o tym pamiętać i nie mylić się.

- Tak jest... Słucham pana dyrektora.

- No masz, znowu. To samo z tym stukaniem obcasami. Gdzieś ty widział, żeby przyzwoity woźny, wchodząc do gabinetu szefa, walił kopytami jak... wachmistrz szwoleżerów? To już zaczyna zwracać uwagę klientów. Ty możesz narobić straszego bigosu. Przecież nie dalej jak trzy dni temu, przy tym facecie, co przyszedł po krany do wanny, kiedy ci kazałem zapakować tuzin trójek, chciałeś kropnąć: „Rozkaz, panie majorze”. Już ryknąłeś: „Roz...”

- Tak jest, ale oprzytomniałem - bronił się woźny.

- I zacząłeś śpiewać: „Rozkwitały pąki białych róż...” Facet takie oczy zrobił. Musiałem powiedzieć, żeś się upił ze zmartwienia, bo ci babcia umarła. Uwierzył, ale i na mnie zaczął patrzeć jak na wstawionego...

- Tak jest, panie dyrektorze, ale to się więcej nie powtórzy.

- Ja myślę, bo inaczej będziemy musieli się rozstać. Każdy pójdzie w swoją stronę.

Woźny stał wyprostowany jak struna i wpatrywał się ze zrozpaczoną miną w swego szefa, który chodził po gabinecie jak przed frontem Spieszonego szwadronu, piorunując na czym świat stoi. Wreszcie zatrzymał się i rzucił przez zęby:

- Spocznij... to jest... te... możecie odejść, Janie.

W tej chwili przy drzwiach odezwał się dzwonek. Jan zrobił pół obrotu w lewo i wyszedł otworzyć. Po chwili wrócił, stanął przy progu i trzasnąwszy obcasami zaraportował:

- Melduję...

Ale spiorunowany wzrokiem przez inżyniera, opuścił głowę i powiedział zgaszonym głosem:

- Jakichś dwóch panów, proszę pana. Względem rur, proszę pana.

- Niech Jan poprosi.

Wózny wyszedł. Inżynier szybko włożył okulary, przygarbił się i usiadł za biurkiem.

Szurając wytworkami nogami, do gabinetu wsunął się Maniś Kitajec, prowadząc za sobą Piskorszczaka. Inżynier uniósł się lekko w fotelu, skłonił głowę i zapytał:

- Panowie w sprawie jakich rur?

- Czekuladowych z kremem pistacjowym - odrzekł Maniś.

Było to umówione hasło. Szef wstał z fotela, podał rękę swoim gościom, po czym poprosił ich o zajęcie miejsc.

- Firma nasza potrzebuje możliwie jak najszybciej i jak najwięcej wiadomego artykułu, bo transporty zagraniczne nie nadchodzą tak jak trzeba. O cenę nie będziemy się targować, idzie tylko o pośpiech. Dostawa po dwie, trzy sztuki do mojego biura po uprzednim stelefonowaniu się. Pytać, czy nadeszły piecyki. O ile odpowiedź brzmi: „Będą jutro”, dostarczać.

Pan Piskorski przyjął zamówienie, po czym goście zaczęli się żegnać.

Przed wyjściem Maniś Kitajec wziął inżyniera na bok i zapytał:

- Panie dyrektorze, czy nie można by odwiedzić redaktora? Pytałem się panny Hani, ale powiedziała, że potrzebne jest pozwolenie od pana, bo to podobnie ważna melina.

- Istotnie, ale znając pana z opowiadania Krystyny, nie mam nic przeciwko temu. Jest u „hożej Zosi”. Niech pan zapamięta adres: Hoża pięćdziesiąt osiem, mieszkania dwadzieścia siedem. Dwa dzwonki krótkie, jeden długi.

- Uważam, pięćdziesiąt osiem, dwadzieścia siedem. Dwa krótkie, jeden długi.

## ROZDZIAŁ XVI

### w którym ukazują się dobrze i od dawna znane nam osoby w swych nowych, niepokojących wcieleniach

Dopiero po tygodniu wybrał się pan Maniūs na Hożą, gdzie znalazł schronienie ranny Andrzej. Gdy zadzwonił według umowy dwa razy krótko i raz długo, otworzyła mu drzwi młoda, przystojna brunetka, Była to „hoża Zosia”, żona przebywającego za granicą artysty filmowego, ulubieńca Warszawy.

Pani domu, widocznie uprzedzona o wizycie, zaprowadziła pana Maniusia przez duży pokój stołowy do mniejszego, będącego kiedyś prawdopodobnie gabinetem artysty. Stało tam bowiem niewielkie stylowe biurko, ściany zaś były zawieszony jego portretami w różnych rolach. Na szerokim tapczanie pod oknem leżał Andrzej.

Bardzo ucieszył się z wizyty Mariana, noga goiła się świetnie, ale kuracja musiała potrwać czas jeszcze jakiś. Andrzej nudził się piekielnie, a przy tym denerwowała go leżąca odłogiem robota w gazetce, którą redagował,

Maniūs przynosił mu do jego „więzienia” oddech warszawskiej ulicy, przynosił wieści ze Starówki.

- Cóż tam, panie Marianie, slychać „Pod Minogą”, cóż porabia zacny pan Konfiteor, jak się miewa moja gospodyni - niechże pan opowiada.

- Pani Fijolek jak to pani Fijolek, rozpacza po panu strasznie, bośmy jej, ma się rozumieć, nic nie powiedzieli, że pan na wolności. Bo chociaż kobieta jest „do rany”, ma niemożliwe melodie do gadania i mogłaby to rozszczekać. Co tydzień msza idzie za pańską duszę u pijarów. „Pod Minogą” jest zawsze ruch, tylko parę dni temu w tył Aniołek miał nieprzyjemne przejście z Niemcami.

- Co pan mówi, i jak się skończyło?

- Dobrze. A było, uważasz pan, tak. Słyszał pan zapewne o tem żandarmie, co do Sabci uderzał i chciał ją sobie przygruchać.

Sabina, honorowa, nawet patrzeć nie chciała na niego. Mokłą ścierkę łapała co chwila, jak za bardzo oczami przewracał. A on furt przychodził i na siłę chciał się z nią zenić. Naśmiewała się z niego. No to znowu zaczął ją straszyć, że na Skaryszewskie ją odda i do Niemiec na roboty pojedzie. Dziewczyna się, ma się rozumieć, obraziła i od tej pory jak wchodzi do baru, ona zaraz na górę.

I co pan powiesz, przychodzi w ten wtorek, mordę ma smutne i mówi muzykantom, że żyć mu się nie chce, że wszystko przepadło, że list dostał z Wiednia, w którym pisało, jako amerykańska bomba wtrafiła w jego dom i wszystko poszło w drebiezgi.

Potem wyjął papier, pióro. Pisał, pisał godzinę, wypił pół litra, piwem zakąsił i strzelił sobie w łeb.

Aniołek był jak raz sam w interesie, bo orkiestra przez ten czas wyszła, i nie wiedział, co robić, wyskoczył na ulicę i dawaj szukać Niemców. Oblediał prawie całą Starówkę, dopiero na Podwału spotkał jakiegoś oficera, podlata do niego i krzyczy:

„Dojczland kaput!”

A ten Aniołka w ucho, a Aniołek nic, tylko krugom wola: „Dojczland kaput” i łapie, ma się rozumieć, tego szkopa za rękaw i dalej go ciągnie „Pod Minogie”.

Tutaj dopiero szkop jak zobaczył żandarma pod stolikiem, pokapował się, o co chodzi, że Aniołek nie robi z „Dojczlandem” śmichów-chichów, tylko po niemiecku nie włada.

Całe szczęście, że ten nieboszczyk listy zostawił z opisem, jak co było, bo inaczej byliby gestapowcy pół Starówki rozwalili, jak w swoim czasie w Wawrze.

I tak zabrali Aniołka do komendy, siedział trzy dni, dopiero jak sprawdzili charakter pisma tego żandarma, wypuścili go. Strachu się najadł do cholery i trochę, dwadzieścia kilo na wadze stracił. Ale cieszy się, że żyje.

Jak wrócił, to tak sobie z Konfiteorem dali w kręgi, że na uszach chodzili. Ale Aniołkowa nic nie mówiła, taka była kontenta, że go puścili.

Podczas gdy pan Maniuś opowiadał Andrzejowi nowiny ze Starówki, w pokoju obok czterech panów grało w brydża. Była to gra trochę dziwna, karty leżały porozkładane, obok na kartach widniały zapisy, ale z ust graczy zamiast obrzędowych terminów brydżowych padały dziwne słowa.

Oto przygarbiony szpakowaty pan z dużymi wąsami, w którym Maniuś poznałby z łatwością inżyniera Zalewajkę, właściciela magazynu techniczno-kanalizacyjnego, mówił przyciszonym głosem do siedzącego naprzeciwko starszego mężczyzny o wysokim czole i myślącym spojrzeniu, ubranego w marynarkę wyświeconą na łokciach i wypchniętą na kolanach sztuczkowe spodnie,

- Próbowaliśmy różnych już sposobów. Wszystko na próżno. Pilnują go jak oka w głowie. Akcji z zewnątrz, po nieudanej próbie przedsięwziętej przez naszych kolegów z innych ugrupowań, nie bierzemy nawet pod uwagę.

- A człowiek ten musi być wolny. Pomijając już obowiązek wobec towarzysza, który wpadł, jest to szef całego naszego wywiadu, bez niego robota na terenie GG będzie prawie niemożliwa.

- Jedyny ratunek widzimy w panu, panie profesorze.

Starszy pan uniósł wysoko brwi.

- We mnie? A cóż ja tu pomóc mogę?

- Ośmieliliśmy się fatygować tu pana profesora dlatego, że chcemy pana prosić o dostarczenie nam wszy tyfusowych.

- Ach, tak? A w czymże to może pomóc panom do uwolnienia więźnia?

- Sprawa jest zupełnie prosta. Prześlemy mu je za pomocą naszych kontaktów na Pawiak. Podda się ukąszeniom, a kiedy wystąpią objawy tyfusu plamistego, Niemcy wyślą go natychmiast do Szpitala Świętego Stanisława na Wołę. Zawsze tak robią. Stamtąd odebrać go to już fraszka.

- Pomysł śmiały, ale czy przyjaciel panów zgodzi się na to. Typhus exanthematicus najbardziej atakuje serce i naczynia krwionośne, daje przeto duży odsetek śmiertelności.

- W tej chwili kolega, o którym mowa, ma zapewnione pełne jej sto procent, nie licząc tortur. Tyfus daje mu pewne szansę uratowania życia. Pawiak żadnych. Zresztą to już zostało z nim uzgodnione.

- Jeśli tak, jestem do usług. Dostarczę panom pewną ilość wszy odzieżowych zakażonych, które powinny wywołać dur osutkowy. Będą umieszczone w szklanej fiolce. Tylko jak panowie prześlą to więźniowi?

- Prawdopodobnie w pudełku od zapalek, dlatego też prosimy o fiolkę taką, żeby się w pudełku zmieściła.

- Dobrze.

Profesor nie kończąc partyjki, której zresztą nie zaczynał, podniósł się, pożegnał inżyniera i dwóch siedzących wraz z nim panów, którzy nie zabierali głosu w rozmowie, służąc tylko za statystów przy grze w razie wtargnięcia do mieszkania osób „nie zaproszonych”.

Zaraz po nim wyszedł Maniūs Kitajec. Ciemno już było, kiedy się znalazł przy zbiegu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Ulica szybko pustoszała. Przechodnie wskakiwali do ostatnich tramwajów, wisząc na stopniach, byle dostać się do domu przed godziną policyjną. Chodziły bowiem uparte wieści, że Niemcy zatrzymanych po tej godzinie na ulicy Polaków wysyłają do obozów koncentracyjnych.

Idąc szybko, Maniūs omal nie wpadł pod wielką czarną limuzynę, która skręcała w Marszałkowską. Luksusowa minerva oświetlona była wewnątrz zieloną, przepisową podczas zaciemnienia lampką.

W widmowym jej świetle ujrzał Maniūs dwie postacie. Oficera Wehrmachtu i siedzącą obok niego elegancką młodą kobietę w popielatym futrze. Spojrzał na jej twarz i serce mu się zatrzymało. Była to Hania, narzeczona Andrzeja. Maniūs odruchowo przetarł sobie oczy.

Czyże ja pijany jestem? - pomyślał. W tej chwili auto, zatrzymane chwilowo przez regulującego ruch granatowego policjanta, ruszyło.

Maniūs myślał że padł ofiarą halucynacji, usiłował dopędzić auto. Ale samochód skręcił w Marszałkowską i roztopił się zaciemnionej ulicy, tylko dwa czerwone reflektory świadczyły, że był prawdziwym samochodem. Na chwilę wpadł jeszcze „Pod Minogę” bowiem podzielić z kimś swoim potwornym odkryciem.

- Chuchnij pan! Maniūs chuchnął

- W jakim celu?

- Hania?

- Widziałem ją, jak pana teraz widzę

Spojrzyj pan na mnie, ile Aniołków pan widzisz, dwóch czy trzech? A białe myszy nie latali po tem samochodzie?

- Panie Aniołek, jak pragnę Hitlera w klatce na Teatralnem placu zobaczyć, jeszcze słowo i obrażę się. Wariata z przywoitego człowieka pan nie rób, bo to nieładnie. Jak mówię, że widziałem ją, to znaczy się, że widziałem, i tylko się chciałem z panem naradzić, co teraz robić, trzeba chyba powiedzieć redaktorowi albo inżyniera zawiadomić, bo z tego może być wsypa na całe Warszawę.

- No, rzecz jasna, o wiele pan jesteś pewien tego, to powiedzieć trzeba, ale i tak dopiero jutro. Na razie, po mojemu, idź pan spać i dla pewności napij się pan soku malinowego. Na zimne grypę tylko poty.

Maniūs zerwał się z krzesła i nie żegnając się, wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Przez parkany, opłotki i znajome podwórka dotarł po paru minutach do domu, w którym mieszkał. Wdrapał się na górę, wszedł do mieszkania i rzucił się w ubraniu na łóżko, ale nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, oczekując na powrót Murzyna, który już dawno powinien być w domu.

Ale Jumbo Johnson musiał dzisiaj dłużej zostać w „Adrii”. Dyrekcja dawała trzy programy na wieczór. W Warszawie było mnóstwo żołnierzy przejeżdżających na coraz bliższy front. Trzeba im było dać chwilę oszołomienia muzyką i tańcem. Trzeba było podtrzymywać ducha, gdyż nawet najgłupszy piechociarz zaczął się zastanawiać,

czy rzeczywiście „Victoria” jest taka murowana, jak twierdzili codziennie przez radio urzędnicy Goebbelsa.

Trzeci już raz tego wieczora powtarzał Jumbo na parkiecie swój numer. Kiedy skończył ostatni taniec i dziękował za brawo, spojrzał w głąb sali i oczy wyszły mu niemal z orbit. W loży na lewo tuż przy przejściu do Złotego Baru siedział ubrany w mundur kapitana niemieckiej artylerii mister Briks, Amerykanin, dawny jego chlebobdawca.

Obok niego, ciągnąc przez słomkę oranżadę, śmiała się pokazując rząd olśniewająco białych zębów elegancka szatynka w narzuconym na ramiona popielicowym futrze. Była to narzeczona redaktora Zagórskiego.

Jumbo stal jak urzeczony, choć orkiestra grała już następny numer programu i na parkiet wjechały „Winter-Schwestern”, mistrzyni jazdy na rowerach.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Murzyn począł iść w stronę loży. Gdy podszedł zupełnie blisko i zatrzymał się przed siedzącymi, kapitan artylerii zmarszczył brwi i zapytał opryskliwie:

- Was wimschen Sie?



## ROZDZIAŁ XVII

### w którym, opisane są różne przygody pewnej szynki wielkanocnej

Manius Kitajec i starszy Piskorszczak szli szybko Podwalem do placu Zamkowego. Towarzysz Maniusia dźwigał pod pachą czarną teczkę skórzaną, mocno wypchaną czymś ciężkim, bo przekładał ją od czasu do czasu z ręki do ręki.

Kiedy doszli do kolumny Zygmunta, Piskorszczak, który nieznacznie, ale pilnie rozglądał się na wszystkie strony, na widok przejeżdżającego od mostu Kierbedzia tramwaju nr 21 zawołał:

- „Oczko”, skacz, Manius, do przyczepnego, ja za tobą.
- A może lepiej na piechotę? - namyślał się Kitajec.
- Skacz, inżynier czeka, już późno.

Manius skoczył zręcznie na tylny pomost, Piskorszczak za nim. Mieli ochotę zostać na pomoście, ale tłum pasażerów wsiadających przy Miodowej wepchnął ich do środka wagonu. Pasażerowie obładowani byli przeróżnymi paczkami, tłumokami i torbami. Jakaś paniusia trzymała w górze nad głową stoliczek wielkanocny z cukrowym święconkiem. Pod ławką pokwikało w worku prosię, uciszane przez bardzo speszzonego właściciela.

Przez zbite mrowie przeciskał się konduktor, pobierając opłaty za przejazd, przy czym wydawał bilety co trzeciemu mniej więcej pasażerowi, innych kwitując porozumiewawczym mrugnięciem.

Manius rzuciwszy okiem na stoliczek, paczki i worek pod ławką rzekł:

- Nie daje się jakoś nasza Warszawa, skoro jeżeli prosiak z nami jądzie.
- Święcone, gorsze, lepsze, ale każdy będzie miał. Nie to, ma się rozumieć, co przed wojną, ale i tak narzekać nie można.

- Na warszawskich szmuklerzy nie ma mądrego. Podobnież parę dni temu w tył przywieźli koleją z Karczewia bitego wieprza w całości. Ubrany był w jesionkie, dęciak miał nasunięty na oczy i na ławce między podróżnymi siedział.

- Możliwe, ale co z tego. Nic człowieka nie cieszy, Święta, Wielki Czwartek dzisiaj, ludzie produkta religijne więz, a miny mają, jakby w Zaduszki na Bródno posuwali. I zły każdy jak wielka cholera, że by drugiemu oczy powyjmął!

To ostatnie zdanie odnosiło się do grupy pasażerów kłócących się zęb za zęb o jakieś popchnięcie czy nadeptanie na odcisk.

Nagle jadący dotąd szybko tramwaj raptownie przyhamował. Pasażerowie, tracąc grunt pod nogami, runęli naprzód, a następnie w rył. Ktoś z pomostu krzyknął:

- Łapanka!

Pan Manius wraz z innymi rzucił się do okna. Ulica zielona była od żandarmów. Jedni otaczali już tramwaj, inni wyskakiwali szybko z wielkich policyjnych autokarów o otwartych bokach.

Przerażeni pasażerowie kłębili się bezradnie w wagonie, przeglądając nerwowo swoje bagaże lub szykując dokumenty. Stojący bliżej wyjścia usiłowali wydostać się z wozu, ale w tej chwili na stopień wskoczył olbrzymi chłop w zielonym mundurze i wrzasnął:

- Los, los, alle raus, sofort, schneller!

Teraz już nie było czego się śpieszyć z wyskakiwaniem, pasażerowie wolno zaczęli opuszczać tramwaj.

Piskorszczak spojrział pytająco na Maniusia, po czym nieznacznie postawił teczkę na ławce, wśród pakunków szykujących się do wyjścia towarzyszy niedoli, i odsunął się o parę kroków. Maniūs zmarszczył brwi i szepnął mu do ucha:

- Nie, Stasięk, tak nie zrobisz - wszystkich rozwałą! Było nie było, targajmy... może się jakoś uda.

Stasięk wrócił po teczkę, zabrał ją i jako jedni z ostatnich wyszli z wagonu.

Niemcy tymczasem, otoczywszy schwytanych, obok tramwaju rozpoczęli legitymowanie.

Maniūs i Stasięk z przerażeniem patrzyli, jak żandarmi drobiazgowo badają każdy pakunek. Wreszcie opasły czerwony wachmeister podszedł do nich.

Maniūs wysunął do niego swoją kenkartę, ale żandarm nie spojrział nawet na nią, od razu wyciągając rękę po teczkę.

- Co zaś ale tam jest? - zapytał po polsku z poznańska.

Stasięk, błądy jak trup, odrzekł po chwili namysłu:

- Szynka na Wielkanoc.

Niemiec otworzył teczkę, wyjął z niej duży, owiązany sznurkiem pakiet, rozdarł papier i rzekł:

- Ja. Gut, szynka!

Wziął paczkę pod pachę, oddał pustą teczkę Piskorszczakowi i zwrócił się do jakiejś stojącej obok, drżącej z przerażenia pani. Stasięk i Maniūs patrzyli na siebie szeroko otwartymi z najwyższego zdumienia oczami. Piskorszczak z trudem łykał zaschlą ślinę. Kitajec szczypał się w policzek.

W paczce wyjętej z ich teczki była istotnie wędzona, zwijana szynka. Widać ją było dobrze przez dziurę wyrwaną przez żandarma w zatłuszczonym papierze.

- Maniuchna, bij mnie w mordę - nic nie rozumie. To chyba cud! - powiedział po chwili Stasięk.

- Nie cud, tylko żeś teczkie, lebiego, zamienił. Naszą ma ten gruby. - Istotnie nie opodal stał tęgi, zasapany pan, trzymając w jednym ręku ausweis wypisany na wielkim arkuszu, a w drugim identyczną prawie teczkę.

Strach na nowo wypełnił serca przyjaciół ze Starówki. Wachmeister, wylegitymowawszy trzęsącą się jak osika panią, podszedł do tęgiego pasażera.

Wziął w rękę ausweis i zagłębił się w jego studiowaniu. Przeczytał, złożył we czworo i oddał mu, następnie wyciągnął rękę po teczkę. Wtem zagrzmiał głos komendy:

- Genug! Fertig! Einsteigen! - Żandarm, któremu szynka krępowała swobodę ruchów, machnął ręką i pobiegł truchtem do autokaru.

Przyjaciele, ocierając rześisty pot z twarzy, patrzyli na odjeżdżających Niemców, którzy zabrali kilka osób oraz niezliczoną ilość paczek, i przez długą chwilę nic nie mówili.

- No... - odezwał się wreszcie Maniūs - mieliśmy troszkie fartu.

- Bo to właściwie nie była łapanka, tylko „nalot” na żywność. I udał się jem - samych szynek na moje oko zahaczyli z dziesięć... Ale, ale, gdzie gruby z mojem towarem?

- Najechał, szukaj go!

Rzucili się w wyległy z bram i sklepów tłum przechodniów. Biegali tam i z powrotem - tęgi pan przepadł bez śladu.

- Dostał kamfory, jak pragnę zdrowia, musiał gdzieś wlecieć w bramę, a może w tramwaj wskoczył. W każdym bądź razie mnie narobił straty, a sam może dostać „w czapkę”, jak się drugi raz na szkopów natnie - biadał Piskorszczak.

- Było nie było, chociaż z pustą teczką musiem iść do inżyniera. Zwłaszcza że poniekąd tamtą drugą sprawę trzeba załatwić - odrzekł na to Maniūs.

- No faktycznie. Idziem.

W biurze kanalizacyjno-ogrzewniczym inżynier Zalewajko rozmawiał w swym gabinecie z jakimś eleganckim, gładko wygolonym starszym panem, gdy woźny Jan zameldował mu przybycie „tych dwóch względem rur”.

Inżynier przeprosił swego gościa i nie zamykając drzwi od gabinetu wyszedł do magazynu naprzeciw przybyłemu.

- No, macie, panowie, co dla mnie?

- Mieliśmy, ale ktoś nam w tramwaju zamienił to na szynkie.

- Jak to zamienił, cóż to za żarty?

- Niech ja skonam, tak było. Opowiedz, Stasięk, panu dyrektorowi.

Wysłuchawszy opowieści o „nalocie” inżynier uśmiechnął się, ale zaraz odezwał się poważnie:

- Szkoda, trzy sztuki z amunicją to duża strata dla nas.

- To jeszcze frajer, jest gorsza sprawa... Nie wiem, może to rzecz nie moja, może nie powinienem swoich parszywych trzech groszy w to wtrącać, ale powiedzieć muszę. Widziałem wczoraj pannę Hanię w samochodzie z niemieckim oficerem! - powiedział Maniūs z naciskiem, dziwiąc się, że nie zrobiło to na inżynierze prawie żadnego wrażenia.

- Ale to jeszcze frajer. Czy pan dyrektor słyszał o Murzynie Szuwaksie, którego za baletnika w „Adrii” przedstawia?

- Owszem, słyszałem.

- Jeżeli owszem, to muszę panu zaznaczyć, że Murzyn też ich widział w „Adrii”!

- Ale to jeszcze frajer - podchwycił Piskorszczak - ten szkop to nie żaden szkop, tylko przedwojenny precypał Szuwaksa, Byk czy tam Bryk, którego parę lat temu nazad za ofiarę tajemniczego zniknięcia się został i na którym „Czerwoniak” ładną forszę w tem czasie zrobił.

Jak go Murzyn poznał, podchodzi do stolika i chce się przywitać, a ten go z miejsca obciął, oczy na niego postawił i po niemiecku do niego: Was wünschen Sie, co podobnie oznacza: „Odtranżol się, nie znam cię”. I co pan szanowny na to?

- No cóż? Znam z grubsza tę sprawę. Na razie mogę panom powiedzieć jedno, postarajcie się jak najszybciej o tym zapomnieć, proście również o to tego Murzyna. Może niedługo będę mógł wam powiedzieć coś więcej. Na razie pan nie widział panny Hani z Niemcem, Murzynowi się wydawało, że spotkał w „Adrii” swego dawnego chlebodawcę. Zrozumieliśmy się?

- Wiadomo. Wszystko, znaczy się, apteczne złudzenie ludzkiego oka?!

- Oczywiście. Teraz myślcie, panowie, tylko o jak najszybszych i jak najczęstszych dostawach.

- W porządeczku, będziemy się starać, a teraz mamy zaszczyt opuścić lokal. Szanowanko.

Pożegnawszy swych dostawców inżynier wszedł do swego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i zwrócił się do siedzącego w fotelu wytwornego pana.

- No, słyszał pan, mister Briks?

- Słyszałem - odpowiedział tamten spokojnie, zaciągając się dymem. - Słyszałem i dziś jeszcze śmiać mi się chce, jak sobie przypomnę głupią minę mojego pocziwego Jumbo.

Mówił poprawnie po polsku z lekkim tylko cudzoziemskim akcentem.

- A czy nie uważa pan, że ta zabawa w „Adrii” i zobaczenie niemądrej miny swojego byłego szofera mogłyby pana i nas zbyt drogo kosztować? Przypomina pan sobie chyba, że gorąco odradzałem pokazywanie się w takim lokalu, gdzie wśród służby łatwo mógł pan znaleźć kogoś, co pana zna z dawnych czasów.

- No istotnie, przyznaję panu rację. Ale widzi pan, mój pradziad był traperem, polował na bobry nad Amazonką, wymyślał się Indianom, ja lubię czasem niebezpieczne sytuacje, może to atawizm... A poza tym nie miałem innej rady, człowiek, z którym miałem się w „Adrii” spotkać, nie miał najmniejszego pojęcia, jak wyglądam. Powiedziano mu tylko, że będę w towarzystwie pani w popielicach narzuconych na ramiona. Warunki te układał ktoś znajdujący się daleko stąd i słabo zorientowany w panujących tu stosunkach.

Spotkanie to doszło do skutku tylko dzięki panu, gdzież ja bym wystraszała w Warszawie popielicowe futro i damę, która chciałaby wziąć udział w tak niebezpiecznej grze...

- No, to nie byłyby jeszcze takie trudne. Najcięższą przeprawę miałem z panną Hanią, żeby ją skłonić do pokazania się z Niemcem przy boku. Ale to dzielna i rozumna dziewczyna, zgodziła się wreszcie...

- I wywiązała się z zadania świetnie. Stanowiliśmy typową niemiecką parę, jakich tam było mnóstwo.

- W każdym razie na przyszłość nie zgodzę się już na takie pomysły z kryminalnego romansu i nie pozwolę narażać się swoim ludziom.

- To już nie będzie potrzebne. Dziś wyjeżdżam. Zdobyłem materiały, o jakie mi chodziło, i do Warszawy wrócę nieprędko. Dopiero po wyzwoleniu, którego zarówno wam, jak i sobie gorąco życzę.

Obaj mężczyźni silnie uścisnęli sobie ręce.

- Wie pan, ta formułka nowego stopu, z jakiego Niemcy sporządzają pancerze swoich czołgów, jest dla nas nieocenioną zdobyczą, uratuje ona życie niejednego polskiego i alianckiego żołnierza i będzie stanowić krok naprzód na drodze do zwycięstwa. A dla tego warto chyba odegrać czasem nawet taką scenkę z naiwnego romansu kryminalnego?! Toteż niech pan nie żałuje, majorze, tego, co pan dla mnie zrobił.

- Nie żałuję na pewno, ale o ludzi mi chodzi. Strasznie nas tu wykruszają...

Gdy ta rozmowa toczyła się w wielkim, ponurym domu w Śródmieściu, przez pełen młodziutkiej kwietniowej zieleni ogródek na Żoliborzu szedł szybkim krokiem tęgi pan w rozpiętym płaszczu. Pod pachą dźwigał czarną teczkę. Otworzył drzwi wejściowe

wyjętym z kieszeni kluczem, wpadł do niewielkiego hallu, zdjął płaszcz, przeszedł do pokoju z lewej strony, położył na stole teczkę i udał się do swego gabinetu.

Tam rzucił się na tapczan, leżał kilka minut, głośno oddychając, po czym uniósł głowę i zawołał:

- Nniuuuunia!

Po chwili do gabinetu wbiegła pulchna osóbką lat około czterdziestu pięciu, w szlafroku w niebieski rzucik. Włosy miała związane w domowy koczek zakończony pasową wstążeczką.

- Ksawery, jesteś?! - Rzuciła mu się na szyję, całując go głośno i kilka razy. - Taka byłam niespokojna, podobno strasznie dzisiaj łapią?!

- Ach, Niuniu, co ja przeżyłem, pojęcia nie masz. Cztery razy mnie legitymowali, raz nawet chcieli rewidować, ale jak zobaczyli mój ausweis, zaraz mnie puszczali. Bądź co bądź firma „Ksawery Paluszkiewicz” to nie byle co! Jakby mnie zamknęli, to kto by budował nowy sklep dla Meinla? Kto by stawiał nowy garaż dla Stadthauptmanna??

Już musisz przyznać, Niunieczko, że umiałem się urządzić w tych strasznych czasach. Nie tylko mam pierwszorzędnny ausweis, nie tylko zabezpieczyłem siebie, swoją rodzinę i robotników przed wywiezieniem do Rzeszy, ale jeszcze walczę z Niemcami!

- Ksawery, zastanów się, co ty mówisz, ty walczysz, o Boże, ja oszaleję! Jak to walczysz?

- A walczę, walczę - co tydzień podwyższam im cennik robocizny i materiałów! Muszą mi coraz więcej płacić, w ten sposób niszczę ich potencjał gospodarczy.

Małżonka pana Ksawerego, na razie bliska omdlenia, usłyszawszy to wyjaśnienie, usiadła obok niego na tapczanie i zaczęła gładzić troskliwie czoło swego genialnego towarzysza życia.

- Jeżeli tak, to walcz, walcz jak najczęściej! Mój bohater, mój Książę Niezłomny!

Pan Paluszkiewicz objął czule panią Niunię, ucałował ją w czoło i rzekł:

- I dzięki temu moja żoneczka będzie miała na święta szynkę - palce lizać!

- Kupiłeś?

- Co to kupiłem, wywalczyłem, wystarałem się, przewiozłem przez cztery łapanki, ale za to jest. Święcone będzie tradycyjne. Powinna być smaczna, pięknie wygląda i pachnie bardzo aromatycznie.

- Gdzie ją masz?

- W teczce w stołowym.

Pani Niunia pobiegła do stołowego, a pan Paluszkiewicz wydobył tymczasem „Nowy Kurier Warszawski” i zagłębił się w lekturze.

Nagle z jadalni dobiegł go przeraźliwy krzyk małżonki.

- O Boże, o Boże, Ksawery, coś ty przyniósł?

Na progu gabinetu stanęła pani Paluszkiewiczowa w rozwianym szlafroku, z przekrzywionym kokiem i rozwianą pasową wstążeczką.

Pan Ksawery usiadł na tapczanie.

- Jak to co? Szynkę. Nie podoba ci się?

- Jeszcze sobie drwi ze mnie! Nikczemnik! Dzieci - ratunku!

Z piętra dał się słyszeć tupot nóg, do pokoju wbiegli dwaj chłopcy, szesnasto i czternastoletni.

- Mamusiu, co się stało? Czemu tak krzyczysz?

Ciężko dysząc, trzymając się rękami za biust, pani Niunia mówiła zduszonym głosem:

- Wasz ojciec... wasz ojciec... zapisał się do organizacji! Całą teczkę bomb i rozpylaczy do domu przyniósł, zdaje się, że i armata tam jest!

Pan Paluszkiewicz zerwał się na równe nogi.

- Niunia, czyś ty zwariowała?

- Nie, to nie ja, to ty zwariowałaś! Nie dbasz o mnie, o te biedne dzieci! Jeszcze kpi sobie, że szynkę kupił. O ja nieszczęśliwa, za kogo ja wyszłam, za akowca, za alowca, organizatora!!! Skład broni urządził w stołowym pokoju!

„Biedne” dzieci, usłyszawszy to, jak huragan wpadły do jadalni. Z roziskrzonymi oczami rozpakowywać zaczęły wspaniały towar Piskorszczaka.

- Pycha! - wołał starszy. - Sten dla mnie, colt dla ciebie, Jurek, a vis dla tatusia!!! A to nam zrobił niespodziankę. Teraz już należymy wszyscy. Gdzie tatuś zapisany, do Wigrów, Parasola?! W górę pana Paluszkiewicza!

Ale pan Ksawery odrzącił chłopców, stał w drzwiach, bladł i czerwieniał na przemian, ciężko dyszał i nieprzytomnymi oczami patrzył na teczkę, na broń i rozsypaną amunicję.

- Co to, jak to, skąd to? - szeptał bezgłośnie; nagle ryknął: - Dawać to!

Jak szalony rzucił się na chłopców, odebrał im pistolety, wrzucił do teczki, zagarnął ze stołu ładunki, wysypał na wierzch. Jak ranny jeleni wpadł do gabinetu, otworzył tapczan, wrzucił tam straszliwy pakunek, zamknął, nakrył kilimem i usiadł na tym wrywając sobie włosy z głowy.

- I ja z tym chodziłem po mieście, cztery razy mnie legitymowali... byłem u Leista... położyłem mu teczkę na biurku! - Tu osunął się na dywan zemdlony. Przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwonek.

- Gestapo! - krzyknęła pani Niunia. Pan Paluszkiewicz zerwał się natychmiast, wyjął teczkę z tapczanu i biegał z nią po wszystkich pokojach.

Wreszcie wpadł do kuchni, usiłując utopić ją w zlewie, to znowu starał się wpakować do imbryka.

Chłopcy tymczasem pobiegli do drzwi. Starszy zapytał:

- Kto tam?

- Swój! - odpowiedział jakiś nieznany męski głos,

- Co za swój?

- W sprawie szynki, to jest, chciałem powiedzieć, teczki - wyjaśnił głos drugi, jakby lekko przepity.

## ROZDZIAŁ XVIII

### w którym szlachetny gest Apolonii Karaluch sprowadza najbardziej nieoczekiwane konsekwencje

Młodzi Paluszkiewiczowie, odbywszy naradę z nieprzytomnymi prawie ze strachu rodzicami, zdecydowali się wreszcie otworzyć. Weszli Maniuś Kitajec i Piskorszczak. Maniuś miał pod pachą teczkę pana Paluszkiewicza.

- Przepraszam za parą - zagał skłoniwszy się wytwornie pani domu. Po czym zwrócił się do pana Paluszkiewicza. - Ale o wiele mnie pamięć nie myli, pan szanowny miał zaszczyt posuwać dzisiaj „oczkiem” z Pragi na Żelazne Bramę.

- Ja? skąd? nic podobnego - bronił się słabo pan Ksawery.

- Skąd, rzecz nie moja, ale posuwać pan szanowny posuwał i cykorii przed nami nie ma pan co odczuwać, bo my swoje chłopaki, nie zamierzamy żadnej przykrości państwu skutecznie, a rozchodzi się tylko o teczkę, którą mamy życzenie zwrócić i odebrać swoją właściwą.

- Ja żadnej teczki w domu nie mam.

- Jak to pan szanowny nie ma? Zabrali panu? To niemożliwe, bo i pańskiej osoby by tu nie było.

- Faktycznie - poparł przyjaciela Piskorszczak - ale o wiele pan tu figuruje, a w teczce, którą przynieśliśmy, znajdują się papiery z pańskim adresem, w taki sposób nasza paczka z pewnym tryfmem wyrobem żelaznym musi się znajdować u pana.

- Rzecz jasna i raz jeszcze zmuszone jesteśmy prosić.

- Nie strugaj pan z tata wariata, tylko oddaj pan cudzą własność, bo możemy wyjść z nerw i zacząć się wyrażać...

- Stasiuchna, obliczaj się ze słowami, bo dam w ryja i wyprowadzę na schody. Przede wszystkim towarzyskie alibi wobec płci pięknej - zmytygował przyjaciela pan Maniuś, po czym zwrócił się do pani Paluszkiewiczowej:

- Może pani szanowna będzie łaskawa wziąć małżonka do drugiego pokoju, cośkolwiek go zesobaczyć i wytłumaczyć, że nie ma racji. Towarek, którego się w naszej teczce znajduje, jest troszkę krepujący w prywatnym mieszkaniu i może państwa narazić na drobne nieprzyjemność.

- Ksawery, oddaj im natychmiast i niech wyjdą.

- O to się tylko rozchodzi, bo godzina faktycznie spóźniona i władze niemieckie mogą nas zaczepić za brak uważania dla przepisów szanownego pana gubernatora gieneralnego Franka, żeby go ziemia wyrzuciła...

Pan Paluszkiewicz, zdobywszy się nagle na decyzję, wybiegł z hallu i po chwili wrócił z paczką oddając ją Maniusiowi.

- Macie, macie i wyjdźcie stąd już.

- Zaraz, panie szanowny, nie tak galopkiem, przede wszystkim musiem zwrócić panu pańską teczkę, bardzo przepraszamy, że troszkę lżejsza, ale „zielonka” szynkie nawalił...

Chłopcy, którzy dotąd z niemyim zachwytem przyglądali się obydwu gościom, teraz podbiegli do nich, a starszy szepnął coś panu Maniusiowi.

- Nie mogię, bo to stalunek, zamówienie, ale o wiele mamusia kawalerowi pozwoli, to owszem, dlaczego nie, możemy dostarczyć elegancką kieszonkową sztuczkę w najnowszym fasonie z setką naboi.

- Nie, nie, nie trzeba! - krzyknęła rozzdzierając pani Niunia. - Krzysiu, ty mnie do grobu wpędzisz!

- Chłopcy, na górę! - wrzasnął na synów pan Paluszkiewicz i otwierając drzwi, rzekł do zbierających się do odejścia panów:

- A teraz zęgam.

- Nasze najniższe, a panu szanownemu radzę do poduszki łyżeczki od herbaty kropli walerianowych na czterdziestki spirytusu dla poratowania zdrowia.

Pan Paluszkiewicz, nic nie mówiąc, zatrzasnął drzwi i otarł kroplisty pot z czoła.

Pogwizdując „Zakochane twoje serce” Maniūs Kitajec i Stasiēk Piskorski pomaszzerowali w stronę placu Inwalidów.

\*\*\*

Wielkanoc przeszła na Starówce w powadze i spokoju. Mimo trudnych wojennych warunków tradycji stało się zadość, Państwo Aniołkowie urzędzili dość wystawne przyjęcie, w którym brali udział prawie wszyscy dobrzy znajomi z panem Konfiteorem, inwalidą Śmieciuską oraz panią Rypalską na czele.

Nie zabrakło nawet zgodnych ze starożytnym zwyczajem wystrzałów na wiwat. Załatwili to bracia Piskorscy poświęcając na ten zbożny cel kilka granatów ze swego bogatego asortymentu. Pociski wybuchły o szóstej rano na pustym placu na Nowym Mieście i nie wywołały żadnej prawie reakcji ze strony Niemców. Przyjechała wprawdzie buda pełna żandarmów, pobiegali tu i tam, powrzeszczeli i na tym się skończyło.

W ogóle Niemcy, ostrzelani w niezliczonych akcjach organizacji podziemnych, bezpośrednio reagowali teraz znacznie słabiej niż w pierwszych latach okupacji, latach Wawra i Bochni.

Mieli poważne zmartwienia. Był to szósty rok wojny, rok odwrotu an allen Fronten. Front zbliżał się wyraźnie do Warszawy.

Ludzie pod „spluwaczkami” z drwiącymi uśmiechami słuchali komunikatów o planowym, wzmacniającym cofaniu się niezwycięzonych wojsk pięknego Adolfa.

A potem już wszystko poszło piorunem.

W piękny lipcowy dzień Maniūs Kitajec patrzył z zachwytem na długie węże taborów, otoczone przez oberwanych, brudnych, prawie bosych żołnierzy niemieckich. Lustrując drobiazgowo wygląd niedawnych panów niemal całej Europy, Maniūs mówił do siebie głośno:

- Ach, że wy łazarze, łazarze, cały świat wykołować chcieliście i teraz „wysiadka”, tak? No już, zjeżdżać z Warszawy, bo wam kota popędzę!...

Na rogu Alei Jerozolimskich speszył jednak pana Maniusia nieco widok „tygrysów” ciągnących sznurem na most Poniatowskiego. Załoga złożona z młodych, świetnie wyekwipowanych esesmanów oblepiła potworne cielska czołgów, wesołymi okrzykami witając przechodzące Niemki w mundurach wojskowych służb pomocniczych.

Co jest, jak pragnę zdrowia - medytował pan Maniūs - czy że mnie wzrok nie myli? Jedne zjeżdżają bez portek i butów przez Kierbedzia, a drugie wesoło zapychają w porządku.

Pocieszył się jednak zaraz myślą, że Hitler wytrząsa ostatnie okruchy swojej potęgi i rzuca je na front, że to właściwie nie wojsko, ale lipa, czyli propaganda wypuszczona



specjalnie na miasto, żeby jego, pana Maniusia, wprowadzić w błąd. Ale mimo tych logicznych argumentów dobry humor jakoś w nim przysnął.

W nie najlepszym przeto nastroju spotkał się z oczekującym na niego przy bramie parku Ujazdowskiego Murzynem Jumbo.

- Klawo, że już jesteś! - zawołał na jego widok syn afrykańskiej puszczy. - Jak raz się wyprowadzają. Jak tylko załadują graty, Polcia odpali mnie klucze.

- No dobra, ale ci mówię, o wiele tą rażą się nie uda, przynieś z sobą worek na kości. Ja już mam dosyć tych milionów. Trzy pary zelówek tu zdarłem i grosza z tego nie widzę.

- Nie bój się nic, teraz się uda. W pustym mieszkaniu nikt nam nie będzie podgrymaszał i forszę się wyjmie.

- Daj ci Boże, bo inaczej przez lejek do trumny będą cię wlewać.

Poszli w aleję Róż. Przed domem, gdzie kiedyś mieszkał Briks, stała ciężarówka, na którą pośpiesznie ładowano jakieś paki. Z sieni co chwila wypadał gruby, krótki, spocony kurnos w pumpach i wrzeszczał na tragarzy:

- Schnell, schnell, cholera ciężka!

Był to sam Herr Hans Gruschka, folksdojcz, opuszczający Warszawę w myśl rozkazu gubernatora Fischera.

Na straży jego dobytku stała na ulicy panna Apolonia Karaluch, „200-kilowa” służąca, którą Murzyn Jumbo zdobył wstępnym bojem w niezwykłych okolicznościach podczas jednej z nieudanych wypraw po skarb ukryty pod podłogą.

Okazało się, że panna Polcia nie tylko nie miała doń urazy o to, co wówczas zaszło, ale wprost przeciwnie, zachowała to w najwdzięczniejszej pamięci. Odszukała Murzyna i przelotna, zdawało się, przygoda o kryminalnym zabarwieniu zmieniła się rychło w prawdziwą miłość. Zakochani spotykali się od czasu do czasu w sobie tylko wiadomych miejscach i dziś, ulegając prośbom ukochanego, panna Karaluch obiecała mu złożyć nowy dowód miłości w postaci kluczy od mieszkania, opuszczanego właśnie przez Hansa Gruschkę.

Herr Gruschka wbiegał jeszcze kilka razy do sieni i wybiegał z niej z powrotem, ale wreszcie wszystko było gotowe. Załadowana skrzyniami ciężarówka już miała wyruszyć na dworzec, kiedy nagle okazało się, że brak Apolonii Karaluch.

Herr Gruschka rozglądał się na wszystkie strony, krzyczał „Apolonia, Apolonia”, ale masywna piękność była niewidzialna.

I nic dziwnego, dzieliła ją bowiem od chlebobdawcy gruba frontowa ściana położonej naprzeciwko kamienicy. Tam to na klatce schodowej piękna panna Karaluch ścisnęła właśnie oburącz za szyję swojego egzotycznego kochanka. Obok, dyskretnie odwrócony do okna, stał Manius Kitajec.

- Powiedz, że mnie kochasz, powiedz, że mnie kochasz - mówiła namiętnie.

Jumbo chciał odpowiedzieć, ale przyduszony potężnym ramieniem uroczej swej bogdanki charczał tylko i przewracał oczami. Ale ona chciała koniecznie wyraźnej odpowiedzi, pytała więc dalej:

- Kochasz, mów, kochasz? :

Jumbo nie odpowiadał, wówczas Manius Kitajec odwrócił się i zawołał:

- No kocha, kocha. Ale daj pani, do cholery, te klucze, bo szkop nadleci. O, słyszysz pani, jak się rozdziera!

Panna Karaluch puściła z objęć Murzyna, wręczyła mu pęk kluczy i krzyknawszy:  
- W Skierniewicach jem ucieknę! - jak 200-kilowa bomba wypadła z bramy na ulicę, wyrwywając z zawias furtkę.

A tymczasem zaszły wypadki oszałamiające. Nocami słyhać było huraganowy ogień artylerii. Aż wreszcie gruchnęła wieść: Sowietci zajęli Karczew i Świder!

Zaczęło się prawdziwe piekło. Przepelnionymi kolejkami zjeżdżali warszawiacy z letnisk i osiedli, zwożąc w popłochu do stolicy co wartościowsze rzeczy, bo w Warszawie najbezpieczniej. Mieszkańcy Pragi transportowali całe wozy mebli i waliz do rodzin w Śródmieściu. Z Marszałkowskiej przewożono szafy i maszyny do szycia na Stare Miasto, bo odwieczne, grube mury wytrzymają walkę o Warszawę lepiej niż te nowomodne ścianki na jedną cegłę.

Jedni uciekali ze Starówki na Mokotów, a inni z Mokotowa na Żoliborz, stosownie do własnych kalkulacji strategicznych.

Restauracje, bary i knajpy wszelakiego rodzaju nabite były zawianymi obywatelami, dyskutowającymi już głośno o nadchodzących wypadkach. Patrząc na to Manius mówił:

- Warszawa mocno uderza w gaz, będzie tu jakiś większy swąd! - i postanowił zorganizować „nalot” na dom w alei Róż tegoż jeszcze wieczoru.

Ekipa złożona z Murzyna Jumbo i obydwu Piskorszczaków wyruszyła pod jego dowództwem o zmroku i w pół godziny później stanęła na klatce schodowej przed drzwiami nr 3. Było cicho jak makiem zasiał. Dom sprawiał wrażenie wymarłego. Toteż Manius spokojnie wydobył klucze ofiarowane im przez pannę Karaluch i bezszelestnie otworzył drzwi. Wpuściwszy przyjaciół przed sobą, wszedł ostatni i... zdrewniał.

\*\*\*

W półmroku wielkiego hallu Murzyn Jumbo i bracia Piskorscy stali pod ścianą z rękami w górze otoczeni przez kilku młodych ludzi uzbrojonych w rozpylacze, i granatami zatkniętymi za paski.

- Ręce do góry! - krzyknął na Maniusia jeden z nich, po czym zapytał ostro: - Gadać, kto jesteście? Niemcy, folksdojczy?

- Tylko proszę nie ubliżać, panie szanowny, nieznajomem osobnikom - oburzył się Kitajec, podnosząc jednak posłusznie ręce. - Zaraz będziemy mieli zaszczyt się przedstawić. Nie jesteśmy żadne Niemcy ani foksy, tylko warszawskie rodaki ze Starówki, chociaż jeden ciut-ciut ciemniejszy. .

- Co tu robicie?

- Nic nie robimy, przyszliśmy obejrzeć mieszkanie.

- W jakim celu?

- W zwyczajnym celu, żeby tu się wprowadzić, bo się dowiedzieliśmy, że lokal jest wolny.

- Skąd macie klucze?

- Od Karalucha.

- Od jakiego karalucha?

- Niejaka Apolonia Karaluch, kuchta, która tu służyła, za narzeczoną chodzi z naszym kolegą Murzynem i ona nam ich wręczyła.

Uzbrojeni ludzie popatrzyli na siebie niezdecydowanie, wreszcie ten, który prowadził indagację i wyglądał na dowódcę, rzekł:

- Sprawdzimy to. Na razie obszukać ich i zamknąć w łazience.

Mimo protestów pana Maniusia, który utrzymywał, że bardzo się śpieszy do żony i sześciorga drobnych dzieci, młodzieńcy z rozpylaczami obrewidowali ich starannie, znajdując dwa łomy i kilka sztuk narzędzi stolarskich. Po czym poszukiwacze skarbów zostali zamknięci w luksusowej łazience.

Siedząc na krawędzi wspaniałej porcelanowej wanny, pan Maniś czynił gorzkie wyrzuty Murzynowi, że znowu, po raz nie wiadomo który, namówił go na tę pechową imprezę.

- O wiele nas stąd wypuszczą i jednym słowem wspomnisz mnie, lebiego, jeszcze kiedy o tem adresie, czarna plama się po tobie zostanie, jak po zbitej butelce atramentu.

A tymczasem w dawnym gabinecie Briksa, gdzie pod podłogą drzemały miliony, uzbrojeni młodzieńcy naradzali się, co robić dalej z więźniami.

- Moim zdaniem to warszawscy złodzieje, którzy wybrali się tu na robotę. Myśleli, że szkop zostawił coś oprócz mebli.

- A ja myślę, że to nie jest takie proste. Ten Murzyn występował w niemieckich knajpach.

- W każdym razie wypuścić ich stąd nie można, bo mogą rozszczekać, co tu widzieli. A to jest ważny punkt oporu, którego bez rozkazu nie możemy likwidować. Godzina „W” może być ogłoszona każdej chwili.

- Niech siedzą z nami.

- Mogą nam tu bardzo przeszkadzać.

- Jedyne wyjście wysłać łączniczkę z meldunkiem do szefa wywiadu, niech on się martwi.

Dowódca placówki wydarł kartkę z bloku, wypisał coś na niej, po czym rzekł:

- Dajcie to Marcie.

Jeden z podkomendnych poszedł do kuchni, gdzie czytając książkę siedziała młoda dziewczyna w granatowym berecie i grubych narciarskich butach.

W dwadzieścia minut później łączniczka Marta oddała meldunek inżynierowi Zalewajce w jego gabinecie.

Biuro kanalizacyjno-ogrzewnicze przepełnione dziś było klientami, którzy jednak nie interesowali się ani kranami do wanien, ani umywalniami, mając całą uwagę skupioną na pistoletach automatycznych, rozdawanych w modlitewnym skupieniu przez woźnego Jana.

Inżynier Zalewajko rzucił okiem na kartkę, po czym oddał ją siedzącemu naprzeciwko biurka chudemu panu o wąskich, zaciętych ustach i oczach niewidocznych zza grubych szkieł binokli.

- Co pan o tym myśli, panie pułkowniku?

Chudy pan przeczytał meldunek, po czym powiedział tonem nie znośnym sprzeciwu:

- Moim zdaniem to albo konfidenci, albo element pładrujący. Tak czy owak trzeba postąpić według praw czasu wojennego. Wystrzelać całą bandę. Punkt zlikwidować. Ludzi przenieść na ulicę Szopena...

## ROZDZIAŁ XIX

### w którym nasi przyjaciele, cudem wybawieni z fatalnej wanny, wpadają w jeszcze gorsze tarapaty

Inżynier potrząsnął głową i rzekł z uśmiechem:

- No nie, tak nie można. Nawet jeśli staniemy na stanowisku, że za szaber należy się tym tajemniczym gościom kula w łeb, bez dochodzenia i sądu zrobić tego nie mamy prawa. Trzeba by tam wysłać kogoś dla przeprowadzenia śledztwa... Ale kogo? Chyba sam pójde obejrzeć tych dzentelmenów...

- Jak pan chce, panie majorze - odrzekł obojętnie chudy pułkownik i pochylił się nad planem Warszawy rozpostartym na biurku. Wziął ze stojącego przed nim pudełka od gilz szpilkę z biało-czerwonym proporczykiem i wbił ją między chorągiewki z czarną swastyką w białym polu.

Inżynier Zalewajko, nazywany już teraz majorem Kuźmą, na blankiecie firmowym przedsiębiorstwa kanalizacyjnego nakreślił kilka słów, oddarł handlowy nagłówek, złożył papier we czworo i wręczając go łączniczce, rzekł:

- Oddajcie to komendantowi punktu, przytrzymanych traktować dobrze i czekać mego przybycia. Będę rano. No i oczywiście dać im jeść. Ale jakże pani przejdzie? Przecież to dawno już po godzinie policyjnej - dodał z zatroskanym uśmiechem, patrząc na przeżącą się służbiście łączniczkę.

- Panie majorze, melduję posłusznie, że dam sobie radę. To niedaleko, a zresztą Niemcy tak spietrani, że nie zaczepiają nikogo - odrzekła Marta, waląc obcasami swoich narciarskich butów.

Otrzymawszy instrukcje majora Kuźmy, dowódca placówki w alei Róż wszedł do łazienki i zakomunikował więźniom, że muszą pozostać do rana. Manius z początku usiłował protestować, ale gdy komendant znacząco położył rękę na kolbie stena, uspokoił się i ułożył wraz i Piskorszczakami do snu w obszernej wannie, stanowiącej jak gdyby mały basen.

Murzyn Jumbo, jako sprawcą nieszczęścia, nie został do wanny wpuszczony i musiał przesiedzieć noc na biało lakierowanym krzeselku.

Jednak major rano nie przyszedł. Coś ważnego musiało go zatrzymać na mieście. Załoga punktu podzieliła się sumiennie z więźniami swoim śniadaniem złożonym z chleba, niemieckich konserw i kawy przyrządzonej przez łączniczkę.

Dopiero około godziny czwartej po południu drzwi łazienki się otworzyły i zdumionym oczom aresztantów ukazał się inżynier Zalewajko.

Ochłonawszy z wrażenia pan Manius wyskoczył z wanny i zawołał:

- Panie derektorze, jak pragnę zdrowia, niech pan nas ratuje, bo już chcieliśmy z nudów wody do tej balii napuścić i potopić się.

Major, poznawszy swoich dostawców, uśmieł się z ich przygody i nie badając nawet przyczyny, dla której znaleźli się w tym mieszkaniu, kazał ich natychmiast zwolnić.

- Oczywiście, nie potrzebuję panom mówić, że o tym, coście tu widzieli, nie należy nikomu wspominać. A poza tym radzę wam jak najprędzej udać się do domów, bo mogą zajść wypadki, które bardzo utrudnią poruszanie się po mieście. Zresztą, co tu owijając w bawełnę. Walcie do domu, bo zostaniecie odcięci, powstanie wybuchnie lada chwila.

Nie tracąc czasu na dalsze pytania, uwolnieni więźniowie szybko opuścili mieszkanie, przynaglając się wzajemnie do szybkiego chodu.

- Zapalaj, Maniuś, zapalaj, bo nie zdążem! - wołał co chwila Stasiek Piskorszczak na zostającego w tyle Kitajca.

- Kiedy cholernie mnie nogi w tej wannie ścierpli, zresztą zdaje się, że inżynier tylko na jury, do pucu nam tak powiedział, żebyśmy się prędzej stamtąd wygruzili.

- Możliwość!

- I dlatego myślę, że nie zaszkodziłoby wskoczyć na kielicha, bo po tej kawce mgłości odczuwam.

Większością głosów uchwalono wstąpić do pierwszej lepszej mordowni, „ale tylko na jednego przy bufecie i w pięć minut nas tam nie ma”.

Czterej uczestnicy wyprawy weszli do małej knajpki na Mokotowskiej z najlepszą intencją szybkiego wyjścia, ale po pierwszej wódce zaczęła się dyskusja, czy nie należało, dopuściwszy inżyniera do „doli”, zaproponować mu wspólne wydobyć skarbu.

Murzyn bardzo żałował, że nie przyszło mu to do głowy. Maniuś był zdania, że nic by z tego nie wyszło. „Inżynier obsztorcowałby nas tylko na perłowo i na tem by się skończyło”. Kiedy po dłuższej wymianie zdań towarzystwo wyszło na ulicę, dobiegało wpół do piątej. A piąta biła właśnie na ratuszowym zegarze, gdy przyjaciele znaleźli się na placu Teatralnym.

Dziwny tu jakiś panował ruch. Sklepy pośpiesznie zamykano. Jedni przechodnie szli szybko z niepewnymi, wystraszonej minami, a obok nich przechadzały się znowu wolno grupy młodzieży. Z ulicy Bielańskiej wyjechało niemieckie auto. I nagle rozległy się salwy. To spacerowicze wydobyli spod płaszczy automaty i zasypali skoncentrowanym ogniem Niemców.

Było to hasło.

Ze wszystkich stron zaczęła się siekanina ręcznego i maszynowego ognia. Przechodnie natychmiast wbiegli do bram. Czterej przyjaciele ze Starówki cofnęli się z placu w ulicę Senatorską i biegiem wpadli do Galerii Luxemburga. Strzelanina wzmagała się jak ulewny deszcz podczas burzy. O przedostaniu się na Starówkę nie było już mowy. Sień galerii, do której schował się Maniuś z towarzyszami, miała im służyć za schronienie przez kilka dni, a potem przyszli Niemcy.

Wygarnęli wszystkich i popędzili na plac Piłsudskiego.

W długich szeregach szli mężczyźni, kobiety i dzieci.

Na placu pojawili się jacyś wyżsi oficerowie, z których jeden łamaną polszczyzną zapytał, kto z mężczyzn zostawił w domu rodzinę i chciałby się z nią połączyć.

Wystąpiło kilkudziesięciu, między innymi Maniuś, bracia Piskorscy i Jumbo.

Murzyna Niemcy odrzucili, odsyłając go z jakąś grupą do Saskiego Ogrodu. Reszta została zatrzymana przez noc pod łukami Grobu Nieznanego Żołnierza.

Rano dano im butelki z benzyną i ustawiono przed czołgami. Mieli biec przodem, torować drogę „tygrysom”, dobiec do opanowanego przez powstańców ratusza i... podpalić go!

Wyglądało to na makabryczny żart, a było potworną prawdą.

Niemcy zamknęli wazy czołgów, które ze zgrzytem gąsienic ruszyły Wierzbową.

Żywe tarcze biegły na razie środkiem ulicy, ale nie wytrzymały. Chroniąc się przed ogniem powstańców rozpięzchły się pod ściany domów, padając gęsto trupem. To czołgi siekły z bocznych karabinów maszynowych, masakrując swą ludzką osłonę.

Do Kanoniczek dobiegło tylko kilku ludzi z butelkami - jakiś dyrektor gimnazjum, dwaj czy trzej członkowie „Chóru Dana”, których zagarnięto w teatrze „Jar” na Senatorskiej, oraz Maniuś Kitajec z braćmi Piskorskimi.

Wśród żelaznego ukropu kręcili się nieszczęśliwi koło kościoła, szukając, gdzie by się ukryć. Ale bramy i okoliczne sklepy były zabarykadowane na głucho.

I nagle stała się rzecz dziwna. Worki z piaskiem na wystawie cukierni Forkasiewiczza poruszyły się, odpadły jakieś belki, przez otwór wyjrzały głowy w niemieckich hełmach z biało-czerwonymi opaskami.

Zamachały przyjaźnie jakieś ręce. Młode głosy wołały:

- Tutaj, tutaj! Do nas, do nas. Żywo!

„Chór Dana” przelazi pierwszy przez worki. Potem wdrapali się bracia Piskorscy, wlokąc dyrektora gimnazjum, który miał przestrzelone nogi. Maniuś był ostatni. Stał na parapecie, odwrócił się, ujął butelkę za szyjkę i silnym ruchem puścił ją w stronę czołgów, załączając kunsztowną „wiązankę” okolicznościowych życzeń. Za tą butelką poleciała reszta. Czołgi zazgrzytały i zaczęły dreptać w miejscu. Wiedziały z doświadczenia, że z butelkami żartów nie ma.

Ochłonawszy wśród powstańców w poszczerbionych murach ratusza, Kitajec ze Staśkiem i Szmają ruszyli przez Hipoteczną i Miodową na Starówkę. Ludność z zapalem stawiała barykady, wyrzucając oknami własne meble. Panował nastrój radosny. Powiewały nie widziane od lat pięciu narodowe flagi. Na ścianach oprócz odez wisały obwieszczenia dotyczące porządku publicznego, grożące grzywną i aresztem, wydane przez Starostwo Warszawa - Północ. Przyjaciele odczytawszy rozporządzenie spojrzeli po sobie, a starszy Piskorszczak rzekł wzruszonym głosem:

- Było nie było, Maniuś, tu jest kawałek Polski!

- I patrz, Stasiuchna, chociaż szkopy naokoło, polski starosta w razie zabradziazenia spokoju do polskiego mamra może cię wsadzić! - dodał Maniuś, ocierając zgiętym palcem wskazującym łzę z powieki.

Podwale do barykady „pod Matkę Boską” przy ulicy Kilińskiego było pod obstrzałem, przeto przyjaciele poszli pod domami przez piwnice.

W półmroku zateęchłych odwiecznych lochów drzemali w kucki pod ścianami co ostrożniejsi mieszkańcy górnych pięter. Niektórzy zeszli tu z całym dobytkiem. Porozstawiane były polowe łóżka, jakieś antyczne fotele, leżaki, porozkładane na podłodze materace. W górze, gdzieś za ścianami, ryczał grasujący niedaleko czołg.

W jednej z piwnic przyjaciele trafili na taką scenę.

Jakaś siwa pani, widocznie przygłucha, poprawiła się nerwowo na leżaku i zwróciła się do siedzącej obok młodej kobiety, w odwróconym do góry podszewką futrze.

- Julciu, kto to tak chrapie?

-Tygrys.

-Kto?

-Tygrys!

- Aha, to ten z wąsami, co tam pod ścianą śpi na koszu?

Ryk „tygrysa” rozległ się gdzieś bardzo blisko.

- Ale chrapie! Julciu, czy nie można by go obudzić?  
- Niech mi mama da święty spokój, dobrze?  
- Tak, tak, pani szanowna - wtrącił się Maniuś - lepiej go łobuza nie budzić, niech tam chrapie na ulicy, bo jakby tu do nas wpadł, całkiem by panią szanowną ze snu wybił!

Nic nie rozumiejąca głuchawa staruszka patrzyła na Maniusia zdziwionymi, wytrzeszczonymi oczyma. Ale on nie udzielając dalszych wyjaśnień uklonił się tylko wytwornie kapeluszem i zniknął w dziurze przebitej do sąsiedniego domu. Piskorszczaki za nim.

Kiedy na Piekarskiej wydobyli się wreszcie z podziemnego labiryntu i weszli na Zapiecek, oczom ich ukazał się dziwny widok.

W otwartych szeroko drzwiach Café „Pod Minogą” stał pan Aniołek, ale jakże zmieniony. Na głowie miał szturmowy hełm niemiecki przepasany białą-czerwoną opaską. Taką opaską z orłem i literami WP (Wojsko Polskie) widniała na lewym jego ramieniu. Przyciasny smoking ścisnął w talii wojskowy pas, na którym wisiał w olbrzymim futerale jakiś przedpotopowy pistolet.

Pan Aniołek trzymał w ręku wielką chochlę, czerpał i umieszczonego obok kotła gęstą zupę i nalewał do menażek i garnków stojącym przed nim w długim ogonku powstańcom. Jeden z nich, ubrany w nakrapianą esesmańską panterkę z białym kapturem oraz wojskową rogatywkę z orłem, był Murzynem.

Ujrawszy Jumbo w tym bojowym stroju, przyjaciele nie mogli przez chwilę ust otworzyć ze zdumienia, oprzytomniawszy nieco, podbiegli do niego i zarzucili pytaniami:

- Szuwaks, pieska twoja niebieska, skądżeś się tu wziął?
- Przecież zostałeś w Saskiem Ogrodzie?!
- Jakżeś się szkopom urwał, do wielki anielki?

Murzyn opowiedział pokrótce, jak to, korzystając ze swojej neutralnej aparycji, bez trudu przedostał się przez niemieckie i polskie placówki i okreśną drogą przez Żabią, plac Bankowy, getto i Franciszkańską dotarł na Starówkę. Od rana już jest żołnierzem zgrupowania majora Sosny.

Przywitawszy się z Sabcią, która tuż obok wydawała powstańcom wielkie pajdy chleba, Maniuś wyciągnął rękę do restauratora:

- Panie Aniołek, jak pragnę zdrowia, coś pan wojskowem parzygnatem został? Jak to się stało, gadaj pan.

Ale pan Aniołek spojrział nań surowo i odrzekł ostro:

- Proszę wont stad. Obiad się wojsku wydaje. Nie ma teraz czasu na towarzyskie pitigrili - po czym dodał już tonem nieco uprzejmiejszym: - Przyjdź, Maniuś, za godzinę, to pomówiem.

W tej chwili podszedł do restauratora wysoki, smukły oficer w pełnym przedwojennym mundurze porucznika Wojsk Polskich i powiedział:

- Kapral Aniołek przeniesie się z kotłem dalej, pod okno. Restaurację zajmujemy na dowództwo pododcinka.

- Już się robi, panie, redakt... panie poruczniku. Maniuś, łap za drugie ucho - Kitajec chwycił kocioł z panem Aniołkiem i przyjrzał się bacznie oficerowi.

Był to Andrzej Zagórski. Eks-redaktor, ujrawszy Maniusia, uśmiechnął się przyjaźnie i zawołał:

- Serwus, Kitajec, gdzieś się pan do tej pory podziewał?

Maniuś chciał odpowiedzieć, ale nagle świat zawirował mu przed oczyma, otoczyła go nieprzenikniona noc. Rozległ się potężny huk.

Czarna chmura dymu spowiła Zapiecek, na wszystkie strony leciały kawały cegieł i sypały się szyby. W kłębowisku sadzy rozległy się jęki. Potem wszystko ucichło.



## ROZDZIAŁ XX

### **z którego wynika, że po ślubie nie zawsze następuje wymarzona i niczym nie zakłócona noc poślubna**

Kiedy dym opadł, obecni spojrzawszy na pana Aniołka wybuchnęli śmiechem. Gors podkoszulka, oczy, wąsy i hełm miał całkowicie zaklejone gęstą kaszą perłową z konserwami. Ta sama zawieszista zupa szarozółta rzeką płynęła ku rynsztokowi.

To właśnie pan Aniołek jęczał, ujrzawszy spustoszenia, jakie eksplozja pocisku artyleryjskiego poczyniła w obiedzie, który przygotował dla powierzonego mu do wyżywienia plutonu.

Zupa trysnęła strumieniem aż na balkon pierwszego piętra. Poza tym pocisk niewiele wyrządził szkód. Wybił wprawdzie dziurę na pierwszym piętrze w murze starej kamieniczki, ogłuszył na chwilę Maniusia Kitajca i obsypał czerwonym ceglany pudrem mundur porucznika Andrzeja Zagórskiego, ale tym nikt się nie przejmował.

Odstawivszy kocioł na bok, pan Aniołek zajął się rozdzielaniem suchego prowiantu między pozbawionych obiadu żołnierzy. Andrzej wszedł „Pod Minogę” i rozpoczął niezwłocznie przekształcanie starożytnego lokalu gastronomicznego w siedzibę powstańczego dowództwa. Zmiany zresztą nie były wielkie.

Na bufecie obok nieczynnej maszyny do gorących zakąsek ustawiono pięciolampowy aparat radiowy - dar pana Aniołka. Na jednym ze stolików stanął zarekwirowany w sąsiedniej fabryce makaronu underwood. Umebłowanie uzupełniło kilka rozłożonych na podłodze gumowych, pneumatycznych materaców, zabranych gdzieś Niemcom.

Gdy wszystko już było gotowe, nastąpiła przeprowadzka szefostwa pododcinka. Przyszedł dowódca kapitan Gozdawa z adiutantem, gęsiego nadciągnęły za nimi łączniczki i sanitariuszki.

Zainstalowawszy się w nowym lokalu, kapitan zwołał natychmiast na odprawę oficerów-dowódców poszczególnych barykad. W skąpych słowach omówiono taktykę działania na nadchodzącą noc i dzień następny.

Specjalną troską otaczał dowódca barykadę przy Kapucynach na Miodowej. Silna była, ale też ważna niezmiernie, na nią szły najporyczywsze ataki Niemców z Krakowskiego, spod Bernardynów.

Ale na razie panował spokój. Szary zmierzch spowijał Starówkę dobroczynnym welonem, niosącym wytchnienie. O zmroku uciszał się ogień artylerii... milkły karabiny. Tylko od czasu do czasu gdzieś w górze o szczyty domów klaskały jakieś zbłąkane, nie wiadomo przez kogo wystrzelone kule.

Było parno. Na Zapiecek wylegli liczni jego mieszkańcy. Dzieciaki baraszkowały na trotuarach. Pod bramami stały sąsiadki rozprawiając o niezwykłych wypadkach ostatnich dni. Przechadzali się dumnie uzbrojeni powstańcy.

Pan Konfiteor wystawił przed „Wieczny Odpoczynek” kilka krzesel, na których zasiadł z panem Aniołkiem, Maniusiem Kitajcem i inwalidą Śmieciuszką, bo właśnie nadciągnął, kłócąc się po drodze zawzięcie z nieodłączną swoją współpracowniczką panią Rympalską. We framudze wystawy przycupnęli Stasiak i Szmaja. Rozmawiano oczywiście o powstaniu.

Pan Aniołek dowodził niezbitcie, że Starówka jest najbezpieczniejszym miejscem w całej Warszawie.

- Tu będzie najspokojniej - na boku się znajdujem. Niemcy troszkie, rzecz jasna, muszą nas artylerią macać, żeby tutejszych chłopaków krótko trzymać, ale cały odwrót poleci przez Krakowskie, Królewskie, Żelazne Bramę i Chłodne ulice, do Wolskiej szosy, do faterlandu.

Na razie Niemcy jeszcze brykają, ale niech jem bolszewiki fest przygrzeją od Świdra, pójdą takim galopem, że portki będą gubić. Wtenczas, po mojemu, trzeba na nich skoczyć z bocznych ulic i nie puszczać łobuzów do mamy. Grzać, czym padnie, łeb nie łeb, odbierać armaty, tanki i co się da.

- Znać, panie Aniołek, żeś pan wojnę widział na landszafcie za szkłem w charakterze „Bitwy pod Gronwaldem” - wtrącił ironicznie pan Śmieciuszką.

- A o wiele nawet tak, no to co? Krzyżaki takie same szkopy, tylko w komżach.

- Masz pan rację, ale się troszkie wojenna moda zmieniła. Dzisiaj król Jagiełło za frajera by się został, bo w obecnem czasie nie wystarczy najbliższe rodzinę oraz troszkie znajomych na ogiery powsadzać i kazać jem szablami machać. Naparzać się trzeba strategicznie. Jakbyś pan szkopów zaczął od Kiercelaka zajmować, drugie od Powązek z tyłu w kuchni by panu szanownemu zasunęli.

- Nie bój się pan, na tych drugich już się szykują z europlanamy Anglicy i Amerykany.

- Daj Boże. Ale zaczem to nastąpi, musiem być przygotowane, że Niemcy mogą tu do nas na Starówkie mieć interes.

- To co, radzisz pan siedzieć cicho i zostawić ich w spokoju?

- Tego nie mówię, za długo już nam szurali i musiało dojść do sprzeczki. Ale jak już jest nieporozumienie, trzeba w niem wziąć udział, ale nie wolno się czarować, że tu czy tam bezpiecznie. Jeżeli o wiele o mnie chodzi, jako stary frontowiec na cekaemy, zameldowałem się już w dowództwie i czekam na przyjęcie w stan.

Pan Aniołek uściskał serdecznie inwalidę. Pan Konfiteor zaś chrząknął i oświadczył z zażenowaniem, że z powodu reumatyzmu nie może wziąć udziału w walce, ale tym niemniej stawia do dyspozycji swój warsztat i magazyn z żalobnem towarem, który niestety prawdopodobnie bardzo się przyda.

Manius Kitajec, słysząc to, medytował chwilę, po czym mrugnął na Piskorszczaków i wszyscy trzej zniknęli w drzwiach Cafe „Pod Minogą”.

Wyszli stamtąd po pewnym czasie z biało-czerwonymi opaskami, na których czerniły się litery WP.

Restaurator poszeptał na boku z trumniarzem, po czym w serdecznych słowach zaprosił wszystkich obecnych do siebie na górę, na skromną przekąskę. Ulica powoli pustoszała i cichła, tylko od Rynku dolatywał chóralny śpiew młodych głosów:

***Twierdzą nam będzie każdy próg... Tak nam dopomóż Bóg...***

To oddziały powstańcze rozchodziły się po wieczornym apelu na barykady.

Jeden z ostatnich dobrych, „spokojnych” dni na Starówce się kończył.

Potem przyszły gorsze i najgorsze. Od rana do nocy jęczały sztukasy, obmierźłe zgrzytały „szafy”, bomby waliły domy, ogień wypalał całe ulice, rwały się pociski baterii kolejowej ustawionej na torach Dworca Gdańskiego.

Któregoś wieczoru Andrzej korzystając z wolnej godziny wpadł pod „Krzywą Latarnię”. Do niedawna była tu jeszcze znana winiarnia. Ściany zdobiły w dalszym ciągu aforyzmy ku czci wina i miodu, ale dołem leżeli na materacach i siennikach

ciężko ranni. Gdzieniedzie błyszcząły ogarki świec. Było piekielnie gorąco, słodkawo pachniał jodoform.

W cocktail-barze zamienionym na salę operacyjną śmiertelnie zmęczona Hania, w białym, poplamionym krwią kitlu, czyściła narzędzia chirurgiczne.

Andrzej wszedł cicho, dotknął jej ramienia, odwróciła się, uśmiechnęła kącikami ust. On wyjął jej z rąk jakieś dziwne, błyszczące niklem nożyce, odłożył na bok i ujawszy ją jak dziecko za rękę poprowadził kamiennymi schodami w górę, na ulicę. Stanęli pod murem. Tu w wąwozie Podwała było prawie ciemno; tylko domy po przeciwnej stronie, zaczynając od drugiego piętra w górę, oświetlone były spokojnym, równym, bladoczerwonym odbłaskiem łuny - paliła się Miodowa.

Andrzej objął ramieniem dziewczynę i po dłuższej chwili powiedział:

- Czy wiesz, Haniu, że jutro jest dwudziesty sierpnia?

- Co ty mówisz? Nie wiedziałam, jakoś tu się nie liczy dni... To już prawie trzy tygodnie... Dwudziesty sierpnia. Jutro miał być nasz ślub.

- Jutro będzie nasz ślub! - powiedział wolno, z naciskiem.

Spojrzała nań zdumiona i zaniepokojona.

- Jędrək?! -

- Będzie - powtórzył stanowczo. - Nie widzę żadnego powodu, żebyśmy mieli zmienić datę. Zapowiedzi wyszły, potrzebne dokumenty mam w kieszeni. Nie ma żadnych przeszkód. Bo to, że panu Hitlerowi spodobało się zbombardować kościoły, absolutnie nie może mieć wpływu na moje postanowienie - ceremonia odbędzie się w schronie.

- Andrzej, co ty za głupstwa wygadujesz?

- Jestem jak najzdrowszy na umyśle i mówię najzupełniej poważnie.

Jutro o piątę po południu w schronie na Zapiecku kapucyn ojciec Jacek połączy dozgonnym węzłem małżeńskim porucznika Andrzeja Zagórskiego z panną Hanką Kostrzewianką, starszą siostrą szpitala „Pod Krzywą Latarnią”. I na to nie było żadnej rady. Nie będzie wprawdzie karet, fraków, dywanów, ale za to jakie wiwaty: grube berty, sztukasy, „szafy”...

Wziął ją za rękę i powiedział już poważnie:

- Widzisz, Haniu, nie wiadomo, co nas czeka. Idźmy w nieznane jako mąż i żona. Tak będzie lepiej. Chyba że nie chcesz, że się rozmyśliłaś?

Otarła dłonią łzę i zarzuciła mu ręce na szyję.

Wtem zza zakrętu wyszli ludzie z noszami. Hania szybko poprawiła beret i podbiegła do nich.

- Skąd to?

- Z Rybaków. Sześciu ciężko rannych od „Parasola”. Przeważnie głowy.

Hania szybko uściśnęła rękę Andrzejowi i pobiegła schodami na dół do szpitala.

- A nie zapomnij, przyjdę po ciebie o pół do piątę - zawołał za nią i poszedł w stronę Długiej.

Na Miodowej przy barykadzie zaczął go wartownik. Andrzej wymienił hasło i przemknął się wąskim przejściem koło muru zharatanego bombami Domu Miejskiego. Przeszedł przez oświetloną pożarem Miodową i dotarł do barykady przy Kapucynach.

Jak zwykle w nocy było tu pusto. Załoga drzemała gdzieś w pobliskich schronach, pod barykadą leżały dwa posterunki. Andrzej podsunął się do nich chyłkiem.

- Serwus, chłopcy, co słyhać?

- W porządeczku, panie poruczniku, tylko spać się cholerycznie chce, bo fatalna cisza. Kobyłkie czy inszy Wołomin zrobili dranie z takiej stolicy.

- A to ty, Maniuś?

- W osobistej osobie. Koło dziesiątej zaczęli się tu do nas podsuwać, ale zaalarmowaliśmy chłopaków i daliśmy jim niewąskie manto.

Ale nie od razu. Ja, Szuwaks i jeszcze dwóch skauciaków zaszliśmy jim bokiem, schowaliśmy się w ruinach za węglem i stojem.

Te nas nie widzą, tylko zapychają pod barykadę. A my nic: „Proszę bardzo, panowie będą uprzejme troszkie dalej”. Dopiero jak nasz minęli, wyskoczyliśmy do nich od tyłu. Chłopaki z barykady zaczęli grzać z jednej strony, a my z drugiej. Takiego krzyku narobili, żeśmy się kładli ze śmiechu. Teraz już spokojnie leżą.

Istotnie, na przedpolu czerniały zwłoki kilku zabitych Niemców.

- W ogóle dzisiaj same haseny. Kącik humoru, nie wojna, jak pragnę zdrowia - mówił dalej Maniuś Kitajec. - Straszną drakie mieliśmy z wieczora ze Szmają. Wie pan porucznik, że on sobie hełm ze starego filcowego sztywniaka zaiwanił? Napchał w niego słomy i mówi, że żadna kula mu nic nie robi, bo się w słomie zaplącze i zostanie. Jak żeśmy poszli do natarcia, Szmają zasuwiał w sztywniaku jak na procesję w Boże Ciało. I faktycznie przestrzelili mu go w paru miejscach i nic. Dopiero jak dostał jakąś zapalającą kulą czy czemś takim, patrzeć, a z dęciaka dym leci. Sieczka mu się w niem zapaliła i ledwo żeśmy mu łeb ugasili. Myśleliśmy, że skonamy ze śmiechu. Ale Szmają się teraz martwi, że nie będzie mógł być jutro na ślubie, bo faktycznie wygląda, jakby mu mole włosy wygryźli na samym środku głowy.

- Nic, nic, niech przyjdzie, powiedzcie mu, że go serdecznie zapraszam.

- Chyba że się go na końcu orszaku ustawi!

Ślub odbył się punktualnie o piątej. Piwnica pod domem na Zapiecku została starannie wymieciona. Na stole stanął obraz i dwie świece. Świadcami byli pan Aniołek i Maniuś Kitajec, obrączki podawał Kajtek, jedenastoletni, najmłodszy żołnierz batalionu, specjalista od rzucania butelek na czołgi. Cały orszak nie pomieścił się w schronie, lwia jego część stała stłoczona na piwnicznych schodach.

Kiedy ojciec Jacek wiązał stulą ręce Andrzeja i Hani, wszystkie kobiety płakały, a pan Aniołek bardzo głośno wycierał nos. Uroczystość dwukrotnie była przerywana przez nalot sztukasów, które rzuciły bomby tak blisko, że podmuch pogasił świece i kapucyn musiał zaczynać od nowa pewne fragmenty ceremoniału.

Po ślubie, kiedy samoloty odleciały, państwo młodzi wyszli ze schronu na podwórze, przechodząc pod bramą triumfalną, utworzoną przez skrzyżowane rozpylacze, które trzymali nad nimi towarzysze broni nowożeńca. Ostatni podszedł z gratulacjami Jumbo, nieobecny na uroczystości w schronie, gdyż pan Konfiteor wytłumaczył mu delikatnie, że ma poważne wątpliwości, czy ślub zawarty w obecności Murzyna może być uznany za ważny. Pan młody, dowiedziawszy się o tym, zbeształ solidnie trumniarza i uściskał serdecznie ciemnonoliciego wojaka.

Potem wszyscy obecni zostali zaproszeni przez pana Aniołka na ucztę weselną. Ale nie doszło do niej, gdyż goście wraz z panem młodym musieli udać się na stanowiska, od Hipotecznej bowiem przedzierać się zaczęły „tygrysy”.

## ROZDZIAŁ XXI

### w którym niewinny katar pociąga za sobą jak najfatalniejsze skutki

Następnego dnia po ślubie Andrzeja przyszedł kanałami ze Śródmieścia podporucznik Wojtek, ulubieniec pana Konfiteora, zwany przez niego pieszczotliwie „jasną” albo „dziecinną czwórceczką”. Obmywszy się trochę z kanałowych „galamancji” Wojtek poszedł natychmiast na barykadę odwiedzić nowożeńca. Minogowa ferajna powitała go entuzjastycznie, zwłaszcza że przyniósł z sobą kilka pomidorów i dwie gruszki.

Pomidory zaraz mu rozszabrowali, ale gruszek nie dał. Stanowiły one bowiem niezwykle cenny prezent ślubny przesłany młodej parze przez znajomych z centrum miasta, dokąd również kanałami przywędrowały aż z Mokotowa.

Załogi kilku pobliskich barykad zbiegły się zobaczyć prawdziwe pomidory i gruszki. Na Starówce dawno należały one wraz z kartoflami do przedmiotów legendarnych, znanych tylko z zamierzchłych wspomnień.

Wojtek opowiadał o życiu w Śródmieściu, o występach Chmurkowskiej i Fogga na żołnierskich koncertach w podziemiach braci Jabłkowskich; o tym, że tutejsze „szafy” tam nazywa się „krowami”, i o różnych innych śródmiejskich „zagranicznych” specjalnościach. Wiara słuchała z wielkim zaciekawieniem, dopytując się o znajomych ludzi i znajome, dalekie domy.

- Ale, ale, Andrzej! - przypomniał sobie nagle Wojtek - masz pozdrowienia od Kwasa. Nie poznałbyś tego króla mody Anno Domini 1934. Drelichy, bergman na ramieniu, wyrudziały berecik na głowie... Za strzelca, uważasz, wyborowego jest. Chodzi na najtrudniejsze zestrzały. Ma na rozkładzie całą kupę szkopów.

- Uściskaj go ode mnie serdecznie, jak wrócisz.

- To będzie dosyć trudne, bo ja... tu zostaję!

- Wojtek, co ty? Tu jest nam coraz ciasniej...

- A ja zostanę... wołę tu jakoś między wami... nie bój się, ciężarem wam nie będę, cały plecak ładunków dla siebie przytargałem, mam trzy „filipinki”, przydam się... Zresztą nie masz nic do gadania, obrobiłem z Monterem i rozkaz mam w kieszeni.

Andrzej uściskał go serdecznie i zeszedł do schronu, bo właśnie nadleciały sztuki ze swą zwykłą co półgodzinną wizytą, po której walały się pozostałe, nieliczne już tu domy.

Wojtek przydał się istotnie. Wyspany w Śródmieściu, gdzie siła ognia niemieckiego była na razie znacznie mniejsza, zastępował wymęczonych bezsennością kolegów, projektował i prowadził różne lokalne wypadki i natarcia.

A trzeciej nocy wybrał się z Maniusem Kitajcem, Piskorszczakami i Murzynem Jumbo na wycieczkę do Zamku. Inicjatorem wyprawy był właściwie Maniūs, który poprzedniego wieczoru zaczął go przed dowództwem.

- Panie poruczniku, krewa jest, nie ma czym strzelać, to raz, a po drugie, ja już tego cholernego krupniku dłużej spożywać nie mogę. Musiem się rozejrzeć za lepszym korytem. Przydałoby się parę bochenków „koku”.

- No dobrze, ale gdzie go dostać?

- Słyszałem, że podobnie w Zamku szkopy mają do cholery i trochę żywności i amunicji. Podskoczyć by trzeba do nich wieczorową porą i przykaraulić coś niecoś.

Wojtkowi podobała się ta myśl, przeprowadził krótki wywiad z chłopcami, którzy chadzali już do królewskiej siedziby, i dowiedział się, że przez piwnice Kanonii, a potem przez „wiszące ogrody” można się tam jakoś dostać.

Po północy poszli. Ostrzelani parę razy przez niemieckie placówki, dotarli do ogrodów i przez jakąś dziurę dostali się do zamkowej sieni. Na bosaka, cichaczem przez zakamarki korytarzy i jakieś kręte schodki weszli na pierwsze piętro. Byli w narożnej komnacie. Wałały się tu szczątki złożonych mebli. W odbłasku luno palących się domów Świętojańskiej widać było szerniałe cegły po wyrwanym przez Niemców, jeszcze w trzydziestym dziewiątym roku, zabytkowym kominku króla Stasia. Ze ścian zwisały płachty spłowiałych jedwabnych obić. Podporucznik Wojtek podszedł do okna. Plac Zamkowy był pusty. Pokrywały go tylko kawały murów oderwane od zbombardowanych domów, przegradzała koło Podwała zwalona, porozbijana na części kolumna Zygmunta. Sam król, leżąc na wznak, patrzył w czerwone od pożarów niebo i nie wypuszczał z rąk ani krzyża, ani zgiętego w połowie klingi miecza. Gdzieś daleko za Wisłą dudnił huraganowy ogień artylerii.

Młody oficer czekał przy oknie do świtu, chodziło mu bowiem o poczynienie obserwacji ruchu Niemców na moście Kierbedzia. Dlatego głównie zgodził się wziąć udział w wycieczce. Jakoż z brzaskiem dnia od Nowego Zjazdu ukazały się kolumny niemieckich taborów i jakieś piesze tłumy. Kiedy piesi podeszli bliżej, powstańcy łatwo rozpoznali w nich ludność cywilną. Byli to przeważnie mężczyźni, choć nie brakowało objuczonych tobołami kobiet i małych dzieci. Jasyr ten popędzali krzykiem i kolbami idący obok żołnierze. Wojtek zacisnął pięści i odwrócił się od okna.

Maniūs Kitajec i starszy Piskorszczak nie stracili na próżno nocy. Ustalili, czołgając się na kolanach po schodach, że parter zajęty jest przez Kałmuków. Radzili też nie czekać, aż pojawią się Niemcy, lecz uderzyć zaraz, rzuciwszy przed siebie parę „filipinek”.

- Musimy jeszcze poczekać - odrzekł na to Wojtek, który znowu z zaciekawieniem obserwował ulicę, zaleciwszy swoim żołnierzom zachowanie najgłębszej ciszy. Nie dokończył jeszcze przestrogi, gdy ścianami królewskiej komnaty wstrząsnęło potężne kichnięcie. Wojtek obejrzał się przestraszony i zobaczył Jumbo z otwartymi ustami, z przerażeniem malującym się w oczach. Maniūs podskoczył do Murzyna, zakrył mu twarz ręką, ale to niewiele pomogło. Jumbo kichnął po raz drugi równie głośno, tylko w zmienionej nieco tonacji. Maniūs palnął go pięścią w kark, ale to wywołało trzecie kichnięcie. W tej chwili na schodach rozległ się tupot ciężko podkutych butów. Nie czekając już dłużej starszy Piskorszczak rzucił w korytarzyk wiodący do stopni granat. Eksplozji towarzyszył krzyk i odgłosy ucieczki kilku osób.

Taki był początek oblężenia Wojtka i jego oddziału. Własowcy, znajdujący się na dole, naradzali się przez czas dłuższy, co robić. Wreszcie otrzymawszy widocznie niemieckie posiłki, zdecydowali się na nowy atak. Powstańcy ukryci za załamaniem murów walili do nich gęsto, nie pozwalając żadnemu wychylić nosa. Ale zabawa ta nie mogła trwać bez końca, amunicja była zbyt drogocenna, żeby ją marnować na ogień zaporowy, należało się zdobyć na natarcie. Wojtek wydobył z za paska granat, odbezpieczył go, skinął na swych ludzi. Ale Maniūs chwycił go za rękę.

- Panie poruczniku, tu trzeba inaczej, musiem ich wziąć na bombę. Cykorii niemożliwej napędzić!

-Ale jak?

- Za Murzynów się wszyscy zrobiem. Tu są sadze w kominie. Szmaja, maluj sobie mordę. Stasiek także samo. I my z porucznikiem także, a jakże. Szuwaks będzie leciał pierwszy, a my za niem z krzykiem, pomyśla, że pomoc z Ameryki przyszła, i muszą zdrefić!

Nie było czasu na namysły. Wojtek, idąc za przykładem Kitajca, umazał sobie dokładnie twarz na czarno. Bracia Piskorscy już byli zamienieni w autentycznych Negrów i po chwili, rzuciwszy na schody dwa granaty, oddział świeżo kreowanych wojsk amerykańskich ze strasznym wyciem skoczył w dół.

Zaskoczenie było kompletne. Własowcy i Niemcy, ujrzawszy watahę czarnych wojowników, zdrętwieli, dwóch czy trzech rzuciło broń, jeden nawet upadł na kolana. Reszta ratowała się ucieczką. Strzelając z rozpylaczy Murzyni przebili się przez nich do dziury w murze i wydostali z Zamku. Mocno ostrzeliwani, kryjąc się między ruinami, dotarli do piwnic prowadzących aż pod Rynek.

Maniś kłął na czym świat stoi. Nie tylko nie zdobył tak pożądanego „koksu”, ale stracił czując się po gruzach, manierkę z bimbrem, którą stale nosił w kieszeni w celach leczniczych. Całą złość wywierał na Murzynie Jumbo za jego niewczesne kichanie.

- Coś ty, do wielkiej niespodziewanej grypy, tabaki się nawąchał czy jak? Sierpień, gorąco, człowiek się poci jak wielkie nieszczęście, a ten kataru chronicznego dostał. Żeby nie te kichanie, wszystko by się odbyło korekt i w porządku. Naskoczylibyśmy na szkopów znienacka i nawet portki byśmy jem ściągali, nie mówiąc o zarciu i amunicji.

Ale nie było czasu na dalsze przekomarzanie się. Obmywszy się jako tako w sadzawce, która utworzyła się na środku Szerokiego Dunaju skutkiem rozerwania przez bombę w jakimś domu rury wodociągowej, Maniś z Piskorszczakami i Murzynem poszedł spać na kwatere, a Wojtek do dowództwa.

Po ulicach błakali się obładowani nędznym dobytkiem, śmiertelnie znużeni, „posoleni” grubo białym wapnem oberwanych rynków ludzie, cudem uratowani spod gruzów rozwalonych domów.

W dowództwie pododcinka trafił Wojtek na ponury nastrój. Oficerowie tajemniczo szeptali po kątach, kapral Aniołek kręcił się po swym dawnym królestwie, przestawiając bez widocznego powodu stoliki i przenosząc z miejsca na miejsce jakieś nikomu niepotrzebne paki.

Wojtek wziął na bok Andrzeja i dowiedział się rzeczy strasznej. Opuszczenie Starówki przez wojsko jest rzeczą zdecydowaną. Dziś w nocy podjęta będzie próba przebicia się ulicami miasta aż do Saskiego Ogrodu. Pójdzie kilka kompanii i cały korowód ciężko rannych na noszach. Reszta wycofa się kanałami. Nadzieja przedostania się jest słaba, ale trzeba spróbować. Które oddziały pójdą górą, na razie jeszcze nie wiadomo, o tym zadecyduje starszyzna.

Wybór padł między innymi na kompanię, w której służyli wszyscy nasi znajomi. Już od dziesiątej wyznaczone oddziały zgrupowały się w absolutnej ciszy na wylotowych ulicach. A niedługo po północy ostrożnie ruszyły naprzód.

Wkrótce targnęły powietrzem salwy karabinowe i głuche wybuchy granatów. Niebo przecięły czerwone i zielone fajerwerki pocisków świetlnych. Po dwóch godzinach

kompanie wróciły na Starówkę bardzo zmniejszone liczebnie, rannych za to niesiono znacznie więcej niż w tamtą stronę.

Świtało, gdy przed „Minogą” zatrzymały się jakieś nosze. Zmęczeni sanitariusze postawili swój ciężar pod murem i przysiedli na krawędzi chodnika. Idąca wraz i nimi smukła postać niewieścia w białym lekarskim kitlu pochyliła się nad noszami. Ujęła rękę rannego w przegubie, trzymała chwilę, po czym delikatnie złożyła ją na piersi leżącego. Następnie troskliwym, matczynym ruchem nasunęła mu na twarz żołnierski płaszcz, którym był nakryty tylko do piersi.

Dała znak ręką, sanitariusze ciężko podnieśli się i ziemi, ujęli nosze. W tej chwili uchyliły się drzwi zakładu pogrzebowego i na ulicę wyszedł pan Konfiteor. Przymrużył oczy, zbliżył się i zapytał:

- Kto to, pani Haneczko?

Siostra miłosierdzia bez słowa odsłoniła płaszcz. Pan Konfiteor aż się zatoczył, zasłonił oczy ręką i wyszeptał:

- Jas-na czwór-recz-ka... jasna czwórreczka!!! Stary majster wyprostował się po chwili i rzekł stanowczo, niemal ostro do sanitariuszy:

- Wnieść ciało do sklepu. Nie dam go tak pochować bez niczego. Trumien już nie ma, ale ty będziesz miał trumnę ode mnie, chłopaku!

Sanitariusze ustawivszy nosze w zakładzie wycofali się. Pan Konfiteor zdjął marynarkę, zawinął rękawy, podszedł do bogatej szafy sklepowej, uderzył w nią parę razy młotkiem i począł ją rozbierać na deski.

Tegoż dnia odbył się pogrzeb Wojtka. Pochowano go w cieniu historycznych murów obronnych Warszawy, między Wąskim Dunajem i Nowomiejską. Koledzy uczcili go salwą honorową ze stenów. Pan Aniołek wypowiedział krótką mowę. Pan Konfiteor płakał.

A kiedy po pogrzebie wracali do schronów i znaleźli się na rogu Zapiecka, w dom uderzyła „szafa” zmieniając go w kupę dymiących gruzów.

Cafe-bar „Pod Minogą” przestał istnieć.



## ROZDZIAŁ XXII

### w którym państwu Aniolkom wyrasta na głowach szczypiorek, a Maniś doprowadza do omdlenia pewną autentyczną hrabinę

Wrześniowe słońce rzucało ostatnie blaski na wytworne towarzystwo siedzące na tarasie magnackiej siedziby hrabiów Mokrobrodzkich w Koziedubkach nie opodal Krakowa.

Dziedzic tych włości, hrabia Roger, były blondyn w starszym wieku, wolno mieszał łyżeczką czarną kawę w filiżance z chińskiej porcelany i bardzo znudzony słuchał, co mówiła siedząca przed nim w głębokim fotelu pulchna dama z epoki Franciszka Józefa, ubrana według ostatniej mody obowiązującej wytworne kobiety w rozkwicie panowania tego zacnego cesarza. Była to hrabina Kala Mokrobrodzka, z domu baronówna von Buttenberg, bratowa hrabiego Rogera.

Obok niej zajmował miejsce hrabia Agenor Trestka, przyjaciel rodziny, również jak gdyby żywcem wycięty i wiedeńskiego żurnala owej romantycznej epoki walców Straussa. Hrabia Agenor nosił kruczowłosą perukę i ciemnogrnatową bródkę, zwaną hiszpanką. Jego uduchowiona twarz zdradzała długoletnie cierpienia na solitera czy katar żołądka. Wtrąciwszy od czasu do czasu jakieś słówko do monologu hrabiny, popijał je nieznacznie długim łykiem stojącej przed nim w kryształowym kielichu wody imienia wyżej wzmiankowanego apostołskiego monarchy.

Przed hrabią Rogerem stał takież baccarat, ale z inną snadź zawartością, gdyż w miarę jej ubywania wzrok magnata wyraźnie weselał.

Hrabina Kala nic nie piła, niewątpliwie bowiem przeszkadzałoby to jej w cedzeniu przez zęby dłuższego przemówienia, w którym dawała wyraz najwyższemu nieukontentowaniu ze stosunków panujących w domu szwagra, gdzie bawiła w gościnie od dwóch lat.

- To jest impossible - mówiła - dłużej tego tolerować nie można. Gdzie się tylko ruszyć, wszędzie pełno tych vagabonds de Varsovie. Nie dość, że folwark przepełniony, pchać się zaczynają do parku. Doszło do tego, że dziś w Alei Dumania spotkałam dwie tego rodzaju osoby z wózkami pełnymi dziećmi!...

- Och... mon Dieu... To sthaszne... - powiedział hrabia Agenor wypijając dłuższy łyk Franza Josefa.

- Trudno, moi drodzy - rozłożył ręce hrabia Roger - ja też nie lubię tłoku, ale nic na to nie poradzimy, to nieszczęśliwi ludzie, stracili w Warszawie wszystko i w dodatku wypędzono ich z własnego domu.

- A cóż my jesteśmy temu winni? Po co im się zachciało jakiegoś tam powstania? Niech teraz cierpią.

- Natuhalnie - przyświadczył hrabia Trestka, znowu racząc się gorzką wodą.

- Tak mówić nie możemy, bądź co bądź są to nasi rodacy. A poza tym RGO ich tu skierowało i obowiązani jesteśmy im pomagać.

- To całe RGO powinno się rozpedzić na cztery wiatry. Jakie prawo mają oni obrzydzać nam życie. Dziś jeszcze napiszę do Lulu Potockiego, który jest tam jakimś prezesem, i natrę mu uszu. Trzeba pouczyć tych panów, że siedziby starych rodów to nie są przytułki braci albertynów!

- Absolutem - potwierdził hrabia Agenor, szprycując się wodą.

- I żeby to jeszcze tą hołota siedziała po kątach i nie wchodziła nam w drogę, ale oni tak się rozzuchwalili, że po prostu drwią sobie z nas w oczy. Szczególnie nieprzyjemny jest jeden drab, na którego stale się natykam. Wygląda na gotowego na wszystko bandytę. A bezczelność swoją posuwa do tego, że wczoraj, kiedyśmy wsiadając przed kościołem do powozu rozmawiali z hrabią Agenorem po francusku, zaczął nas przedrzeźniać. Jakoś tak... nie umiem powtórzyć... Jak on to mówił, hrabio?...

- Pahle fhanse, komah muchę ukąse... czy coś w tym hodzaju..

- O właśnie tak!

- A to jeszcze nie wszystko - ożywił się po nowym hańście przeczyszczającego płynu hrabia Trestka. - Ten sam zbhodniarz ilekchoć mnie gdzie spotka, ośmiela się wołać: „Sewhus, szpicbhódka!”

- Rogerze... zamiast się oburzyć i kazać tego łotra aresztować, a co najmniej wypędzić z Koziędubek... ty się śmiejesz!... W ogóle co za maniery... Nie poznaję cię, Rogerze! To są skutki przestawania z plebsem. I proszę cię, przestań pić. Co to jest? Jak się nazywa ten trunek, którym się od godziny raczysz? Absynt, gin, grog?

- Bimber!

- Bimber?... Nie słyszałam... czy to angielski, francuski napój?

- Nie, to jest warszawski wynalazek, produkcji prywatnej.

- No naturalnie, dostał od tych wagabundów... Świat się kończy... Hrabia Roger Mokrobrodzki, pan na Koziędubkach - przez be, pije bimber. Jak Koziędubki - przez be - Koziędubkami - przez be, tego jeszcze nie było. Zdaje się, że to istotnie jest koniec naszego rodu.

- Bardzo cię przepraszam, Kalu, ale to mi po prostu smakuje.

- Ale skąd ty to masz, od warszawiaków?

- No oczywiście. Zebrało się tu grono bardzo sympatycznych zresztą oryginałów, którzy w ten sposób zarabiają na życie, że gdzieś w końcu wsi pędzą właśnie ten, excusez le mat, bimber. Zaproponowali mi, żebym spróbował, i doszedłem do wniosku, że to przypomina whisky...

- Boję się, żeby hhabia nie pożałował swych zbyt bliskich stosunków z tymi ohyginałami. Oni nie tylko bimbeh pędzą, ale gotowi zhościć tu powstanie!! wtedy jeszcze hazem z nimi zginiemy!

- Quelle idee! Tego się nie bójcie!

- W każdym razie wypraszam sobie w mojej obecności ten... ten...

- Bimbeh!

- Właśnie.

W tej chwili na taras wszedł ubrany we frak stary lokaj Julian. Stanął wyprostowany, skłonił uroczyście głowę i powiedział:

- Ośmielam się niepokoić pana hrabiego z powodu kilku podejrzanych indywidualów z Warszawy, którzy domagają się natychmiastowego wpuszczenia do pałacu.

- Czy powiedziałeś im, że teraz nie przyjmuję nikogo?

- Tak jest, jasnie wielmożny panie hrabio, ale jeden z nich oświadczył, że jeśli ich nie zamelduję, wejdą bez meldowania, łamiąc mi w razie oporu kończyny górne tudzież dolne.

Hrabina Kala z najwyższym zdumieniem patrzyła na szwagra i hrabiego Trestkę.

- Ach, mon Dieu, co ja słyszę? Do służącego pana na Koziedubkach - przez be - w ten sposób mógł się odezwać tylko warszawiak!

- Oczywiście. Poznają nawet z tego opisu kóthy! To jest niewątpliwie ten sam dhab! - wtrącił hrabia Agenor.

- Zdaje się, hrabia ma słuszość - podtrzymała go hrabina. - Mam nadzieję, że ich nie przyjmiesz, Rogerze.

- Wprost przeciwnie. Nie mogę przecież dopuścić, żeby mi zdemolowali wiernego sługę naszego rodu. Julianie, wpuść ich do gotyckiego gabinetu.

- Do gotyckiego gabinetu tych drapichrustów, hrabio Agenorze, czy pan słyszy? - zawołała hrabina bliska omdlenia.

Była to istotnie rzecz tak niezwykła, że hrabia Trestka zmuszony był się ratować podwójną porcją gorzkiej wody. Julian podzielał ich oburzenie, zareagował jednak tylko nieznacznym wzruszeniem ramion i zeszedł do ogrodu. Hrabia Roger przeczekawszy chwilę udał się głównym wejściem na spotkanie wojowniczych interesantów. Kiedy wszedł do gotyckiego gabinetu, zastał tam już Maniusia Kitajca, państwa Aniołków i obydwu braci Piskorskich. Towarzystwo zajęte było oglądaniem mebli i obrazów, z wyjątkiem pana Aniołka, który wymierzał sznurkiem jedno z okien.

Pan Maniuś na widok hrabiego skłonił się lekko i rzekł:

- Bardzo przepraszam za brak tak zwanego towarzyskiego alibi, ale już dwa dni mamy życzenie z panem hrabią się zobaczyć, żeby porozmawiać o interesach, a ten dzwonic, czyli z przeproszeniem szanowny pan Julian, nie chce nas wpuścić. W taki sposób zmuszony byłem mu zaznaczyć kilka przykrych słów na konto letkiego uszkodzenia ciała.

- Mniejsza o to, o cóż panom chodzi?

- Nie mniejsza - jako człowiek oblatany w najlepszych towarzystwach, z ukończoną szkołą tańców nowoczesnych i figurowych, zawsze robię wszystko a propos i wytrzymuję najcięższe nawet artykuła salonowego kodeksu karnego. Ale o wiele mnie kto niemożliwie podgrymasza, łobuz się robię i z samem sobą wytrzymać mnie trudno.

- Rozumiem, to wszystko nerwy. Niechże pan powie nareszcie, co państwa do mnie sprowadza.

- Rozchodzi się, panie hrabio, o to, że jak pan hrabia może zauważył, my tu całem naszym towarzystwem przyjechaliśmy do tych Kozich...

- ...dubek - wyręczył go hrabia.

- Właśnie, nie chciałem się wyrazić. Więc znaczy się, jak mówię, przyjechaliśmy dosyć późno. Wszystko już było na folwarku zajęte i zmuszone byliśmy zamieszkać w inspektach.

- I niewygodnie państwu tam?

- Rzecz jasna. Nisko, na czworakach trzeba chodzić. I o wiele w nocy zimno takie, że dreszcze nami trzęsą, tak że szyby dzwonią, rano, jak słońce przygrzeje, znowuż jest za gorąco i szczypiorek nam na głowach kwitnie.

- No dobrze, ale co ja poradzę, przecież pan wie najlepiej, że wszystkie budynki dworskie są przepełnione warszawiakami.

- Panie hrabio szanowny, co się będziem czarować. Jak jest, hrabia wie najlepiej. Stodoły, obory, czworaki faktycznie zajęte, ale na przykład tutaj takiego znowuż tłoku nie ma, żeby się parę osób z inteligencji zmieścić nie mogło.

- Pan myśli o pałacu?

- Właśnie poniekąd...

- No to już byłoby trudniejsze...

- Panie hrabio szanowny, niech pan nie myśli, że tu chce ktoś z pana nazywać. My nie chcemy darmo. O cenę się nie rozchodzi. Wyszliśmy co prawda z Warszawy z pustymi rękami, ale się we Włochach zahandlowało troszkie ciuchami, troszkie złotem... Boże broń, samiśmy nie szabrowali i kupowało się wszystko za gotówkę z drugiej ręki... Tu na miejscu bimberek też jako tako leci, tak że fundusze posiadamy.

- Wierzę, ale tu nie o to chodzi.

- Ja rozumiem, że nie chciałby pan hrabia mieć pod swoim dachem jakiejś nie pasującej ferajny, co to i zabradziazenie spokoju zrobić może, i biżuteria przy niej niepewna. Tu o tem nie może być mowy. Każda jedna osoba sztuka w sztukię gwarantowana. Pan Aniołek, restaurator trzeciej kategorii z koncesją do wypicia w miejscu i na wynos. Człowiek leguralny z wyższym wykształceniem domowem. Pani Aniolkowa, kobieta formalna, chociaż troszkie nerwowa. Panowie Piskorskie, też nie można powiedzieć, sympatyczne faceci, szyb nie biją, sądownie prawie że nie karane, zresztą na nich będą osobiście uważał. Tu jedna szczegóła z omieblowania zginąć nie może. Tak że ja przeszkód nie widzę.

- Tak by się wydawało, ale ja nie mieszkam sam. Prawe skrzydło zajmuje bratowa moja, hrabina Kala von Buttenberg z domu, w lewym mieszka hrabia Trestka.

- Ja myślę, że z tem można by sobie poradzić. Hrabina Kalafonia może wziąć pod prawe skrzydło hrabiego Pestkie i mogą mieszkać razem.

Hrabia Roger był rzetelnie rozbawiony.

- Zaraz zapytamy, bo właśnie hrabina tu nadchodzi. Droga Kalu, zachodzi potrzeba pewnego zagęszczenia pałacu w związku z nowo przybywającymi uchodźcami z Warszawy, czy nie byłabyś skłonna ścieśnić się w prawym skrzydle, by odstąpić część swego apartamentu hrabiemu Agenorowi?

- Rogerze, nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, czy zamierzasz wpuścić tych ludzi pod swój dach?

- Tak to mniej więcej wygląda, moja droga!

- Nie, to nie do wiary, ja, baronówna Kala von Buttenberg, mam mieszkać z gminem?! Nie, to przechodzi wszystko, co podniecona alkoholem fantazja podsunąć może! Rogerze, ty chyba mówisz w gorączce?!

Pan Maniusz słuchał słów hrabiny z bezgranicznym oburzeniem, wreszcie nie wytrzymał i zwrócił się do pana domu:

- Dziwię się, panie hrabio szanowny, że pan pozwolił pani starszej tak się fatalnie obcinać. Bywszy hrabiem na pańskim miejscu od razu bym powiedział: „A przymknijże się, braciszkowa, na pięć minut, bo jak nie, to ja braciszkowe przymknę! Kto tu właściwie rządzi w tych Kozichdupkach, hrabia czy ciotka Kalafonia?!”

- Co? Co? Jak on śmiał, jak on śmiał, słabo mi!

Tu hrabina Kala von Buttenberg Mokrobrodzka padła prawie zemdlona na fotel, powtarzając na pół przytomnie: Jak on śmiał, jak on śmiał!

Po krótkim namyśle hrabia Roger stanął w obronie bratowej i zawołał groźnie:

- Rzeczywiście, jak pan śmiał, niech pan powie, jak pan śmiał?! - i jednocześnie mrugał na Maniusia nieznacznie lewym okiem.

## ROZDZIAŁ XXIII

### w którym grozi wybuch powstania w Koziedubkach i w którym ukazuje się widmo Białej Damy

Wynajęcie towarzystwu spod „Minogi” apartamentu w pałacu hrabiów Mokrobrodzkich nie doszło do skutku.

Pan na Koziedubkach, który zdaniem Maniusia Kitajca, chociaż hrabia, był „równy” chłop, skłaniał się nawet lekko ku temu, ale wobec stanowczego sprzeciwu bratowej, hrabiny Kali von Buttenberg Mokrobrodzkiej, popartej przez hrabiego Trestkę, musiał ustąpić. Zanim do tego doszło, hrabina mdlała jeszcze dwukrotnie, resztkami przytomności wołając w kierunku tarasu:

- Hrabio Agenorze, gdzie moje sole trzeźwiące?! Wówczas to do nadbiegłego hrabiego Trestki Maniusz krzyknął:

- Szpicbródka, dawaj pan solniczkie!

Na to już pan domu musiał zareagować energiczniej.

Grzecznie, ale stanowczo wyprosił Maniusia i jego przyjaciół z gabinetu.

Ale Kitajec nie zrezygnował absolutnie z dalszych prób załatwienia sprawy lokalu.

Zaraz następnego dnia, gdy hrabina Kala pojechała z hrabią Trestką do kościoła, zjawił się znowu w pałacu z panem Aniołkiem.

- Cóż panów jeszcze do mnie sprowadza? - powiedział hrabia Roger z wyraźnym niezadowoleniem, wychodząc na ich spotkanie do wspaniałej, ozdobionej trofeami myśliwskimi i szerniałymi portretami pałacowej sieni.

- Rozchodzi się o to, panie hrabio, że wczoraj nie zdążyliśmy całej sprawy detalicznie panu hrabiemu jak się należy na stół wyłożyć - zagał Maniusz.

- Jednym słowem, mieszkanie mieszkaniem, ale tu się rozchodzi także samo o lokal na interes gastronomiczny - podchwycił pan Aniołek.

- Nie rozumiem...

- Chwileczkie, zaraz pan hrabia szanowny zrozumie. W Kozichdubkach i całej okolicy nie ma ani jednego interesu dla lepszych gości. Faktycznie, warszawiaki, którzy tu przebywają, po większej części przyciśnięte są niemożliwym mortusem. Ale nie wszyscy. Daj nam Boże jedne tysięczne część tych miętkich i twardych na rok przed śmiercią posiadać, co niektórzy z nich mają pozaszywane w kołnierzach i nogawkach.

Nudzą się wszyscy jak wielkie nieszczęście, bo faktycznie dojenie krów pana hrabiego to jest rozrywka na dwa-trzy razy, a potem to tylko papierowy sznurek brać i goździa szukać. Jeżeli o wiele założyłby tu ktoś elegancką firmę z muzyką i damską obsługą - harmonię pieniędzy może zrobić w krótkim czasie. Z Krakowa ludzie będą przyjeżdżać. Z Leśnej Podkowy cała śmietana tu się zjedzie, bo tam co tydzień łapanka, a tu spokój.

- Jak to, u mnie w pałacu panowie chcieliby założyć?

- Rzecz jasna. Budynek się nadaje jak rzadko. W tem pokoju, cośmy w nim wczoraj byli, stanie bufet i dwadzieścia stolików. Przeróbka nieduża, tylko te trzecie weneckie okno trzeba będzie przerobić na wejście - wyciął troszkie muru, futrynkę wstawił... i po krzyku. Nakrycia, szkła hrabia posiada na pewno sporo, widziałem wczoraj na stole parę sztuk - owszem, mogą się nadać.

- W gotyckiej sali, gdzie wiszą portrety moich przodków, chcą panowie urządzić bufet?!...
- Przodków wont. Powiesi się tam parę landszaftów i cielesną treścią. O ta goła blondyna przy kości, z różą w zębach, nad sadzawką, może być - tu pan Aniołek wskazał na wspaniały obraz szkoły holenderskiej wiszący nad kominkiem.
- Także samo te rogi - mówił dalej, patrząc na trofea łowieckie rodu. - Poprzybija się ich nad stolikami, do kapeluszy. Nad wejściem nieduży szyld Cafe „Pod Minogą” (moja stara będzie się troszkie krzywiła, ale ją się przekabaci) i zobaczy hrabia, jak interes poleci...
- Panowie mówią rzeczy horrendalne. W starych ścianach siedziby rodu Mokrobrodzkich knajpa! Może jeszcze gabinety panowie urządzają?!
- Można, ale to już na pierwszym piętrze. Teraz o wiele mówimy o ścianach, to ja jestem za to odpowiedzialny. Oprócz tego przebitego okna jedna cegła nie będzie ruszona.
- Nie rozumiemy się, niestety. Widzi pan, ja jestem coś winien swemu nazwisku, swojej sferze!
- W rok wszystkie długi hrabia zapłaci - niech ja skonom. Moja głowa w tem.
- Niechże pan zrozumie, że hrabiemu Mokrobrodzkiemu nie wypada być współwłaścicielem szynku.
- Tylko nie szynku, tylko nie szynku, panie hrabio szanowny. Interes będzie pierwszej kategorii, otwarty od dwunastej w południe do piątej rano - samo przez się rozumie dla swoich gości!
- A teraz o wiele się rozchodzi, czy wypada - wtrącił Maniuś - to pytam się, czy hrabiowie Potockie dużo gorsze od Mokrobrodzkich? A Potoczek z Jabłonny, syn Gucia, mógł do powstania na Mazowieckiej pod czwartym, na pierwszym piętrze, prowadzić lokal gastronomiczny? A hrabina mogła przy kasie siedzieć i przez lornetki przywahać, czy kielnerzy prawidłowo markują? I korony jem z głowy pospadali?
- Istotnie, Moryś Potocki miał coś wspólnego z tym przemysłem...
- No widzi hrabia, mógł Moryś, to może i Rower!
- Jeżeliby nawet udało się panom w końcu mnie przekonać, to co by na to powiedziała hrabina Kala, hrabia Trestka?
- Ja pana hrabiego nie bontuje, ale u mnie taki hrabia Pestka długo by po mieszkaniu nie chodził - zauważył z ironicznym uśmiechem Maniuś.
- A nie można by jem dać odstępnego? - zapytał rzeczowo pan Aniołek.
- Ale co też pan mówi?!
- No to może by jem szatnie wydzierzawić. W nocnym lokalu to jest duża forsa...
- Niechże pan się liczy ze słowami. Bratowa moja ani szatni nie będzie prowadziła, ani też się stąd nie wyprowadzi!
- A co że, ona jest spalona, nie ma swojego mieszkania?
- Wprost przeciwnie, jest właścicielką pięknego starego zamku nad Sanem, ale tam niestety mieszkać nie może.
- Dlaczego?
- Widzicie, panowie, to jest związane ze starą legendą. W krużgankach zamku nad Sanem ukazuje się od czasu do czasu Biała Dama. Jest to duch jednej z najniebezpieczniejszych kobiet naszego rodu.

- A że niby babcia nieboszczka straszyc? U mnie w restauracji na Zapiecku dwa lata straszyc i potem się pokazyc, że to szczury dranie po nocach tańczyli. Nie można by hrabini wytłumaczyć, że z babcią lipa?

- Nikt jej tego nie wyperswadcuje. Boi się Białej Damy tak panicznie, że za nic na świecie nie zostanie w zamku na noc. Jeździ tam czasem, ale tylko na kilka godzin, przed wieczorem zawsze wyjeżdża.

- A Szpicbródka też taki cykoryjny?

- Hrabia Agenor, chociaż ma w Krakowie dom, dlatego tu przebywa, bo jest przekonany, że warszawiacy prędzej czy później wywołają tam powstanie. Utwierdziły go w tych podejrzeniach bunkry, jakie Niemcy budują w różnych punktach Krakowa. W Warszawie też podobno tak było?

- No owszem, faktycznie tak było.

- Więc widzą panowie, że nie zanosi się na opuszczenie tego domu ani przez moją bratową, ani też przez hrabiego Trestkę.

- No, a o wiele by się koniec końców zgodzili, to założem tu „Minogie”?

- Wówczas pomówimy

- Daj pan hrabia rękę!

Pan Aniołek wziął w swoją lewą dłoń prawą rękę hrabiego i na znak ubicia interesu uderzył w nią swoją potężną prawicą.

Hrabia syknął z bólu i skurczył się na fotelu.

Goście zaczęli się żegnać. Na odchodnym pan Aniołek zatrzymał się jeszcze przed portretem rycerza w hełmie i szyszaku.

- Kto jest ten starszy facet w strażackiej czapce?

- To jeden z mych antenatów, Krzysztof Mokróbrodzki.

- Przepraszam, czy on nie był brandmajstrem w nalewkowskim oddziale straży ogniowej przed tamtą wojną?

- Chyba nie. Był wojewodą i zginął znacznie dawniej, pod Kircholmem.

- Patrz pan, a kubek w kubek podobny do naszego brandmajstra. W każdym bądź razie kizior musiał być pierwszej klasy, po czerwonym nosie poznać, tak samo jak i tamten strażak.

Idąc przez park panowie Manius i Aniołek gorączkowo się nad czymś naradzali, obrzucając od czasu do czasu pogardliwymi spojrzzeniami lokaja Juliana, który sztywny i uroczysty odprowadzał ich aż do misternie kutej w żelazie bramy.

Po południu przed tą bramą przechadzał się pan Aniołek, jak gdyby na kogoś oczekując. Po godzinie z pałacowego ogrodu wyszedł podrygującym kroczkiem hrabia Trestka i skierował się nad rzekę.

Pan Aniołek dopędził go, skłonił się grzecznie sztywniakiem i zagadnął:

- Bardzo szanownego pana przepraszam, ale czy mogię prosić o chwileczkę osobistej rozmowy, żeby nas nikt nie słyszał?

Hrabia zadrżał na całym ciele, zatrzymał się i w pierwszej chwili chciał zrejterować z powrotem do parku, ale pan Aniołek zręcznie zaskoczył mu od tyłu i odciął drogę ucieczki.

- Niech pan szanowny się nie obawia, dużo czasu nie zajmę, w dwie minuty całą sprawę załatwiemy.

I rozglądając się bacznie dookoła, nachyliwszy się do hrabiego zapytał przejmującym szeptem:

- Czy pan szanowny służył w wojsku?

- Ja, a cóż to pana obchodzi?

- Mnie nic, ale ja tu przyszedłem w tak zwanym imieniu. Pewna organizacja zamieruje urządzić tu małe powstanie. Rzecz jasna, że nie takie jak w Warszawie, skromniej, jak to na prowincji, w miarę możliwości, czyli czem chata bogata. Troszkie broni mamy, troszkie się sprowadzi spod Warszawy i jakoś zacniemy. Ludzie są, tylko dowódcy jeszcze nie posiadamy. To musi być człowiek w poważniejszym wieku, znający dobrze okolice, najlepiej jakiś bywalszy wojskowy, ale niekoniecznie, gront, żeby hrabia.

I właśnie od razu sobie pomyślałem, że pan szanowny by się nadawał, chciałem się tylko już tak na fest upewnić. Kiedy zaczynamy?

Hrabia Trestka przez cały czas przemówienia pana Aniołka szybko łapał powietrze i siniał coraz wyraźniej, tak że w końcu twarz jego niewiele różniła się kolorem od granatowej bródki. Zatoczył dokoła błędnym spojrzeniem, skrzywił się boleśnie, chwycił rękami za sztuczkową kamizelkę w okolicach żołądka i jęcząc rozdzierająco, pogalopował jak ciężko ranny starszy jeleń w stronę pałacowej bramy.

Pan Aniołek uśmiechnął się ironicznie i pomyślał: Faktycznie, na powstańca kwalifikacji nie posiada, z powodu braku wytrzymałości żołądkowej.

Po czym, pogwizdując wesoło, poszedł w stronę folwarku. Maniusia zastał między długimi rzędami inspektów, grzejącego się na trawie pod łagodnymi promieniami wrześniego słońca. Siadając obok pan Aniołek rzekł obojętnie:

- Zdaje się, że niedługo się przeprowadzi. Pestka zrobiony!

Manius nie odpowiedział na to bezpośrednio, tylko mrużąc oczy w słońcu, rzekł:

- A swoim porządkiem letka cholera mnie ciska, jak sobie wspomnę, że my tu piegi na słońcu przypalamy, a tam w Warszawie szkopy w Śródmieściu naszych chłopaków na drobny szaber przerabiają. Ale cóż, jak mnie szczur w kanale w nogawkie skoczył, wylazłem na górę i mówię: nie chcę, psia jego nędza, za życia do grobu iść. A Piskorszczaki za mną.

- Ja bym poszedł, ale cóż, nie mogłem się do wjazdu zmieścić, i odrzucili mnie.

- Faktycznie przez pańskie „walizki” całe wojsko mogłoby się na Starówce zostać.

- Co tyż teraz robią gdzieś tam na Marszałkowskiej ulicy Szuwaks, Zagórski... co się dzieje z Hanią?...

- Ją ostatni raz widział Szmaja przy taskaniu do kanału ciężko rannych pułkowników. Radosław nieduży, ale z Kmitą mieli ciężką robotę - taki kawał chłopca!

- Tak, tak, wejść do kanału weszła, ale czy wyszła? Fatalnie miodowy miesiąc jem wypadł.

- Szkoda ich, dobre dzieciaki... - odrzekł sennym głosem pan Aniołek i wkrótce zachrapał bardzo melodyjnie.

A tymczasem w pałacu działały się bardzo dziwne rzeczy. Hrabia Trestka nieoczekiwanie zażądał przygotowania kąpieli i koni na stację.

Mimo perswazji hrabiego Rogera i próśb hrabiny Kali odjechał nocnym pociągiem.

Bardzo zdenerwowana nagłą utratą wiernego towarzysza spacerów i bratniej, we wszystkim się z nią zgadzającej duszy, hrabina Kala von Buttenberg długo nie mogła zasnąć w wielkim antycznym łożu hrabiowskim z karmazynowym baldachimem.



Oczywiście rasa i staranne wychowanie nie pozwoliły jej przewracać się z boku na bok ani też wzdychać.

Tym bardziej męczyła ją bezsenność i ponure myśli. Zaczęła przypominać sobie zmarłych krewnych i widmo, przed którym uciekła ze swego zamku nad Sanem.

I nagle papiloty podniosły się jej pod stylowym nocnym czepek. Zimny pot wystąpił na czoło i w ogóle. Ciało ogarnęło drżenie tak gwałtowne, że aż zadzwoniły starożytne sprężyny w archaicznym materacu.

W rogu pokoju stała Biała Dama, wyciągając w jej stronę mściwym gestem ramiona!

Hrabina Kała zerwała się z łoża, chciała krzyknąć, ale głos zamarł jej w krtani. Zapiała tylko jak konająca pularda i padła bez zmysłów na poduszki.

Biała Dama odwróciła się bezszelestnie i rzekła do siebie:

- Ciotka Kalafonia zrobiona! - i wyskoczyła przez okno, zwiłając w kłębek prześcieradło.

Głos miała uderzająco podobny do organu, jakim posługiwał się w życiu doczesnym Maniuś Kitajec.

## ROZDZIAŁ XXIV

### w którym spotykają się nasi znajomi, a morowy hrabia staje przed sądem rodzinnym

Hrabinę Kalę von Buttenberg Mokrobrodzką z trudem odratowano. Kiedy pokojówka weszła rano do jej sypialni, nieszczęśliwa ofiara Białej Damy trwała w ciężkim omdleniu. Na szczęście między zakwaterowanymi na folwarku warszawiakami było kilku lekarzy. Dwaj z nich, wezwani przez hrabiego Rogera, po godzinnych forsownych zabiegach doprowadzili wreszcie hrabinę do jakiejś takiej przytomności.

Mimo wyraźnie osłabionego serca i roztrzęsionych nerwów postanowiła wyjechać z Koziedubek niezwłocznie, a w każdym razie przed nocą.

Gościnnie gospodarz bardzo usilnie starał się ją zatrzymać, wyrażając jednak ubolewanie, że jego tak spokojny dotąd pałac został nawiedzony przez duchy. Sam wprawdzie nie widział dotąd Białej Damy, przypomina sobie jednak dokładnie, że nieraz po północy słycać w pustych pokojach skrzypienie posadzek, jakieś westchnienia i jakby ciche klaskanie w ręce. Nie przywiązywał wprawdzie do tego dotychczas żadnej wagi, przypuszczając, że ma do czynienia ze złudzeniami akustycznymi. Skoro jednak droga baronowa na własne oczy ujrziała widmo nieszczęsnej Damy, nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak wyświęcić stary dom. A jeżeli i to nie pomoże, chyba trzeba będzie z żalem opuścić miłe kąty...

Na razie jednak wyjechała sama hrabina.

Nazajutrz po jej wyjeździe zjawili się „jak w zegarku” panowie Aniołek i Maniś.

Dali wyraz swemu współczuciu z powodu tak nagłego opuszczenia hrabiego przez rodzinę, jak również przejęli się bardzo sprawą grasowania widma po komnatach starej siedziby rodu Mokrobrodzkich. Przy czym Aniołek oświadczył, że najlepszym środkiem na duchy jest przebywanie nocami w nawiedzonych komnatach w liczonym towarzystwie przy suto zastawionych stołach i dźwiękach muzyki restauracyjnej.

Nie było bowiem jeszcze wypadku, żeby na sali dobrze prosperującego przedsiębiorstwa gastronomicznego zjawiała się w nocy wśród gości biała, czarna czy czerwona dama-nieboszczka. Jednym słowem jest czas najwyższy sfinalizować umowę w sprawie otwarcia w pałacu Cafe „Pod Minogą”.

Hrabia w zasadzie przystał na to, chciał jednak przed przystąpieniem do zainstalowania restauracji pojechać jeszcze do Warszawy, gdzie przy ulicy Wilczej miał małe, ale wytwornie urządzone „pied-a-terre”. Były tam bardzo cenne obrazy, między innymi dwa Rubensy. Pewne szanse odzyskania ich są, bo wczoraj właśnie nastąpiła kapitulacja powstańców i nie cała Warszawa legła w gruzach. Zezwolenie na pewno za pośrednictwem RGO otrzyma, szuka tylko kilku pewnych ludzi, z którymi można by przedsięwziąć tę uciążliwą i niebezpieczną wyprawę.

Wiść o upadku powstania podziałała przynębiająco na pana Aniołka i Maniusia, ale z ochotą zgodzili się na wzięcie udziału w wyprawie. Mieli nadzieję - poza tym - odszukania wśród ewakuowanej z Warszawy ludności zaginionych w Śródmieściu przyjaciół. W ciągu trzech dni hrabia Roger otrzymał zezwolenie i silna ekipa złożona z Kitajca, restauratora i obydwóch Piskorszczaków ruszyła pod przewodnictwem hrabiego wynajętą ciężarówką do Warszawy.

Kończąc nieco bocznymi drogami przepełnionymi przez zbiegów ze stolicy, którym udało się ominąć dwie pułapki na ludzi - Pruszków i Ursus - wyprawa dotarła do Milanówka.

Tu dzielna załoga została na krótki wypoczynek - hrabia zaś pojechał sam do Włoch załatwić u Niemców jakieś tam jeszcze dodatkowe formalności.

Pan Aniołek z resztą swego towarzystwa nie mógł usiedzieć w Milanówku, włączył się wzdłuż torów EKD, wystawał na stacyjkach, badając idące od strony Warszawy elektryczne pociągi oblepione wynędniałymi warszawiakami, którym udało się przemknąć przez oka żandarmskiej sieci lub też za pomocą okupu jakoś się Niemcom urwać.

Wisieli teraz na oknach pociągów, na buforach, zalegali dachy wśród tłumoków i worków. Było między nimi sporo handlowców, którzy niejedną raz obracali do Włoch i z powrotem do Grodziska z szabrowanym towarem. We Włochach handel odbywał się „na ciemno”, bez możności obejrzenia zawartości worka.

- Cały majdan pięć „patyków”. W środku garnitur, kot, kapelusz i dwie pary kapci - oferował szabrownik, nie pozwalając kupującemu zaglądać do wnętrza „majdanu”.

Kto dawał żadaną cenę, 5 „patyków” albo 10 „górali”, stawał się właścicielem worka, który mógł zawierać wspaniałą garnitur z angielskiego materiału albo ohydny łąch z bawełny. Kot okazywał się kołnierzykiem z królików albo wspaniałą peleryną ze srebrnych lisów. I tak wszystko. W kupnie było ryzyko, był hazard. Nabywca „majdanu” sprzedawał jego zawartość nieraz z olbrzymim zyskiem, czasem wpadał na parę „patyków”, ale najczęściej zarabiał.

Toteż „ciemny” handel szabrowników cieszył się wielkim powodzeniem.

Drugiego dnia oczekiwania na powrót hrabiego, na stacji w Podkowie Leśnej, na dachu elektrycznego pociągu wśród zwału różnych majdanów Manius Kitajec ujrzał widok, od którego zabiło mu serce, nogi same podskoczyły w górę, oczy się zaiskrzyły, a usta wrzasnęły:

- Szuwaks, lebiego, niewidymko, żyjesz? Pani Karaluch, jak pragnę zdrowia, egzystujesz pani?! Gdzie zapychacie, złażcie na dół!

Na wagonie istotnie siedział Murzyn Jumbo w towarzystwie swej masywnej narzeczonej. Na krzyk Maniusia nadbiegł pan Aniołek, a zaraz za nim Piskorszczaki.

Nie pytając Jumbo o zgodę, zaczęli go ściągać z dachu wraz z panną Karaluchówną i należącymi do nich nieruchomościami. Powitaniom nie było końca. Całe towarzystwo rozłożyło się w lasku naprzeciwko stacji. Z beładnych trochę opowiadań mieszanej rasowo pary wynikało, że zakochana kucharka istotnie umknęła w drodze swemu foksowi i wróciła do Warszawy w sam dzień powstania. Była pierwszą osobą, którą Jumbo ujrzał wychodząc z kanału na ulicy Pierackiego. Czekala tam na niego, domyśliwszy się, że był na Starówce. Teraz jechali prosto z Pruszkowa, uwolniwszy się sposobem zbyt skomplikowanym, by go tu szczegółowo opisywać.

O wspólnych znajomych wiedzieli niewiele. Zagórskich stracili z oczu dawno. Redaktor podobno poległ. Hania do końca jakoby pracowała w szpitalu, ale nie spotkali jej. Z kolei, hrabiowska drużyna zaczeka opowiadać co się dzieje. Przedtem jeszcze pan Aniołek zaangażował pannę Karaluch na szefa kuchni w nowej „Minodze”. Kiedy Murzyn dowiedział się o zamierzonej wyprawie do Warszawy po Rubensy hrabiego Rogera, z punktu zdecydował:

- Posuвам z wami! Z Wilczej w aleje Róż dwa kroki i... dolary nasze.

- Tobie, widzę, jakoś nic lepiej? Mało ci było tego siedzenia w kominie, spania w wannie, chcesz teraz na zakończenie „dostać w czapkę” od szkopów - powiedział mu na to Maniuś.

- Nie bądź frajer, teraz wyjmiemy forszę, szkoda gadać.

- Możebnie, ale na moje osobistość nie obliczaj, sam pójdziesz.

- Maniuchna, nie będziesz taki wredny, pójdziesz ze mną.

- Przekonasz się!

Jumbo przekonał się, że Maniuś uległ mu raz jeszcze. Hrabia Roger powrócił z Włoch nazajutrz i wyprawa ruszyła do Warszawy. Ciężarówka została przy Dworcu Głównym, a ekipa pociągnęła piechotą pod przewodnictwem niemieckiego „leitera”.

Na Wilczej Rubensów już oczywiście nie zastano, były tylko ramy z kółkami do powieszenia. Hrabia zmartwił się bardzo, zebrał z podłogi parę jakichś fotografii i dał hasło do powrotu.

Ale Jumbo „zblatował” Niemca i wszyscy razem ruszyli w aleję Róż. Po drodze zastanawiali się bardzo, jak uspić czujność leitera, żeby nie zauważył wyjmowania skarbu. Szmaja doradzał napuścić na niego pannę Karaluch, która za pomocą swej sztuki uwodzicielskiej zatrzyma go na dole, podczas gdy poszukiwacze udadzą się na piętro. Ale Jumbo, błysnąwszy wściekle białkami oczu, kategorycznie się na to nie zgodził. Wobec tego postanowiono odpalić szkopowi również jakąś dołą, oczywiście okrojona do możliwego minimum.

Za chwilę skręcili w aleję Róż i... stanęli jak wryci, zatrzymani przez Niemca z ręczną tarczą sygnałową. Wehrmachtowiec kazał im się cofnąć pod ścianę i wskazał tarczą tak dobrze im znany dom. Patrzyli, nic nie rozumiejąc. Nagle dom jakby podskoczył, po czym frontowa ściana wydeła się w potworny brzuch, rozległ się potężny huk, czarny dym zmieszany z wapiennym pyłem otoczył wszystko gęstym woalem. Gdy kłęby dymu nieco opadły, okazało się, że dom już nie stoi, tylko siedzi. Po piętach, które przed chwilą istniały, zostały tylko na szczytowej ścianie trzy wiszące piece z pięknych zielonkawych kafli.

Cała reszta z dachem i skarbem włącznie znajdowała się na dole. Poszukiwacze stali w milczeniu jak urzeczeni, patrząc na dymiące rumowisko. Pierwszy odzyskał równowagę ducha Maniuś. Gwizdnął przez zęby i skinął ręką na swych towarzyszy.

- Wysiadka! - powiedział i pierwszy skręcił w Mokotowską, za nim z opuszczonymi głowami ruszyła reszta. Murzyn po chwili stanął i zaczął się rwać w kierunku gruzów, ale panna Karaluch silnie ujęła go pod rękę. Idąc bełkotał coś pod nosem. Były to prawdopodobnie jakieś przekleństwa w narzeczu jego przodków znad rzeki Bamba-Bumba, a może rozstawiał komuś familię po kątach w dialekcie warszawskim?

Raczej to drugie. Cafe „Pod Minogą” w pałacu hrabiów Mokrobrodzkich funkcjonowała już od dwóch miesięcy. I zgodnie i przewidywaniem pana Aniołka prosperowała znakomicie. Panna Karaluch okazała się mistrzem w swym zawodzie. Kuchnia nowej „Minogi” służyła w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Przyjeżdżali goście z Krakowa, osiedlali się w jej pobliżu coraz nowi a zamożni uciekinierzy poszukujący spokojnego zakątka.

Za bufetem królował jak dawniej na Zapiecku pan Aniołek pod czujnym okiem pani Serafyny. Sabcia była bufetową i trzymała krótko kelnerki z „towarzystwa”, zatrudnione przez swego opiekuna. Pan Konfiteor, który również mieszkał w

Koziedubkach, był bardzo częstym gościem i nazywał hrabiego „dziewiątką ze sztynglem”, nawiązując do jego utykania na prawą nogę.

Hrabia Roger bardzo się zaprzyjaźnił z panem Aniolkiem, wymyślał nowe, nie znane dotąd potrawy, grał ze stałymi gośćmi w brydża i w ogóle czuł się świetnie w nowym otoczeniu. Ale dziś miał nieprzyjemny dzień. W pałacu od rana bawiła hrabina Kala w towarzystwie hrabiego Trestki i mecenasa doktora Musztardzińskiego, radcy prawnego obydwu rodów.

Hrabina przyjechała z adwokatem, bo miał się odbyć rodzaj sądu rodzaj sądu rodzaj sądu rodzaj nad niecnymi postępkami ostatniego z Mokrobrodzkich.

W prywatnych apartamentach hrabiego Rogera na pierwszym piętrze na jej polecenie nakryto stół zielonym suknem, ustawiono na nim srebrny dzwonek, puchar wody Franciszka Józefa dla hrabiego Trestki i winowajca został wezwany na górę przez bardziej jeszcze dziś uroczystego lokaja Juliana.

Tu trzeba dodać, że podsądny od dwóch godzin znajdował się pod czułą i nieustanną opieką pana Aniolka i Maniusia, którzy go nie puszczali ani na krok od stolika przy bufecie, udzielając mu szczegółowych instrukcji, jak ma się zachować wobec rodzinnego areopagu.

Kiedy Julian zjawił się w sali, aby zabrać z sobą delikwenta, i hrabia z ciężkim westchnieniem wybierał się na górę, pan Aniołek uściśnął mu gorąco rękę i szepnął:

- Tylko nie nawalaj, hrabia, w parafie! Gront nie zdrefić i nie dać z siebie neptka zrobić, a reszta frajer! Co to za sąd? Gorsze sprawy się przechodziło. U mnie gość śmierdzącem, czyli z przeproszeniem nieświeżem szczupakiem się zatrął, a drugi znowuż w rzemskiej pieczeni hacel znalazł i myślisz hrabia, że bałem się w sądzie - nic a nic! Na razie słuchać spokojnie, co wysoki sąd barłoży, a potem... tak jak mówiliśmy!

Otrzymawszy ten wiatyk na drogę, hrabia wszedł śmiało do pokoju, w którym był zebrany rodzinny trybunał. Obrzuciwszy podsądnego surowym spojrzeniem, hrabina zwróciła się do adwokata.

- Panie doktorze, prosimy o otwarcie posiedzenia.

Mecenas Musztardziński, starszy facet o głowie podobnej uderzająco do gruszki - z gatunku bery michalskie - odchrząknął, poprawił pięć włosków sterczących mu na środku czaszki i powiedział przez nos:

- Jako długoletni... tego... tego... przyjaciel rodziny oraz kurator jej ruchomego i nieruchomego... tego, tego... majątku, a także obrońca jej moralnych... tego, tego... praw... mam zaszczyt zwrócić się do pana, panie hrabio, o... tego, tego... pewne wyjaśnienia.

Tu trzeba nadmienić, że mecenas Musztardziński, znakomity zresztą poza tym orator, miał zwyczaj umieszczać w każdym zdaniu dodatek w postaci właśnie: tego, tego...

Dodatki te poprzedzało często energiczne dmuchnięcie nosem z jednej albo drugiej dziurki, ale nigdy z obydwu naraz. Brzmiało to mniej więcej: fuuu!

- Wyjaśnienie oczywiście dotyczyć ma dziwnych zdaniem przedstawicieli... fuuu!... tego, tego... rodu, innowacji wprowadzonych w starożytnej siedzibie hrabiów fuuu!... tego, tego... Mokrobrodzkich.

- Pozwolę sobie przerwać panu, panie doktorze - wtrąciła w tym miejscu hrabina Kala - nazywajmy rzeczy po imieniu... „innowacja” ta to... traktiernia, zajazd, karczma

w domu, w którym urodził się mój mąż, szambelan dworu cesarsko-królewskiej mości i kawaler maltański, hrabia Achilles Mokrobrodzki. W domu, w którym z każdego kąta tchnie żywa tradycja naszej arystokracji. W domu, w którym błękitna krew zdaje się tryskać z każdego starego portretu.

Do tego domu ostatni dziedzic wpuścił najciemniejsze spelunki!

Niech pan doktor zapyta hrabiego Rogera, co ma na swoje usprawiedliwienie, niech pan doktor zada mu pytanie, co go ośmieliło do takiego zbezczeszczenia szczytowych, najwyższych niemal w kraju progów arystokracji rodowej.

- Natuhellemenu - podtrzymał hrabia Trestka, krzepiąc się gorzką wodą.

- Niech nam odpowie - mówiła wzburzona hrabina dalej - jak zamierza zmasać z herbowej tarczy tę potworną plamę! Niech odpowie natychmiast!

Hrabia Roger, który stał dotąd z opuszczoną głową, z oczami wbitymi w perski dywan, wyprostował się nagle, nozdrza mu zadrgały jak arabskiemu rumakowi, potoczył dookoła dumnym spojrzeniem i krzyknął:

- A odturlajże się, boża krówko za rude undulacje szarpana, odturlaj się, Kalafonio przez Białe Damę po staroświeckim łóżku tam i nazad ganiana, bo jak nie, to ci taką litanie wyczytam, że trzech doktorów aromatycznym octem dwa dni będzie musiało cię cucić, kalikaturę do śmiechu na kaczych nogach.

Kto tu rządzi, ja, hrabia Rower, czy ciotka Kalafonia? Kto tu rządzi, ja czy Szpicbródka gorzką wodą naszprycowany? Kto tu rządzi, ja czy najmimorda, co się za doktora podaje, a nikt go nawet do kanarka chorego na żołądek nie woła! - szalał hrabia Roger.

Ale nikt go nie słyszał, bo hrabina dawno już leżała. zemdlnona pod stołem. Hrabia Trestka i mecenas, koziołkując jeden przez drugiego, zlecieli po schodach na dół.

Tylko z balkonu wszedł ukryty tam dotąd Maniuś Kitajec, wyciągnął ręce do zionącego gniewem arystokraty i zawołał z uczuciem:

- Hrabia, buzi!!

## ROZDZIAŁ XXV

**czyli ostatni, w którym okazuje się, że odnalezione skarby nie dają szczęścia, a pani Fijolek powtarza całkiem nie sprawdzone pogłoski**

Przed podjazd pałacu w Koziedubkach z brzękiem janczarów zajechały eleganckie niegdyś, dziś mocno odrapane sanie. Hrabia Roger odrzucił podbity niedźwiedzim, z lekka wyjedzonym przez mole futrem fartuch i w miarę swych skromnych możliwości najszybszym krokiem wbiegł na schody. W hallu natknął się na wiernego lokaja Juliana, który śpieszył właśnie na powitanie, nieobecnego od kilku dni w domu, pana.

Oddając mu futrzaną czapę, hrabia powiedział ze zdziwieniem:

- Cóż tu tak cicho dzisiaj? Kawiarnia nieczynna? Gdzie dyrektor Aniołek?

Julian wyprostował się i rzekł z lekkim sarkazmem:

- Melduję panu hrabiemu, że kawiarnia nie tylko jest nieczynna, ale całkowicie zlikwidowana. Nie tylko „dyrektor” Aniołek, nie tylko „dyrektorowa” Aniołkowa, ale również pani „kierownicza” Sabcia, pani „szefowa” Karaluch, pan „zarządzający” Kitajec, orkiestra oraz kierownik „artystyczny” pan Szuwaks wyjechali jeszcze wczoraj rano.

- Jak to, tak nagle? Nie mówili, dlaczego?

- Owszem, pan zarządzający Kitajec nadmienił na odjeźdźnym, że, przepraszam za wyrażenie, kicha na Koziedubki (przez be), kiedy Warszawa jest wolna!

- Ach tak, to już się dowiedzieli?

- Przedwczoraj wieczorem. Rano się spakowali i w ciągu pół godziny już ich nie było. Wyjechali zresztą nie sami. Połowa warszawiaków z folwarku udała się za nimi. Powiedzieli, że jeśli nie złapią po drodze jakiego pociągu albo samochodu, pójdą piechotą.

- I nie zostawili dla mnie jakiegoś listu?

- Owszem, jest list i pieniądze. - Julian podał hrabiemu grubo wypchaną kopertę. Oprócz sporej paczki banknotów znajdowało się w niej pismo odręczne pana Aniołka następującej treści:

*Szanowny panie Chrabia. Wszędzie dobrze ale. W domu najlepiej i dlatego. Zapychamy jak te wariaty do naszej kochanej Warszawy chociaż. Rozbebeszona i spalona przez Hitlera. Drania pana Chrabiego mamy zaszczyt pożegnać i co złego to nie my. W razie czego zostaw pan te całe Kozie... już pan dalej wiesz i przyjadź pan do nasz do gastronomicznego interesu możesz się pan. Nadać rejwoch za ostatni tydzień. W kopercie tysiące całósuf od nasz wszystkich dla ciotki Kalafonii i Szpicbroćki.*

**Konstanty Aniołek**

Trzy razy przeczytał hrabia Roger list pana Aniołka, zanim, wobec oryginalnego sposobu użycia w nim znaków przestankowych, zrozumiał, że to Hitlera uważa restaurator za „drania” i że w kopercie mieszczą się pieniądze za ostatni tydzień, nie zaś tysiąc całósuf dla hrabiny Kali i hrabiego Trestki.

Przeżytał i był wzruszony solidnością pana Aniołka, który wypłacił mu należność za cały tydzień, chociaż należało się zaledwie za dwa dni.

A tymczasem gromadka warszawskich repatriantów docierała trochę ciężarówką, trochę furką, a przeważnie piechotą do wypalonych murów stolicy. Na widok straszliwych spustoszeń pani Aniołkowa i jej fraucymer zalały się rześzystymi łzami, ale panowie ani na chwilę nie upadli na duchu. Następnego dnia po przybyciu pan Aniołek

przy pomocy Murzyna oraz braci Piskorskich rozpoczął na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich budowę przestronnej budki, w której zamierzał kontynuować prowadzenie swego przedsiębiorstwa. Architektura nowego lokalu była niezwykle oryginalna, jeśli się weźmie pod uwagę, że do jego budowy użyto części stojącego niedaleko zdemolowanego podczas powstania tramwaju, rozbitego niemieckiego czołgu oraz fragmentów luksusowego podziemnego szaletu miejskiego z placu Napoleona. Całość wypadła dość efektownie, zwłaszcza że zdobił ją nęcący szyld z napisem: „Zupa. Gorąca”. Po tygodniu były już flaki z pulpetami i różnorakie zakąski, nie licząc oczywiście płynów rozgrzewających. Toteż interes z miejsca zyskał uznanie i wzięcie wśród tłumów wracających do stolicy warszawiaków.

Wkrótce po uruchomieniu nowej odmiany „Minogi” pan Maniūs zapragnął pracować w zawodzie zbliżonym do swojego przedwojennego powołania i założył z braćmi Piskorszczakami przedsiębiorstwo komunikacyjne z trakcją na razie konną. Wożono „łebki na Pragę”.

Upłynęło tak kilka miesięcy. Nadeszła wiosna, wśród gruzów zaczęło kwitnąć nowe życie. Ruiny zaroily się poszukiwaczami zagrzebanych pod zwałami cegieł i gmatwaniną poskręcane go przez pożary żelastwa własnych i cudzych skarbów. Widok ten nie dawał spokoju Murzynowi Jumbo.

Dotąd męczył swoich przyjaciół, aż wreszcie pewnego majowego poranku Maniūs dał się namówić i całe towarzystwo, zaopatrzone w kilofy i łopaty, wyruszyło do ruin w alei Róż.

Pracowali w pocie czoła od rana do czwartej po południu. Odwalili całe tony gruzu, który bardzo starannie i szczegółowo przeglądała narzeczona Jumbo, panna Karaluch. Wszystko na próżno, skarbu nie było ani śladu. Chcieli już zaprzestać poszukiwań, kiedy nagle Jumbo wrzasnął przeraźliwie i podskoczył w górę z trzymaną w rękę nadpaloną przedwojenną pięćsetzłotówką. Był to niewątpliwie jeden z licznych banknotów stanowiących kiedyś ukryte pod podłogą miliony Briksa. Z wypiekami na twarzy jak szaleńcy zaczęli walić kilofami w to miejsce. Jeszcze trochę i kilof Jumbo zadzwonił o pokrywę metalowej skrzynki.

Murzyn pochylił się i wyszarpnął spod gruzu ciężką pancerną szkatułkę. Przycisnął ją do siebie i powtarzał nieprzytomnie:

- Jest... jest... ta sama... ta sama!
- No dobrze, że ta sama - zirytował się Maniūs - ale zobaczzę, ciapciaku w karakuły drapany, czy czasem nie pusta?!
- Nie, nie, ciężka jak cholera... jest wszystko. Mamy „twarde”! Wszyscy jesteśmy milionerami!
- Zaraz, zaraz, poczekaj... o wiele ten twój prencypał żyje... i tak musisz mu wszystko oddać, bo to jego forsa!
- Jak to jego, to my za darmo sześć lat się męczem, żeby ten majdan wyjąć? A teraz on przyjdzie i weźmie wszystko jak swoje? - oponował Szmaja.
- Wszystko jak wszystko, da nam coś znaleźnego.
- Tak, da ci na paczkę zapafek!
- Po mojemu powinien taką samą dolę dostać jak i my!
- To znaczy po ile?
- Rzeczywiście, zaczem się klócić, zobaczzę, wiele tam jest!



Jumbo drżącymi rękami zaczął operować przy zamkach.

- Jakże, idyoto ciężka, bez klucza otworzysz? Trzeba wierzech podważyć!

Ale solidna szkatuła nie dała się tak łatwo otworzyć. Jumbo męczył się, rzucał ją o ziemię, deptał po niej nogami, wszystko na próżno. Wreszcie Maniūs odebrał mu ją. Wziął kawał drutu, wyklepał na kamieniu wytrych, włożył go w otwór, przekreślił, w zamku coś chrupnęło. Wierzech odskoczył, Murzyn wyrwał mu skrzynkę, uniósł wieko i oczy wyszły mu z orbit ze... zdziwienia i wściekłości.

W skrzynce były kawałki kamieni i gruzu oraz mała kartka z napisem: „A kuku”. Napis był zrobiony niezdarnie ołówkiem na kawałku papieru gazetowego.

Maniūs przeczytał kartkę, oddał ją panu Aniołkowi. Restaurator zapoznawszy się z jej treścią gwizdnął przeciągle pod nosem i rzekł:

- Ktoś tu z nasz balona zrobił, albo ten Amerykan, albo jakiś szabrownik, któren miał większy fart!

Jumbo tymczasem cicho szlochał oparty o lewą część biustu swojej narzeczonej. Panna Karaluch gładziła go po kruczey czuprynie i mówiła ciepło:

- Nie martw się, Jasiu, chociaż dolarów nie znalazłeś, większy skarb przy tem szukaniu odzyskałeś.

Wszyscy obecni spojrzeli na nią z zaciekawieniem i błyskiem nadziei, a Maniūs zapytał wprost:

- Gdzie on jest?

- Tu!

- To znaczy się co?

- Ja - odpowiedziała dumnie kucharka wskazując pulchnym paluszkim na swą klatkę piersiową. Pan Aniołek odwrócił się ze złością i powiedział:

- A dajże pani Karaluch spokój z takim skarbem!

- Faktycznie - dodał z ironią Maniūs - że większy, to większy, a zwłaszcza poniekąd cięższy!

- A swoim porządkiem troszkie racji pani Karaluch ma. Pulardy pod bezzamelem albo medaliona z indyka nikt tak przygotować nie potrafi, sam pan hrabia Rower to zawsze powtarzał - zakończył dyskusję pan Aniołek.

I w lepszych już nieco humorach towarzystwo opuściło ruiny. Ponieważ było jeszcze dość wczesnie, restaurator zaproponował odwiedzenie Starówki, gdzie nie był od czasu powstania.

Przez wymarłą Miodową dostali się wkrótce po zwałach gruzu na Zapiecek. Panowała tu cmentarna cisza i zupełna pustka. Stanęli w zamyśleniu przed ruinami domu, w którym kiedyś mieściła się „Minoga”. Pan Aniołek po chwili wszedł w wyrwę, która niegdyś była wejściem do jego zakładu. Wyszedł stamtąd wkrótce niosąc zwitek papierów. Zaczęli je przeglądać, były to stare rachunki za gaz i elektryczność, kilka mandatów karnych za nieprzestrzeganie godzin zamykania restauracji oraz lista gości zaproszonych swego czasu na zaręczyny Sabci z Władkiem. Czytając głośno nazwiska uczestników uroczystości pan Aniołek zatrzymał się dłużej przy redaktorze Zagórskim.

- Ciekawość, czy to prawda, że on nie żyje?... - powiedział po chwili z westchnieniem.

- Prawda, panie Aniołek szanowny! - odrzekła stojąca obok grupy wynędzniała postać niewieścia, bardzo ubogo odziana. Skąd się tu wzięła, nikt nie wiedział, nie zauważyli bowiem zajęci sobą, kiedy nadeszła od Rynku.

- Wyśnił mnie się ratuszowy zegar, wyśnił.

- Pani Fijołek - zawołał w tej chwili Manius Kitajec poznając dawną gospodynię Andrzeja - jak się pani powodzi, co pani tu robi w tych gruzach?

- Mieszkam w tem domu co i dawniej, panie Marian, tylko z tą różnicą, że nie na trzecim piętrze, bo go już nie ma, tylko w piwnicy, ale nie mogę narzekać, przyjemnie, bo na Starówce.

Po serdecznych powitaniach pani Fijołek mówiła dalej:

- Tak, tak, nie żyje pan Zagórski, węglarz spod siódmego był przy tem wtenczas drugiego września, jak Niemcy na Starówkie wpadli. Pan Zagórski był ciężko ranny i żona jego, która za siostrę miłosierdzia w szpitalu na Podwalu się zatrudniła, wzięła go na plecy i niesie, biedactwo, myślała, że go w ten sposób wyratuje, bo szpital już się palił. Ale jakiś Niemiec podleciał i strzelił mu w głowę...

Pani Fijołek otarła łzę fartuchem i znowu opowiadała, jak zginął inwalida Śmieciuszka, do ostatka strzelając z karabinu maszynowego. Jak pani Rypalska, jego współpracowniczka, „kule mu do samego końca podawała”, a potem sama z tego karabinu strzelała, „bo otrzaskana z bronią była, jako wdowa po jednym inwalidzie i narzeczona drugiego. Bo chociaż się bardzo z nieboszczykiem kłócili, byłaby się koniec końców za niego wydała jak amen w pacierzu”. Dzisiaj leżą obok siebie pod gruzami na Nowomiejskiej, gdyż w dwa pacierze później dostała kulę w samo serce.

Długo jeszcze słuchali opowieści pani Fijołek o losach wspólnych znajomych, wreszcie restaurator zaproponował jej posadę w nowo utworzonym przez siebie interesie na Marszałkowskiej, budki bowiem ulegają rozbiórce.

Ale pani Fijołkowa podziękowała uprzejmie.

- Ja już się stąd nie ruszę. Przyzwyczajona jestem. Zostanę tu ze swoim Wojtusiem i fotografiami trzech moich nieboszczyków, bo wszystkich ich udało mnie się uratować, razem z pluszowymi ramkami...

Cafe „Pod Minogą” odżyła raz jeszcze w nowym wcieleniu jako spółdzielnia pracowników przemysłu gastronomicznego. Prezesem oczywiście była pani Aniołek, za bufetem rej wiodły jak zawsze pani Serafina z Sabcją. W kuchni urzędowała pani Janowa Karaluchowa, gdyż Jumbo żeniąc się przybrał imię Jan, przyswajając sobie, wbrew może ogólnie przyjętemu zwyczajom, niewątpliwie jednak słusznie, rodowe jej nazwisko Karaluch.

Sam pan Karaluch do spółdzielni nie należał, będąc razem z Maniusiem Kitajcem i z braćmi Piskorskimi właścicielem przedsiębiorstwa taksówkowego.

Obaj bywali jednak często „Pod Minogą”, przyjmowani zawsze z honorami przez kierownika sali, obywatela Rogera Mokrobrodzkiego.

Któregoś dnia, podczas największego ruchu w porze obiadowej, wpadli tam obaj jak dwie bomby atomowe i roztrzaskując gości przedarli się do bufetu.

- Sabina, masz, trzymaj! - zawołał pan Manius węcując bufetowej oklejoną różnobarwnymi znaczkami kopertę.

Piękna gastronomka przybladła i spytała:

- List? Od kogo?

- Od kogo ma być? Od Churchilla? Wiadomo, że od Władka!

Wszyscy pracownicy spółdzielni rzucili swoje zajęcia i pobiegli do bufetu. Prezes Aniołek czytał głośno pismo sierżanta Władysława Rączki, który donosił, że za dwa tygodnie wsiada w Londynie na statek wiozący go do ojczyzny. Razem z nim przyjadą porucznik Zagórski, żona jego Hania i ich córeczka Krystyna.

Donosił dalej, że spotkał się z nimi w Niemczech przy oswobodzaniu przez wojsko polskie obozu jeńców. Pisał też, że pani Hania była w listownym kontakcie z chlebodawcą Jumbo panem Brikssem, który bardzo interesował się losami swego byłego szofera. Nie rozumiał tylko, czemu Jumbo, po jego nagłym wyjeździe jako szefa wywiadu amerykańskiego w Polsce, ukrywał się przed polską policją. Dopiero Władek wytłumaczył Briksowi, że Jumbo, wracając z dworca po odwiezieniu swego pana, zagazował się z żalu i rozbił magistracki śmietnik na kółkach. Obawiając się odebrania prawa jazdy i dowiedziawszy się od szoferów, że jest poszukiwany, wołał się ukrywać.

W zakończeniu listu Władek przesyła pozdrowienia od państwa Zagórskich dla wszystkich znajomych ze Starówki.

- W taki sposób węglarz spod siódmego zalał kolejkie! Widział nie redaktora, tylko kogoś innego! - zawołał prezes Aniołek, wyskoczył zza bufetu, pędem przebiegł ulicę i zniknął w drzwiach eleganckiego zakładu pogrzebowego, opatrzonego czarnym szyldem, którego srebrne litery opiewały:

Spółdzielnia Pracy „Wieczny Odpoczynek”.